

SIECI

PIĘĆ (TAKŻE FILMOWYCH)
PORUSZAJĄCYCH SCEN
POLSKIEJ POMOCY
DLA UKRAINY

TYLKO U NAS
PREZES PFN DR MARCIN ZARZECKI
O KULISACH WALKI
Z ROSYJSKĄ DEZINFORMACJĄ

BRUDNA BOMBA.
CO TO JEST I KTO
NAPRAWDĘ
SZYKUJE ATAŁ?

**MYŚLO-
ZBRODNIARZE**
OPUZYCJA CIĄŻ MOCNEJ
DISCYPLINUJE SWOJE MEDIA

**NAJWIĘKSZY
KONSERWATYWNY
TYGODNIK OPINII
W POLSCE**

Nr 44 (518) 2022
31 X – 6 XI 2022

CENA: 7,90 zł
(w tym 8% VAT)

SIECI

TYLKO U NAS

**CZY TO NAPRAWDĘ
SIĘ ZDARZYŁO?**

TAJEMNICA REKLAMÓWKI Z KASA

**UJAWNIAMY SZOKUJĄCY TROP
NA SZCZYTACH ÓWCZESNEJ
WŁADZY**





II Zielone forum w Gospodarcie.pl

Czy wojna i kryzys energetyczny mogą
zatrzymać zieloną transformację?

14 listopada przeczytaj relację z Forum
na łamach tygodnika **SIECI**

PARTNERZY:



Bank Polski





Atak na Jana Pawła II, czyli uderzenie w jeden z filarów naszej wspólnoty

Kościół znajduje się dziś w głębokim kryzysie. Zwłaszcza w kręgu cywilizacji zachodniej coraz bardziej ulega on mentalnej kolonizacji przez kulturę sekularną. Liczne lokalne synody, m.in. w Niemczech, Francji, Szwajcarii czy Irlandii, domagają się rewolucyjnych zmian, które zrywałyby całkowicie z dotychczasowym nauczaniem, żądając np. akceptacji czynów homoseksualnych czy dopuszczania kobiet do święceń kapłańskich. Wszyscy biskupi Flandrii wspólnie przygotowali i ogłosili liturgiczny obrzęd błogosławienia par jedнопłciowych w świątyniach katolickich. Nie spotkało się to z żadną reakcją ze strony Stolicy Apostolskiej, która najwyraźniej akceptuje takie działania. Trudno się temu dziwić, skoro do Papieskiej Akademii Życia są powoływani zdeklarowani zwolennicy aborcji. W tej sytuacji nic zaskakującego, że wśród wiernych na całym świecie rośnie chaos, zamęt, dezorientacja.

Dla wielu środowisk katolickich na świecie punktem orientacyjnym w czasie zaniku kolejnych pewników pozostaje bogaty dorobek intelektualny i duchowy Jana Pawła II, stanowiący spuściznę jego długiego pontyfikatu. Także w Polsce osoba papieża stanowi największy autorytet cementujący naszą wspólnotę. Ostatnio jednak zaczyna się to zmieniać, zwłaszcza wśród młodszych roczników, które nie pamiętają osobiście Karola Wojtyły. Dla nich bardzo często Jan Paweł II jest „człowiekiem z memów”, nie tylko prześmiewczych, lecz także niekiedy nawet wulgarnych. Jest jakimś zaniebdaniem pokolenia JP2, że nie potrafiło przekazać młodszym generacjom wizerunku i osiągnięć papieża jako czegoś pociągającego i inspirującego.

Do tego dochodzą kampanie medialne przedstawiające go jako osobę osobiście odpowiedzialną za tuszowanie skandali pedofilskich w Kościele. Najczęściej bazują one na ogólnych sugestiach i insynu-

acjach oraz rzutowaniu naszej dzisiejszej wiedzy na czasy minione. Konkretnych dowodów brak, a zamiast nich pojawiają się stwierdzenia typu „coś musiało być na rzeczy”, „coś musiał wiedzieć” itd. Nie oznacza to oczywiście, że wszystkie oskarżenia pod adresem papieża należy bagatelizować. Wręcz przeciwnie – na wszystkie należy rzetelnie odpowiedzieć, kierując się tylko i wyłącznie dochodzeniem do prawdy. Dlatego w kolejnym numerze tygodnika „Sieci” opublikujemy materiał odnoszący się do zarzutów wysuwanych wobec Jana Pawła II.

W powyższym kontekście nowym zjawiskiem jest udział w owych wydarzeniach medialnych publicystów katolickich używających wobec Karola Wojtyły niezwykle ostrych sformułowań. Czymś takim jest np. przypisanie papieżowi sumienia niepokonalnie błędnego, co według definicji św. Tomasza z Akwinu dotyczyło najbardziej zatwardziałych heteryków, uporczywie trwających w błędach. Albo przedstawienie go jako człowieka o wielu twarzach, aktora kreującego swój wizerunek, który żył w wielu światach i w każdym z nich był inną osobą, a tak naprawdę nie wiadomo, która z jego twarzy była prawdziwa.

Powiedzmy sobie szczerze: zniszczenie autorytetu Jana Pawła II jako postaci niemoralnej oznacza w perspektywie Kościoła podważenie wiarygodności jego nauczania, w perspektywie Polski zaś – uderzenie w jeden z filarów naszej wspólnoty. Mają tego świadomość także komentatorzy za granicą. Jeden z nich, włoski watykanista Andrea Gagliarducci, napisał: „W obliczu Polski, która broni swojej suwerenności i swoich chrześcijańskich korzeni, poddając się niezliczonym atakom instytucjonalnym, postawienie pod znakiem zapytania papieża Polaka można również uznać za sposób na postawienie narodu w trudnej sytuacji politycznej. Obecne okoliczności pozwalają tak domniemywać”.

Grzegorz Górny



26

*Antypolska
pętla*
Marcin Wikło



56

**Coraz mniej
cierpliwości
do ekoterrorystów**
Dariusz Matuszak



64

**Prezydenci
wracają do Polski**
Maciej Walaszczyk

NA POCZĄTEK

- 6 SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia
- 8 PUSZCZENI Z TORBĄ**
Krzysztof Feusette
- 9 STRATEGIE DO POPRAWKI**
Dorota Łosiewicz
- 10 ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski
- 12 NADOPIEKUŃCZA PRZESADA?**
Jan Pietrzak
- 12 PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**
Dominik Zdort
- 13 O ERYSTYCE POSTĘPOWYCH**
Bronisław Wildstein
- 14 WALIZKA ADY KUĆMIERZ**
Michał Korsun
- 17 EUROPA WOLNOŚCI**
Marta Kaczyńska-Zielińska
- 18 O WYŻSZOŚCI ŁĄPÓWKI NAD
ROSYJSKIM ŚLADEM**
Samuel Pereira

TEMAT TYGODNIA

- 20 TAJEMNICA REKLAMÓWKI**
Wojciech Biedroń
- 23 TAJNA KASA I SPONSORZY**
Stanisław Janecki

KRAJ

- 26 ANTYPOLSKA PĘTLA**
Marcin Wikło
- 30 MYŚŁOZBRODNIARZE**
Konrad Kołodziejski
- 34 FARBOWANY KATOLIK**
Goran Andrijanić
- 36 KROK WSTECZ!**
Dorota Łosiewicz
- 38 Z MARCINEM ZARZECKIM**
rozmawia Michał Karnowski

WOJNA ROSJI Z UKRAINĄ

- 42 BRUDNA BOMBA, CZYLI CO?**
Marek Budzisz
- 46 PIĘĆ SCEN POLSKIEJ
POMOCY DLA UKRAINY**
Jakub Augustyn Maciejewski
- 48 Z GEN. BOGUŚŁAWEM SAMOLEM**
rozmawia Andrzej Rafał Potocki

ŚWIAT

- 52 NIE TAK ZNÓW MAŁA
WOJENKA NAD RENEM**
Jan Rokita
- 56 CORAZ MNIEJ CIERPLIWOŚCI
DO EKOTERRORYSTÓW**
Dariusz Matuszak

HISTORIA

- 64 PREZYDENCI WRACAJĄ DO POLSKI**
Maciej Walaszczyk

SIECI KULTURY

- 67 MISJA W KOŃCU MOŻLIWA**
Jolanta Gajda-Zadworna
- 70 SAKRALIZACJA CELEBRYTÓW**
Robert Tekieli
- 71 WOJNA CYWILIZACJI**
Robert Tekieli
- 72 POLECA**
Łukasz Adamski

GOSPODARKA

- 76 GORZKI POSMAK CUKRU**
Maciej Walaszczyk

KUCHNIA

- 78 MOJE SMAKI: JAKUB KUZA**
Jolanta Gajda-Zadworna
- 79 SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszczyk

NA KONIEC

- 80 OSTATNI DZWONEK**
Wojciech Reszczyński
- 82 ROBOTNICY PANA BOGA**
Aleksander Nalaskowski
- 84 KOMU PRZESZKADZA
EDUKACJA DOMOWA?**
Jan Pospieszalski
- 85 NOWI KANDYDACI DO PARLAMENTU**
Jerzy Jachowicz
- 85 HOŁD DLA PADEREWSKIEGO**
Adam Ciesielski
- 86 OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki
- 88 JASKÓŁKI PRAWORZĄDNOŚCI?**
Ryszard Makowski
- 89 PIOSENKA NA ZADUSZKI**
Leszek Długosz
- 90 ODLEGŁOŚĆ KILKU KLIKNIĘĆ**
Katarzyna i Andrzej Zybortowiczowie

Alfa Romeo
F1 TEAM

TITLE SPONSOR



#Dobry
Kierowca



OSZCZĘDZAJMY WODĘ ZDZIECIĘCĄ ENERGIĄ



Wybierz myjnię z zamkniętym obiegiem

Bo taka myjnia filtruje zużyтую wodę,
by wykorzystać ją ponownie.

dobrykierowca.orn.pl

Sygnalista nadaje

 Po stronie opozycyjnej wzrastają nastroje jednolitofrontowe. Senator KO Adam Szejnfeld oburzył się na Radio Tok FM i dziennikarza tej stacji Grzegorza Sroczyńskiego za to, że w rozmowie z Magdaleną Środą zwracał uwagę m.in. na niewygodne fakty dla szefa PO Donalda Tuska. „Słucham Tok FM i myślałem, że przez pomyłkę włączyłem TVPiS. No, jeśli w Polsce jest więcej takich osób, jak pan redaktor Sroczyński, to... Prawo i Sprawiedliwość, to Kaczyński, to Zjednoczona Prawica będą rządzili do końca świata. Do jakiego końca świata? Dłużej! Wiecznie! Zawsze!” – grzmiał Szejnfeld. Później dodawał: „Walil Tuskiem z góry i z dołu, z przodu i z tyłu, z półobrotu i na odlew. Tusk to, Tusk tamto, Tusk tak, Tusk siak!”. Wychodzi na to, że Tusk to obciążenie, a nie atut. Słusznie.

 Oberwało się także Konradowi Piaseckiemu z TVN24, który tak oto pytał posłankę KO Izabelę Leszczynę w sprawie środków z KPO dla Polski: „Jakkolwiek by zabrzmiało trywialnie to pytanie, ale to jest takie trochę pytanie, czy opozycja dzisiaj powiedziałaby Komisji Europejskiej, a ten głos mógłby okazać się ważny, żeby nie powiedzieć, że kluczowy: »Słuchajcie, darujcie im. Oczywiście nie spełniają standardów praworządności, jakieś były umowy dotyczące tego, jak ma wyglądać polskie prawodawstwo, wy uznajecie, że te umowy nie zostały dotzymane, oni uznają, że zostały, ale trudno«. Te 75 mld euro w dzisiejszej sytuacji dla Polski tak ważne i bez tych pieniędzy Polska sobie nie będzie radziła, że z punktu widzenia polskiej racji stanu

przymknijcie oko na to, co się dzieje z polską praworządnością. Po prostu wypłacajcie nam te pieniądze”. Pytanie oczywiste i zasadne, ale dla opozycji nie do przyjęcia. Jasno uwypukla rzecz podstawą: dla partii III RP im w Polsce gorzej, tym lepiej.

 Piasecki podkreślał, że zadawanie pytań to jego praca. Nie pomogło. Obywatele RP: „Tyle osób, tyle organizacji, tyle lat... Z ust Konrada Piaseckiego słyhać tekst: »Darujcie im, przymknijcie oko«”. Roman Giertych: „Ta wypowiedź świadczy o tym, że pan red. K. Piasecki w ogóle nie rozumie, że praworządność oznacza demokrację, demokracja to wolność, a wolności narodu nie sprzedaje się za żadne pieniądze, gdyż w przeciwnym razie z narodu stanienmy się ludem niewolników. Wielki wstyd”. Do tego liczne komentarze w takim oto stylu: „Piasecki za wywiad z Leszczyną powinien wylecieć z pracy. Takiego skandalu jeszcze nie widziałem, jak żyję. Powinien się zapisać do PiS i jasno się określić. Obrzydliwe, wstrętne. Z redaktora przekształcił się w pisowskie ściertwo, nawet nie symetrystę. Piszmy do TVN”. Cóż, ktoś tych ludzi nauczył tej totalności. Media opozycji odegrały w tym smutnym procesie istotną rolę.

 W nocy z wtorku na środę sesja Komisja Edukacji, Nauki i Młodzieży zakończyła procedowanie nad dwoma projektami: poselskim i prezydenckim, nowelizacji ustawy Prawo oświatowe. Były one procedowane łącznie. We wtorek 25 października o 22.12 dziennikarz Szymon Jadczyk nie wytrzymał i zamieścił

 Prof. Radosław Markowski udziela kolejnych wywiadów, w których mówi zawsze to samo, wzywając do delegalizacji Prawa i Sprawiedliwości. „W Polsce władza zgnoiła polską konstytucję. Uważam, że jak zostanie w Polsce przywrócona praworządność, należy zainicjować proces delegalizacji PiS, co oczywiście będzie należało do niezależnego sądu. Nie ma powodu, żeby w kraju, w którym zastrzeżono reguły poruszania się samochodem, pozbawia się prawa bycia kierowcą za naruszenia prędkości, przymykać oko na to, że pewna partia polityczna łamie konstytucję” – przekonywał w rozmowie z „Gazetą Wyborczą”. Po kolejnym zwycięstwie PiS powinniśmy zdelegalizować delegalizatorów. Demokracji trzeba bronić przed totalitarną ekstremą.

w mediach społecznościowych następującą wypowiedź: „Nie cierpię tego rządu i całej tej ekipy także dlatego, że moja żona musi do północy słuchać komisji edukacji w Sejmie, bo jakiś XXX postanowił zrobić wrzutkę z jakąś absurdalną ustawą przykrywającą kompromitację PiS. W tym kraju nic nie może być normalnie”. Na szczęście w tym morzu nienormalności mamy obiektywne, rzetelne, pozbawione emocji media głównego nurtu. Bez tego zupełnie byśmy utonęli.

Europeoseł Lewicy **Robert Biedroń** przekonywał w Parlamencie Europejskim, że Polska to piekło na ziemi. „Chcecie zobaczyć, jak wyglądają rządy skrajnej prawicy? Przyjeďte do mojej ojczyzny, do Polski. Strefy wolne od LGBT+, kobiety sprowadzone do inkubatorów, sojusznicy tronu i ołtarza, zamach na media i sądownictwo. Takie rzeczy zdarzają się, kiedy my, zwykli ludzie, odwracamy wzrok, udajemy, że nie widzimy”. I dalej: „UE powstała m.in. z wielkiego marzenia, żeby nigdy więcej nie doszło właśnie do rządów skrajnej prawicy. Z doświadczenia Auschwitz, że ten największy obóz koncentracyjny nie spadł nam z nieba. To zwykli ludzie przez swoją obojętność do tego doprowadzili, wybielając tego typu poglądy, jakich tutaj także dzisiaj doświadczyliśmy”. Tak, Auschwitz nie spadł z nieba. Wyrósł z oświecenia, z odrzucenia Boga i z szalonego ducha niemieczyzny. A jeśli w XXI w. powstanie nowe Auschwitz, to budowniczym będzie totalitarna lewica.

Szymon Hołownia broni Tuska w sprawie zeznań Marcina W. „Czy ja mogę pójść do prokuratury i zeznać, że trzy miesiące temu królowa angielska mówiła mi, że Napoleon dał mi 100 euro w torbie z Lidla? No, jeżeli to francuski cesarz, to prędzej w torbie z Carrefoura. Albo że cesarz Napoleon przyszedł i powiedział mi, że powinienem te 800 tys. ojro pójść i zanieść np. Kosiniakowi. Albo Czarzastemu. Albo właśnie Tuskowi lub komuś innemu. Tej klasy rzeczy mogę zeznać” – wyliczał, puentując: „A później Ziobro to wyciąga i mówi: »Proszę bardzo, zobaczcie, oni są zamoczeni. Napoleon mu dał te pieniądze, on miał przekazać i dać wnuczkowi Kosiniaka, jakby miał wnuczka, albo kogoś tam jeszcze«. Hołownia nawet jak żartuje, to brzmi poważnie. Powinien to przemyśleć. I uważać. Kwestie dotyczące łapówek rzadko są śmieszne.

Z kolei **Jacek Rostowski**, były minister finansów w rządzie Donalda Tuska, tłumaczył, dlaczego Moskwa miała interes w tym, by zaatakować rząd PO-PSL taśmami z Sowjety i Przyjaciół: „Dlaczego Rosjanie chcieli obalić ten rząd? Dlatego, że Donald Tusk na skutek reprezentacji związków górniczych

– m.in. Solidarności górniczej – które do niego przysły i skarżyły się, że Polskę zalewa węgiel rosyjski, podjął stanowcze działania, by import tego węgla rosyjskiego ostro ograniczyć. To uderzało w interesy Falenty, ale co ważniejsze – w interesy nie tylko biznesowe, ale także strategiczne Władimira Putina”. E tam. Gdyby Rosjanie coś chcieli od Tuska, to mogli po prostu wysłać jakiś czytelny sygnał, oficjalny albo nieoficjalny. Byłoby aż nadto.

Marszałek Senatu **Tomasz Grodzki** na antenie TVN24 sięgnął po język klas najniższych: „Rządu nikt nie zwolni z odpowiedzialności za dobrostan obywateli. Nawet w trudnych czasach popandemicznych i w czasie wojny w Ukrainie, ale to jest, mój osobisty pogląd jest taki, że tak zresztą młodzież mówi, że skróć PiS to należy tłumaczyć jako przeproszenie i..., odjeďte, bo ewidentnie ten rząd sobie nie radzi”. Czy rząd sobie radzi, czy też nie, to ocenią wyborcy. Z pewnością marszałek Grodzki nie radzi sobie z presją. I z przeszłością, która dogoniła go na urządzie.

W czasie spotkania z mieszkańcami Kwidzyna Grodzkiego zapytano, czy rozwiąże sprawę „straszną” ustawy dezubekizacyjnej. Marszałek Senatu odpowiedział: „To jest temat ciągnący się od lat. Nie jestem z partii lewicowej, jestem z PO, ale to jest absolutnie niedopuszczalne. Owszem, ludzi, którzy nagrzeszyli, mają coś na sumieniu – okej. Ale tych wszystkich, którzy służyli takiej Polsce, jaka wtedy była... to musi być podniesione i załatwione”. Ci, którzy służyli takiej Polsce, jaka wtedy była, nie spotkała żadna krzywda – emerytury odebrano jedynie pracownikom aparatu represji, i to nie wszystkim. Ale Grodzki nie może mówić inaczej: w sensie systemowym i społecznym Platforma jest partią postkomunizmu. Weszła w te same buty, które przed aferą Rywina nosiło SLD.

Buty te same, ale dużo bardziej infantylne. Gdy Jarosław Kaczyński ocenił w Radomiu, że w związku z wojną „być może musiały zapadać różnego rodzaju nietatwe decyzje w ciągu najbliższych lat, może nawet roku”, posłanka KO Kamila Gasiuk-Pihowicz odpowiedziała tak: „Panie Kaczyński, co pan masz na myśli, mówiąc, że w związku z wojną niedługo będą musiały zapadać nietatwe decyzje, a my je będziemy musieli zrozumieć? Na wszelki wypadek przypominam, że wprowadzenie stanu wojennego bez przesłanek to zamach stanu”. Na wszelki wypadek przypominamy pani poseł, że pchanie się do władzy bez odpowiednich kompetencji i bez poczucia odpowiedzialności za państwo to bardzo szkodliwy, choć niestety powszechny – nie tylko w Polsce – proceder.



Puszczeni z torbą



KRZYSZTOF FEUSETTE

Junior: Tatusz? Torbę przywiozłem...

Senior: Z magla?

Junior: Z Biedronki. Z jakiego magla? Przecież my tam niczego nie nosimy.

Senior: Szyfruję, geniuszu. Jakby kelner coś podłożył...

Junior: Kelner? W domu?

Senior: Ech, jak ty mało łapiesz z konspiracji... No i co tam, synku, robieś?

Junior: Ale gdzie?

Senior: W Biedronce!

Junior: A, pomyślałem, że powinienem jakoś pomóc tatusiowi w tej kampanii. Że niby my tak skromnie żyjemy przez tę inflację, bezrobocie...

Senior: Jakie bezrobocie?! Dobrze się czujesz?

Junior: To samą inflację. Przez Grupińskiego.

Senior: Glapińskiego! Co jest w torbie?

Junior: No, zakupy, że tak powiem. Pół melona, jakieś kokosy, sałata, siano... Dla chomika, oczywiście.

Senior: Czyś ty zwariował? Nie wiesz, jaka jest sytuacja?

Junior: Nie wiem. Tatusz mi nigdy nic nie mówi.

Senior: Bo ty sam z sobą robisz wywiady! I przestań mi mówić „tatusz”. Dziecko, ty masz 40 lat!

Junior: Niech tatusz na mnie głosu nie podnosi. Inaczej tatusz na komisji w sprawie Amber Gold śpiewał.

Senior: Bo mówiłem ci, że to lipa, a ty musiałeś nazwisko dać! I to jakie? Bąk?

Junior: Widzę, że z kamuflażu tatusz jeszcze cieńszy niż w maratonie. Nie wystarczy, że Kasia na naszym fortunie zbiła? Tylko tatusz zaczął rządzić, a już miała więcej sponsorów niż Doda Elektroda. A wie tatusz, że z tym jej znaniem się na modzie to też lipa była?

Senior: Ja cię nie poznaję. Od kiedy ty się taki spostrzegawczy zrobiłeś?

Junior: Od tej torby. Bo oszukać mnie chciał.

Senior: Kto?

Junior: Powiedzmy: kasjer. Łapie tatusz?

Senior: Gorzej, że ty nie bardzo. Najpierw dzwonisz do mnie i „nie przejmuj się, tatusz, nie przestrasz nas, tatusz...”, a teraz siatkę z biedry przytargales?

Junior: A niech sprawdzają. Tatusz, oni nas mogą w tę torbę pocałować. Ten ich świadek jest kompletnie niewiarygodny.

Senior: Szkoda, że nikt mi nie powiedział.

Junior: A co tatusz nawywił?

Senior: Tatusz nie wywija. Tatusz prowadzi walkę polityczną i w jej ramach sięgnął po zeznania tego właśnie człowieka. Tylko dlatego, że twierdził, iż Rosja chciała wymienić nasz rząd na pisowski. Rozumiesz? Rosja! Ta sama, która teraz Ukraińców morduje! Ty wiesz, jaki to ma potencjał polityczny?!

Junior: Właśnie widzę. To jednak przykre, jak brzydko tatusz się chwytą. Tylko co ja mam z tym wspólnego?

Senior: Nic, synuś. Zupełnie nic. Zwłaszcza że ty jesteś Józio Bąk z Pułtusza. W kogo ty się wdałeś z kojarzeniem faktów? Dałem wiarę facetowi, który oskarża mojego syna

o przyjęcie łapówki w wysokości 600 tys. euro! Dotarło?!

Junior: Mnie oskarża?! Przecież to tatusz chciał euro w Polsce przyjmować! Nawet cytaty są! Ja ani centa nie wziąłem!

Senior: Teraz to jest słowo przeciw słowu, synku. Twoje, że facet kłamie, kontra moje, że mówię prawdę. Przykra sytuacja i dlatego zrobimy tak: weźmiesz tę torbę i zrobisz z nią to samo co nasz burmistrz z warszawskich Włoch zrobił ze swoją.

Junior: A ile tam było?

Senior: 200 tys. Turek mu wrzucił siatkę przez okno samochodu, to zawiązał ją do teścia, żeby schował w skrzynce po cytrusach. Zapamiętasz?

Junior: Ale po co ja mam te zakupy ukrywać? To są jaja jakies...

Senior: Jaja weź do domu, a resztę zakup. Zwłaszcza tę cholerną siatkę!

Junior: To może w mniejsze przepakuję?

Senior: Tak, w koperty najlepiej, żeby ci ciecia osoba zabrała. Uspokój się. Kup sobie coś. Jakiś samolot może? Do sklejania!

Junior: Ale za co?

Senior: Za kobyle caco. Albo wyjedź gdzieś. Z Gawłowskim pogadaj, on się zna na Chorwacji. Tam jest taka uroczą wyspą o jeszcze piękniejszej nazwie: Brać. I tam jest ulica łatwa do zapamiętania, przynajmniej dla Gawłowskiego chyba była, czyli Domobrana. Tam są fajne domy podobno, a właściciela trudniej ustalić niż u nas w Kazimierzu.

Junior: No, ale co tatusz? Tatusz naprawdę myśli, że ja bym takie rzeczy w siatce nosił? Że ja mógłbym w łapę brać?

Senior: A kto mówi o tobie? Za młody jesteś na Heroda. Tak czy siak, nazwisko oszczędzaj i na razie może przy tym Bąku pozostań. Aż sprawa nie przycichnie.

Junior: Tego się po tatusiu nie spodziewałem. Chociaż powinienem. Chcę zatem tatusia poinformować, że dzwonię do babci i niech ona przemówi tatusiowi do rozumu. Tatusz musi zrozumieć jedno: ja nigdy, przenigdy nie byłem w tatusia partii. I jak mnie tatusz z Nowakiem myli, to nie jest moja wina. Co ta polityka z tatusia zrobiła?! Kiedyś sobie fajnie lataliśmy całą rodziną w czwartki do Gdańska rządowym samolotem, a dziś tatusz jakimś przestępcom wiarę daje? Że Ruscy woleli Kaczyńskiego niż tatusia? Wstyd!

Senior: Co?

Junior: No, właśnie!

Bez względu na to, czy chodzi o zaporę na granicy, czy o środki KPO, Robert Biedroń często i chętnie atakuje Polskę na arenie międzynarodowej. Wielokrotnie głosował też za rezolucjami wymierzonymi w kraj, jak ta w sprawie zablokowania wypłaty Polsce 35,4 mld euro z funduszu odbudowy. Teraz ten sam Robert Biedroń ogłosił, że wraz z innymi lewicowymi politykami walczy w Unii Europejskiej o środki dla Polski. Dobry żart!

„Walczymy w Brukseli w sprawie pieniędzy z Unii Europejskiej dla Polski. Jesteśmy tutaj, ponieważ uważamy, że środki unijne należą się Polkom i Polakom, ale prócz pieniędzy Polsce należy się także praworządność” – ogłosił w minionym tygodniu na Twitterze eurodeputowany i współprzewodniczący Nowej Lewicy.

Można by pomyśleć, że nie ma nad Roberta Biedronia lepszego obrońcy polskich interesów. Na wypadek gdyby ktoś zapomniał, przypomnę, że Robert Biedroń rok temu wysłał specyficzne pozdrowienia dla rządu Zjednoczonej Prawicy z Parlamentu Europejskiego. „Ze Strasburga wysyłamy mu przesłanie, że Strasburga »with love«: figę z makiem dostaniecie, jeśli będziecie prześladować kobiety, jeśli nie będziecie szanować niezależności sądów, jeśli będziecie podnosić rękę na mniejszości” – mówił Biedroń w październiku 2021 r. podczas wystąpienia w Parlamencie Europejskim.

W czerwcu br. Parlament Europejski 411 głosami za przy 129 głosach przeciw i 31 wstrzymujących się zagłosował za rezolucją w sprawie zablokowania wypłaty 35,4 mld euro z funduszu odbudowy, dopóki rząd w Warszawie nie zrealizuje reform gwarantujących przestrzeganie w Polsce reguł praworządności. Za tą rezolucją zagłosował także Robert Biedroń.

Ciekawe jednak jest to, że ocena działań Roberta Biedronia nie jest jednoznaczna w samym klubie. Maciej Konieczny

Strategie do poprawki

Coś chyba zaczyna pękać w szeregach Zjednoczonej Prawicy odnośnie do strategii Polski w relacjach z Komisją Europejską i walki o środki z KPO



z Partii Razem, która z Nową Lewicą tworzy klub parlamentarny Lewicy, zapytany o wyprawę do Brukseli polityków Lewicy w sprawie uruchomienia środków z KPO, przyznał w Radiu RMF FM w rozmowie z Robertem Mazurkiem: „Ja panu redaktorowi uczciwie powiem, nie zgadzam się z tym głosowaniem. Niemądrze głosowali, źle głosowali. Za każdym razem, kiedy mam okazję rozmawiać z Robertem Biedroniem, próbujemy go przekonać do głosowania w inny sposób, bo uważamy, że PiS jest czymś, co się Polsce przydarzyło, a nasza obecność w Europie, te pieniądze, to jest coś fundamentalnie ważnego dla następnych dziesięcioleci. Ja się po prostu z tymi głosowaniami nie zgadzam. [...] Z europosłami Nowej Lewicy

w tym przypadku się nie zgadzam i wiem, że nie jestem w tym odosobniony”. Ze słów Koniecznego wynika, że część jego sejmowych kolegów krytycznie ocenia poczynania Roberta Biedronia w Parlamencie Europejskim i nie ma w obozie Lewicy jednomyślności w tej sprawie.

W każdym razie coś chyba zaczyna pękać w szeregach Zjednoczonej Prawicy odnośnie do strategii Polski w relacjach z Komisją Europejską i walki o środki z KPO. Adam Bielan przyznał w TVN24, że jest za tym, żeby zakończyć spór z Komisją Europejską, co jednak jest pewną nowością w narracji obozu władzy, jeśli chodzi o spór z eurokratami. „Namawiam moich kolegów w obozie Zjednoczonej Prawicy do tego, żeby być bardziej elastycznym w rozmowach z Komisją Europejską i jestem często za to krytykowany” – mówił Bielan w rozmowie z Konradem Piaseckim.

Co do jednego wszyscy się zgadzają: Polska i Polacy potrzebują środków z KPO oraz środków z funduszu spójności, których utrata też przez chwilę nad Polską zawisła. Może warto, żeby wszyscy jeszcze raz przemyśleli swoje strategie. I część opozycji, i część obozu władzy. Wszyscy na tym zyskają.

Dorota Losiewicz

Pekin zamiast Moskwy

Niemcy



Port w Hamburgu

Chiński koncern spedycyjny COSCO przejmie udziały w hamburskim terminalu kontenerowym. To efekt kompromisu wypracowanego przez sześć niemieckich ministerstw.

Sprawa wywołała kontrowersje, ponieważ w chwili, gdy Niemcy próbują uniezależnić się od importu rosyjskich nośników energii, umowa z chińskim inwestorem jest postrzegana jako zwiększenie zależności od Pekinu. Według przeciwników transakcji jej przeprowadzenie przełoży się na rozszerzenie – i tak już znaczących – chińskich wpływów w strategicznym dla Europy sektorze transportu morskiego i infrastruktury portowej (chińskie firmy mają już udziały w 18 portach Unii).

Przeciwni transakcji byli przede wszystkim Zieloni. Minister spraw zagranicznych Annalena Baerbock zaznaczyła, że Berlin nie powinien powtarzać błędów, które popełnił w przypadku Rosji. Wtórował jej prezydent Frank-Walter Steinmeier, który podkreślił podczas wizyty we wtorek w Kijowie, że Niemcy muszą odrobić lekcję pły-

nącą z wojny na Ukrainie. Oznacza to według niego zredukowanie jednostronnych zależności, tam gdzie tylko jest to możliwe, a w szczególności wobec Chin. Zieloni wskazywali także na asymetrię we współpracy z Chinami: podczas gdy chińskie podmioty są obecne w europejskim sektorze transportu morskiego, europejskie firmy nie mogą w Chinach oferować usług nawet w transporcie śródlądowym.

Odminną perspektywę miał jednak Urząd Kanclerski, który naciskał na sprzedaż udziałów. Kanclerz Olaf Scholz w latach 2011–2018 był burmistrzem Hamburga, a dla obecnych władz miasta priorytetowe znaczenie ma konkurencyjność portu. Ostatecznie COSCO ma przejąć 24,9 proc. udziałów w terminalu kontenerowym zamiast planowanych wcześniej 35 proc. Ma to zagwarantować, że chiński inwestor nie będzie miał znaczącego wpływu na funkcjonowanie portu. W zamian za udziały, COSCO chce zrobić z hamburskiego terminalu kluczowy punkt przeładun-

kowy w Europie. Niemieckie służby tymczasem twierdzą, że Chiny mogą stać się zagrożeniem dla Niemiec. Podczas przesłuchania w Bundestagu prezes Federalnego Urzędu Ochrony Konstytucji (kontrwywiadu) Thomas Haldenwang przekonywał, że „Rosja to burza, a Chiny to zmiana klimatu”. Niemieckie władze, w szczególności SPD, wydają się jednak nie słuchać ostrzeżeń. Na początku listopada Scholz wybiera się z wizytą do Chin w asyście delegacji przedstawicieli przemysłu. Według tygodnika „Focus” kanclerz musi rozwiązać poważny dylemat, powstały po agresji Rosji na Ukrainę i kompromitacji dotychczasowej polityki wschodniej Niemiec: czy niemiecki model ma być dalej oparty na interesie wąskiej grupy niemieckich koncernów (business first), czy na rozważaniach natury geopolitycznej (politics first)? Ten pierwszy jest ryzykowny politycznie, a drugi – gospodarczo, bo na szali leżą dalsze losy Niemiec jako gospodarczego lidera Europy.

Aleksandra Rybińska

Fot. Shutterstock

Niepoprawny hinduista

24 października Hindusi obchodzili jedno ze swoich najważniejszych świąt – Diwali, zwane świętem światła, szczęścia i dobrobytu. Tego samego dnia w Londynie zapadła decyzja, że nowym premierem Wielkiej Brytanii zostanie pierwszy w historii tego kraju wyznawca hinduizmu – Rishi Sunak, który zastąpił Liz Truss. Rezygnacja tej ostatniej oznacza porażkę frakcji konserwatywnej w łonie torysów. Ustupająca szefowa rządu chciała bowiem odnowić partię, nie bojąc się stawiać na osoby znane z przywiązania do zasad chrześcijańskich. Świadczyła o tym obecność w jej gabinecie ortodoksyjnych katolików, takich jak np. Thérèse Coffey czy Jacob Rees-Mogg.

Rishi Sunak jest pierwszym brytyjskim premierem wywodzącym się z rodziny niechrześcijańskiej. Wcześniej było co prawda czterech szefów rządu, którzy deklarowali, iż są niewierzący (David Lloyd George, Neville Chamberlain, Clement Attlee i James Callaghan), ale każdy z nich dorastał w środowisku chrześcijańskim. Był też jedyny szef rządu urodzony jako wyznawca judaizmu (Benjamin Disraeli), jednak przyjął on chrzest w wieku 13 lat.

Wydawać by się mogło, że wybór Hindusa na premiera zostanie powitany z radością przez środowiska lewicowe jako triumf różnorodności, wielokulturowości, antykolonializmu i antyracizmu. Tak się jednak nie dzieje. Dłaczego? Wyjaśnia to portal organizacji Each Other, tak charakteryzujący sylwetkę nowego szefa rządu: „W kwestii imigracji Sunak konsekwentnie głosił za silniejszym egzekwowaniem przepisów imigracyjnych i prawie zawsze głosował za bardziej rygorystycznym systemem azylowym. [...] Nigdy nie głosował za równymi prawami dla małżeństw osób tej samej płci i nigdy nie głosował za umożliwieniem osobom nieuleczalnie chorym pomocy w zakończeniu ich życia. Sunak »prawie zawsze« głosował przeciwko środkom zapobiegającym zmianom klimatu i »ogólnie głosował przeciwko« przepisom promującym równość i prawa człowieka w Wielkiej Brytanii”. To tłumaczy, dlaczego na lewicy mają nosy zwieszone na kwintę.

Grzegorz Górny

Wielka Brytania

Fot. Shag 779/Shutterstock.com



Prezydent Korei Południowej Yoon Suk-yeol powiedział, że zgodnie z jego informacjami, Korea Północna zakończyła przygotowania do przeprowadzenia kolejnej – siódmej już – próby nuklearnej. Sytuacja na półwyspie wywołała ożywioną dyskusję w Korei Południowej tym bardziej, że północnokoreański dyktator Kim Dzong Un oświadczył niedawno, że jego państwo ma atomowy potencjał i może dokonać wyprzedzającego ataku nuklearnego w razie zagrożenia z Południa.

Po tych wypowiedziach, a także w związku z poparciem przez Pjongjang rosyjskiej agresji na Ukrainę, co może zwiastować również współpracę z Moskwą w domenie jądrowej, niektórzy eksperci w Stanach Zjednoczonych zaczęli mówić o fasku polityki denuklearyzacji Korei Północnej. W samej Korei Południowej w związku z agresywnymi wypowiedziami Kim Dzong Una, a także wobec niedawnej północnokoreańskiej próby z rakieta balistyczną zdecydowanie rośnie liczba zwolenników powrotu do własnego programu budowy broni atomowej. W świetle przeprowadzanych ostatnio badań opinii publicznej opowiada się za tym blisko 3/4 obywateli Korei Południowej. Analitycy z instytutu SAND są zdania, że wskaźnik ten może jeszcze wzrosnąć, jeśli Korea Północna przeprowadzi kolejną próbę jądrową.

Głównym tematem dyskusji prowadzonej w Seulu jest amerykański parasol jądrowy.

Większość ekspertów jest zdania, że Waszyngton nie odwoła się do swojego potencjału nuklearnego, nawet jeśli Korea Północna zaatakuje przy użyciu broni masowego rażenia. Pjongjang dysponuje bowiem środkami przenoszenia zdolnymi osiągnąć kontynent amerykański, a to zdaniem ekspertów zmienia amerykański rachunek i czyni wątpliwym skłonność do udzielenia atomowej odpowiedzi, jeśli w grę będzie wchodzić istnienie jednego z wielkich amerykańskich miast. Koreańczycy z Południa chcieliby mieć w związku z tym własną broń jądrową.

Z sondaży przeprowadzonych przez Chicago Council on Global Affairs wynika, że za taką opcją jest 67 proc. ankietowanych, podczas gdy jedynie 9 proc. liczy na parasol amerykański, w tym dyslokację broni jądrowej na półwysep. W Seulu uważa się również, że ewentualne zbrojenia nuklearne Korei Południowej mogą skłonić Pekin do poważniejszego niż do tej pory podejścia do kwestii denuklearyzacji Północy i otworzyć drogę do poważnych negocjacji.

Wydaje się zatem, że w odpowiedzi na kolejną północnokoreańską próbę jądrową Seul może wypowiedzieć traktat o nierozprzestrzenianiu broni atomowej i wznowić własny program. Jak się szacuje, Korea Południowa dysponuje obecnie możliwościami skonstruowania nawet 4 tys. ładunków nuklearnych, a to może oznaczać, że na Półwyspie Koreańskim może nas czekać atomowy wyścig zbrojeń i gra nerwów.

Marek Budzisz



Spór o Ukrainę

„Szkolenie ukraińskich żołnierzy w Chorwacji oznacza udział w wojnie. To jest granica, na której przekroczenie się nie zgodzę” – zapowiedział w zeszłym tygodniu prezydent Zoran Milanović (na zdj.), kontynuując serię wypowiedzi, w których demonstruje całkowity brak solidarności z Ukrainą.

Jeszcze przed rosyjskim atakiem Milanović nazwał Ukrainę „skorumpowanym państwem, które nie ma czego szukać w NATO”. Następnie, już po wybuchu wojny, stwierdził, że agresja Rosji została spowodowana rozszerzeniem NATO. Po czym zrelatywizował rosyjską masakrę w Buczy, by w końcu powiedzieć, że wojna na Ukrainie nie jest aż tak brutalna, jak niektórzy twierdzą, i że lepiej byłoby, gdyby Ukraińcy złożyli broń, bo Rosjanie są za mocni.

Teraz zareagował na plan szkolenia przez Unię Europejską ukraińskich żołnierzy w krajach członkowskich i powiedział, że taka decyzja Chorwacji byłaby udziałem w wojnie. Kilka dni po tym oświadczeniu odmówił spotkania z Nancy Pelosi, która przyjechała do Zagrzebia na szczyt Platformy Krymskiej, tłumacząc, że spikerka Izby Reprezentantów „nie jest na jego poziomie”.

Dlaczego Milanović, były szef chorwackich socjaldemokratów, zachowuje się w ten sposób?

Częściowo przyczyną jest jego walka z Andrejem Plenkovićem, premierem centroprawicowego rządu z ramienia Chorwackiej Wspólnoty Demokratycznej, który od początku wyraźnie popiera Ukrainę. Zdaniem analityków kolejnym powodem jest związek prezydenta z prorosyjskim lobby energetycznym w Chorwacji, który sięga jeszcze czasów, gdy Milanović był szefem rządu (2011–2016).

Prezydent Chorwacji ma wprawdzie ograniczone uprawnienia, ale Milanović jako naczelny dowódca armii może sprawiać pewne problemy i blokować szkolenie ukraińskich żołnierzy. Jeśli będzie upierał się przy swojej decyzji, do jej obalenia będzie potrzebna większość dwóch trzecich głosów deputowanych chorwackiego parlamentu. Problem w tym, że spora część opozycji wyraziła poparcie dla jego stanowiska. Niestety, w ciągu ostatnich kilku lat wpływy rosyjskie w Chorwacji znacznie wzrosły.

Goran Andrijačić

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Nadopiekuńcza przesada?

Grzybiarze gubią się w lasach, nadają media, dodając obowiązkową porcję hysterii. Należy uruchomić służby kontrolne, patrole prawdziwków, wojska kurkowe, ochotnicze hufce opieniek, by ratować zagubionych. W prostocie swojej i naiwności radzę grzybiarzom, by nie wchodzili do lasu, jeżeli nie wiedzą, jak z niego wyjść.

My, naród partyzanckich antenatów, nie powinniśmy przyznawać się do takich niedoborów wyobraźni. Co pokolenie jakaś część rodziny tułała się po lasach. Przede wszystkim biorąc udział w dramatycznych walkach z najeźdźcami, ale także z powodów mniej szlachetnych, jak kłusownictwo, kradzież drewna na opał, bimbrownictwo... itp.

Mogę się przyznać, bo przestępstwo uległo przedawnieniu, że dostałem kiedyś po koncercie butelkę z amatorską nalepką „Duch puszczy”. Nalepka była amatorska, lecz płyn procentowo profesjonalny. Puszczański bukiet smaków parował ze mnie przez kilka dni. Zabrzmi to niepedagogicznie, ale w tajemnicy zdradzę wam, młodzi ludzie, że najciekawsze sprawy w życiu bywają niemoralne, nielegalne i niezdrowe. To właśnie powoduje, że na straży moralności, zdrowia i legalizmu stoją całe tabuny pasjonatów, ogarniętych misją wycho-

wawczą. Co ogólnie popieram, zwracając jedynie uwagę, by nie za mocno ingerować w to, co niezbędne Polakom do życia, czyli tlen i poczucie wolności. Mówię to z pozycji pokolenia, które przeszło przez komunistyczną szkołę przetrwania: Soviet survival. Jedno z kilku mott, które mi pomagały, brzmi: po pierwsze – przetrwać, po drugie – nie śmierdieć. Nie jest bowiem łatwo ładnie pachnieć w szambie.

Administracyjny przymus ograniczający swobodę poczytań w różnych dziedzinach musi być stosowany po naszych doświadczeniach – z umiarem, bez przesady! Prof. Nalaskowski (chapeau bas!) dwa tygodnie temu zwrócił uwagę na niełatwy los kierowców łupionych mandatami. Przez lata PRL marzyliśmy o porządnym drogach, teraz kiedy je mamy, musimy się poruszać z szybkością furmanki, by nie wpaść w domową dziurę budżetową. Ech, paradoksy!

Uwaga! Koncert Towarzystwa Patriotycznego, gala nagrody „Żeby Polska była Polską”, odbędzie się 6 listopada, godz. 18.00, sala NOT, ul. Tadeusza Czackiego 3/5 w Warszawie



**Jan
Pietrzak**

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Geje w formalinie

Nareszcie! W Warszawie powstaje Queer Muzeum, czyli mówiąc wprost: miejsce upamiętniania dewiacji i dewiantów seksualnych. Słowo „queer” oznacza „dziwaczny”, więc nazwa tej placówki jest jak najbardziej prawidłowa i godna pochwały. Chodzi o uczczenie wszystkiego tego, co w sferze ludzkiej seksualności jest nienormalne, wynaturzone, chore. Dawniej by się powiedziało: to hold dla zboczenia, dziś już tak mówić nie wypada, bo cóż jest normą i kimże jesteśmy, żeby to oceniać (cytuując papieża Franciszka).

Oczywa duszy już widzę to muzeum. Przede wszystkim będzie pokazane męczeństwo. Obszerna sala, na której znajdzie się ekspozycja sławiąca homoseksualnego Kampfbundführera Ernsta Röhma, prominentnego współtwórcę hitlerowskiego nazizmu (i jego licznych towarzyszy o podobnych upodobaniach), którego wykończyli zazdrośni konkurenci z NSDAP.

Obok martyrologii Röhma pojawi się też jej kontynuacja, PRL-owska akcja Hiacynt, podczas której Milicja Obywatelska w czasie rządów generałów Wojciecha Jaruzelskiego i Czesława Kiszczaka zgromadziła dane osobowe tysięcy dewiantów (w Wikipedii nie bez przyczyny użyto kojarzącego się z nazistowskimi okupacyjnymi metodami słowa „łapanki”, choć nic nie wiadomo, by ofiary Hiacynta trafiły do jakiegoś obozu koncentracyjnego

czy do innego ośrodka odosobnienia lub internowania).

No i najnowszy epizod gejowskiego cierpienia: czasy współczesne, kiedy palono tęczę na pl. Zbawiciela i brutalnie prześladowano jej czcicieli. Na pewno znajdą się na to jakieś dowody materialne, które zostaną umieszczone w gablotach muzeum. Wyobrażam sobie także w tym ośrodku zrekonstruowany publiczny szalet przy pl. Trzech Krzyży, gdzie stare pedały (tak się kiedyś nazywało gejęw) miały swój meeting point i wyrwały młodych chłopców, zazwyczaj za sowitym wynagrodzeniem. A także pomieszczenia Dworca Centralnego, gdzie podobno homocielebryci łowili ubogie dzieciaki gotowe do sprzedania się za parę groszy.

Teraz, wracając do pierwszych słów mojego komentarzyka: dlaczego na taką placówkę czekałem przez wiele lat i jej powstanie mnie cieszy? Muzeum to według Wikipedii „instytucja kultury powołana w celu gromadzenia, badania oraz opieki nad obiektami posiadającymi wartość historyczną bądź artystyczną”.

Do widzenia, panowie (?) geje. Sami zdecydowaliście, że odchodzicie wraz z waszymi „wartościami” do formaliny.

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl



**Dominik
Zdort**

BRONISŁAW WILDSTEIN

O erystyce postępowych

Geje, których tak bardzo się państwo obawiają... – zaczął swoje wystąpienie uczestnik dyskusji. Nikt wcześniej nic o strachu, a nawet o homoseksualistach nie mówił, ale wypowiedź nie powinna dziwić. Demonstruje się w niej elementarna taktyka postępców w starciu z tradycjonalistami, w które jak zwykle przekształciła się wzmiankowana debata. Ideologia emancypacji wypracowała swoisty, erystyczny model bezrefleksyjnie stosowany przez wyznawców. Można wprowadzić go do klasycznych, klasyfikowanych przez Schopenhauera schematów, ale dziś są one już wypełnione nową, szczególną treścią.

Erystyka to technika zwyciężania w sporach. Służy wyłącznie pokonaniu dyskutanta i liczy się w niej jedynie cel, reguły nie są brane pod uwagę.

Obecnie, kiedy ośrodki opiniotwórcze usiłują narzucić ogólnowi emancypacyjną ideologię, która jest prezentowana jako jedyny dopuszczalny, bo rozumny oraz humanitarny światopogląd, erystyka wchodzi w kolejną fazę. Stosujący ją, jak wspomniany dyskutant, zwykle nie zdają sobie z tego sprawy. Oni chcą jedynie przekonać do postępowych oczywistości.

Oto dwie z technik emancypacyjnej erystyki.

ARGUMENT Z LĘKU

Poglądy obrońców kultury wyrastają ze strachu, nie sposób więc traktować ich racjonalnie, a w konsekwencji nie można poważnie traktować ich rzeczników. Ich wyobrażenia to odruch przerażenia nowoczesnością. Uwięzieni w przesądach i zakompleksieni tradycjonałiści nie rozumują, lecz reagują lękowo. Nie można z nimi dyskutować, należy ich edukować, a w skrajnych przypadkach leczyć. Utrwaleniu takiego podejścia służy wysyp neologizmów kończących się na fobii, którymi posługują się wyznawcy ideologii emancypacji.

Fobia to rodzaj nerwicy, chorobliwy lęk przed określonymi zjawiskami czy przedmiotami, który uniemożliwia funkcjonowanie społeczne. Z ludźmi chorymi nie polemizuje się, ale poddaje ich kuracji. A skoro niezgoda na homoseksualne roszczenia to homofobia, opętani nią osobnicy powinni się znaleźć w lecznicy, a nie w życiu publicznym, a ich opinie należy poddawać nie debacie, lecz medycznej diagnozie. Tak samo w wypadku transfobii, bifobii, genderfobii czy co jeszcze zostanie wymyślone w ramach poszerzania seksualno-obyczajowych orientacji. Przyjęcie tego języka to uniemożliwienie oceny żądań kolejnych egzotycznych mniejszości, które gwarantują sobie w ten sposób wyłączenie głoszonych przez siebie roszczeń spod publicznego osądu, a wątpliwości wobec nich sprowadzają do neurozy.

Pewną niespójnością ze strony lewicowych odkrywców kolejnych fobii jest domaganie się penalizacji dotkniętych nimi tradycjonalistów. Miejscem nerwicowców powinien być szpital, a nie więzienie. Nie domagamy się jednak perfekcyjnej logiki ze strony bojowników o wolność i tolerancję. Nie powinno więc także dziwić, że w lewicowym rejestrze chorób społecznych pojawia się islamofobia, która odwołuje się do innej klasy fenomenów. W ten sposób jest stygmatyzowane wskazanie odmienności kultury muzułmańskiej i jej niekompatybilności z cywilizacją zachodnią. Emancypacyjna lewica jest wrogiem tej ostatniej, działała więc będzie na rzecz wszystkiego, co może ją podważyć. Chodzi przecież o to, by wyzwolić człowieka z tradycyjnych, a więc istniejących struktur kultury i budowę nowego, wspaniałego świata.

ARGUMENT Z NAUKI

Skoro tradycjonałiści boją się wszystkiego, co nowe, lękają się więc i nauki. Kolejny dyskutant przekonywał, że z jej osiągnięciami trzeba się pogodzić tak, jak pogodziliśmy się z odkryciem bakterii czy wirusów, których istnienie było pierwotnie negowane. Mamy więc zaakceptować również to, że człowiek jest istotą biseksualną, co podobno także stwierdziła nauka. Czy stwierdziła na tej samej zasadzie co istnienie bakterii, dyskutant się nie wypowiedział.

Słyszymy często, że homoseksualizm nie jest zboczeniem, bo międzynarodowe organizacje psychiatryczne za taki go już nie uznają. Swoją naukową pewnością osiągnęły w kolejnym głosowaniu, w którym po raz pierwszy większość zdobyli przeciwnicy uznawania go za zboczenie. Czy to znaczy, że przed decydującym głosowaniem w latach 70. homoseksualizm był nim, a później być przestał? Czy gdyby psychiatrzy w przeszłości zagłosowali inaczej, to stałby się nim znowu?

Nauka ma różne oblicza i jeśli sprowadzamy wszelkie jej przejawy do tego samego, to znaczy, że niewiele o niej wiemy. Istnieje także pseudonauka, która nie spełnia kryteriów naukowości, jak gender, a fakt, że trafiła na uniwersytety jak wcześniej marksizm, niczego w tej kwestii nie zmienia. Samo wyobrażenie nauki jako wiedzy pewnej i ostatecznej, którym posługują się rzecznicy ideologii emancypacji, odwołuje do stereotypu kultury masowej i zasadniczo odbiega od jej realnego stanu.

Ze względu na objętość muszę kończyć ten wstępny rekonesans po terenie ideologicznej erystyki. Warta jest ona

gruntowniejszego przebadania. 





Walizka Ady Kućmierz

aktorki, wokalistki, autorki piosenek

Podróż to bardzo ważny element mojego życia, a momentami jego nieodłączna część. Rodzice uczyli mnie odkrywać świat od najmłodszych lat. Na swoją pierwszą samodzielną wędrowkę po Tatrach wybrałam się w dniu swoich 19. urodzin. Nauczyłam się wówczas, że mój dom jest wszędzie tam, gdzie czuję się bezpiecznie, doświadczam piękna i czuję się kochana. Uwielbiam się przemieszczać, zwiedzać, poznawać nowe przestrzenie. Kocham naturę. Samodzielnie, pieszo, z wielkim plecakiem przemierzyłam 300-km odcinek Camino de Santiago w Hiszpanii, a później powtórzyłam przygodę z plecakiem na grenlandzkim szlaku Arctic Circle Trail. Kiedy tylko mogę, odwiedzam ukochane polskie góry, nic więc dziwnego, że na swoją pierwszą trasę koncertową wybrałam okolice Sudetów i Kotliny Kłodzkiej. Było magicznie! Moim podróżniczo-muzycznym marzeniem jest zorganizowanie letniej trasy po Europie z moim ukochanym, z którym często marzymy o własnym wanie zaadaptowanym na potrzeby takiej koncertowej przygody!



UKULELE

Zawsze muszę mieć z sobą jakiś instrument. Na co dzień komponuję na fortepianie lub gitarze, ale ukulele jest zdecydowanie bardziej poręczne!



NOTATNIK

W nim notuję wszystkie teksty piosenek, które tworzę. Ile tam jest zamkniętych emocji i wspomnień!

KALENDARZ Z DŁUGOPISEM

Co roku projektuję własny planer w firmie Ogarniam się. W tym roku okładka współgra kolorem i grafiką z okładką mojej płyty „Stanę się ziemią”. A ten oryginalny drewniany długopis przywiózł mi z targów leśnych mój ukochany.





WŁÓCZKA I SZYDEŁKO

Czapki, kominy i rękawiczki na szydełku robię od kilku sezonów.

Jest to mój sposób na medytację i powrót do siebie. Jest to też jeden z moich ulubionych prezentów dla bliskich. Czy może być coś lepszego od ręcznie wykonanych ocieplaczy jesienno-zimowej aury? Na zdjęciu – rozpoczęta czapka z włóczki otrzymanej od koleżanki z teatru, Basi Giewont!

AKWARELE

Zawsze biorę z sobą w podróż farby i szkiełko.

Nie jestem mistrzynią pędzla, ale podpatrywałam, jak malowały moja mama (malarka) i siostra (rzeźbiarka). Jeśli zachwyci mnie jakieś miejsce wyjątkowo, staram się oddać to wrażenie na swoich obrazkach. Część z nich stała się ilustracjami do tekstów na płycie.



ALBUM „STANĘ SIĘ ZIEMIA”

Ostatnio nie ruszam się bez egzemplarza swojej autorskiej płyty, którą wydałam 23 września br. Znajdują się tam piosenki z moją muzyką i tekstami, w pięknych aranżacjach, za których produkcję odpowiadał Antek Sojka. Płyta jest wydana ekologicznie, bez zbędnego plastiku, z ekopapieru. Jest także wersja drewniana z grawerem laserowym oraz drewniane pendrive'y z muzyką oraz – kolekcjonersko – winyle.



MATA DO JOGI

Wyjazd nie może być przerwą od ćwiczeń i codziennej porannej jogi. Wręcz przeciwnie – podróż może być powodem do pogłębienia praktyki.

ZDJĘCIA RODZINNE

Lubię wracać wspomnieniami do dzieciństwa. Ostatnio szczególnie wzruszają mnie zdjęcia: z mamą, siostrą i dziadziami, z tatą na moich pierwszych zimowych feriach i z siostrą Joasią przy sankach, które dostałyśmy od św. Mikołaja.



MEYNEK I AEROPRESS

Aromatyczna

kawa jest dla mnie równie ważna jak spokojny wieczór, długa kąpiel czy dobra książka. To coś więcej niż napój – to mój moment celebracji i część porannej rutyny. Do kompletu – konieczna porcelanowa filiżanka!



MIKROFON

Często jeżdżę grać koncerty w różnych miejscach – lubię mieć swój mikrofon, który dostałam od taty jeszcze na studiach, a do kompletu dołączył ostatnio statyw, który sprezentował mi na urodziny mój chłopak Krystian.



KSIĄŻKA

Dobra książka to podstawa, ale niestety nie zawsze znajduję czas, by do niej zajrzeć. Lubię ten moment, kiedy w pociągu lub na werandzie zanurzam się w lekturze. Tutaj: kilka szalenie przyjemnych rad, jak znaleźć klucz do szczęścia, w pożyczonej od przyjaciółki książce „Hygge”.



BUTY

Tych butów używam wyłącznie w teatrze, na sali baletowej, sali prób i scenie, podczas prób do spektakli i innego rodzaju występów. Są bardzo komfortowe i można w nich zatańczyć wszystko!



Wysłuchał **Michał Korsun**

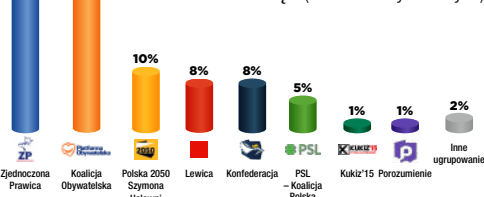
Rysują Mr Donk & dr Fish



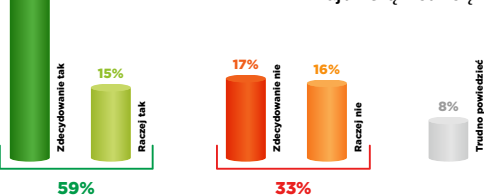
pracownia Social Changes dla wPolityce.pl

nasz sondaż

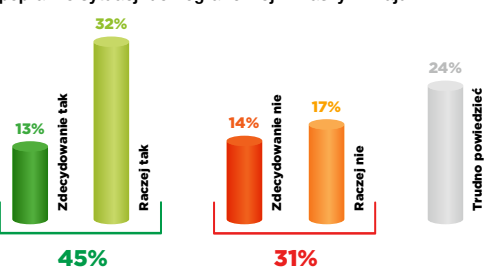
Na które ugrupowanie polityczne oddałaby Pani/oddąłby Pan głos, gdyby wybory do polskiego parlamentu odbywały się w najbliższą niedzielę? (bez niezdecydowanych)



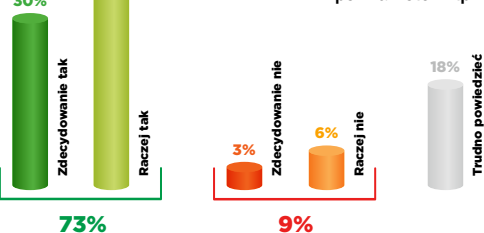
Czy wzięłaby Pani/wziąłby Pan udział w wyborach do polskiego parlamentu, gdyby odbywały się one w najbliższą niedzielę?



Czy popiera Pani/Pan utworzenie Instytutu Rodziny i Demografii w celu badania i diagnozowania wyzwań związanych z kwestiami demograficznymi i rekomendowania politykom rozwiązań służących poprawie sytuacji demograficznej w naszym kraju?



Czy Pani/Pana zdaniem należy w Polsce wprowadzić przepisy ułatwiające zagospodarowanie na cele mieszkaniowe obiektów i nieruchomości, które służyły wcześniej prowadzeniu działalności handlowej, np. zamkniętych hipermarketów itp.?



Badania zrealizowane metodą CAWI (Computer Assisted Web Interview) na panelu internetowym. Badania przeprowadzone na ogólnopolskiej, reprezentatywnej (pod względem: płci, wieku, wielkości miejsca zamieszkania) próbie Polaków. W badaniu wzięło udział N=1066. Zakres czasowy badania 21–24 października 2022 r.

SIECI

ISSN 2544-2694
www.wSIECIprawdy.pl

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL. (22) 616 36 00, (22) 255 93 32; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: ŁUKASZ ADAMSKI, GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZISZ, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWIŃSKI, LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNIA, GRZEGORZ GÓRNY, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, MICHAŁ KARŃOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, CEZARY KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, JAROMIR KWIATKOWSKI,

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTYBUCJA: MARIOLA BARCİKOWSKA,
MARIOLA.BARCİKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY:
MICHAŁ KORSUN, MICHAŁ.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK),
ANDRZEJ.SKWARCZYŃSKI@FRATRIA.PL,
LIDIA SŁOWIKOWSKA-SMOLINSKA, KATARZYNA ŁASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL,
OBROBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00 (GODZ. 9.00 – 17.00), (22) 255 93 32
PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE
WWW.WSIECI.PRAWDY.PL

WPLAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPLATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO
WYSŁĘKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

PRENUMERATA REALIZOWANA PRZEZ RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA
E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE
WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL.

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARŃOWSKI

ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ,
TOMASZ OZDOWY, MAREK PIŻA, MARCIN WIKŁO

JAKUB MACIEJEWSKI, RYSZARD MAKOWSKI, MAJA NARBUTT,
MARZENA NYKIEL, SAMUEL PEREIRA, JAN PIETRZAK,
JAN POSPIESZAŁSKI, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH
RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBINSKA, WOJCIECH
STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWIEŹLIK, ROBERT TEKIELI, MACIEJ
WAŁASZCZYK, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA,
DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL:
PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ
Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH” POD NUMERAMI:
22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE
W GODZINACH 7⁰⁰ – 17⁰⁰.

KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93
PAULINA KĄKOL – PAULINA.KĄKOL@FRATRIA.PL
MARCIN DĄBROWSKI – MARCIN.DĄBROWSKI@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZĘGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA
I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O.
WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE
(WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE).
REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH.
OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU
POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY.
BEZUMÓWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH
PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST
ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.



FOT. NA OKŁADCE: A. WIKTOR, K. KAPICA/FASTNEWS, PODLEWSKI/AKPA, MACIEJ BEDRZYCKI/CPN

Europa wolności

Korzenie Europy znanej jako wspólnoty wolności biegają torem równoległym do chrześcijaństwa, prawa rzymskiego i greckiej kultury. Chrześcijaństwo ustanowiło mentalną i terytorialną tożsamość Europy. Wspólnota cywilizacyjna i społeczna Starego Kontynentu była pod tym względem wyjątkowa na tle innych cywilizacji. Według słynnego amerykańskiego politologa Samuela Philipa Huntingtona, który już trzy dekady temu zdecydowanie krytycznie wypowiadał się na temat lansowanej przez światowy mainstream tezy Francis Fukuyamy o końcu historii, fundamentem sukcesu zjednoczeniowej Europy było wspólne dziedzictwo kulturowe, które sprawdziło się jako trzon zasad regulujących życie poszczególnych społeczeństw do tego stopnia, że nasza cywilizacja zyskała rangę światowej.

Różnorodność poszczególnych narodów spojona przez chrześcijaństwo zrodziła zasady konkurencji, ukształtowała trwałe struktury polityczne, a za najbardziej sprzyjający rozwojowi ustrój zostało uznane państwo narodowe zarządzane przez władze wybierane w demokratycznych wyborach. Kluczową rolę w procesie kształtowania się opisanych organizmów państwowych odegrał Kościół katolicki i jego struktura oparta na zasadzie subsydiarności – pomocniczości, która stanowi jeden z filarów katolickiej nauki społecznej. W encyklice *Quadragesimo Anno* papieża Piusa XI wskazano, że jednostka powinna wykonać samodzielnie to, co może, jeśli zaś z jakichś względów nie umie sobie poradzić, to musi mieć zagwarantowane wsparcie i pomoc ze strony państwa. Fenomenem w skali Europy i świata jest Polska i inne państwa Europy Środkowej i Wschodniej, których narody mimo licznych najazdów, a nawet utraty państwowości przetrwały, opierając swoje funkcjonowanie właśnie na chrześcijańskich i antycznych korzeniach Europy.

Ojcowie zjednoczonej Europy – Adenauer, Schuman, De Gasperi – byli katolikami, a idee tworzące zręby współczesnej Unii Europejskiej mają swoje korzenie w chrześcijaństwie. Zasada subsydiarności to jedna z podstawowych reguł ustrojowych UE, której zadaniem jest stanie na straży wolności obywateli państw zjednoczonej Europy, a ściślej zapobieżenie rządów urzędników nieposiadających legitymacji demokratycznej. Wedle zasady pomocniczości na szczeblu unijnym powinny być podejmowane tylko te działania, których podjęcie na wyższym poziomie zapewnia większą skuteczność niż pozostawienie ich w kompetencji poszczególnych rządów narodowych. Subsydiarność odnosi się zarówno do kompetencji organów wspólnotowych, jak i zasad stanowienia prawa przez uprawnione organy UE. Jak kategorycznie stwierdzają źródła unijne, zasada pomocniczości wyklucza interwencję Unii w przypadku, gdy problem może zostać skutecznie rozwiązany samodzielnie przez państwa członkowskie na szczeblu centralnym, regionalnym lub lokalnym.



**Marta
Kaczyńska-
Zielińska**

Celem wprowadzenia zasady pomocniczości do traktatów europejskich było wykonywanie kompetencji na szczeblu jak najbliższym obywatelowi zgodnie z zasadą bliskości określoną w traktacie o Unii Europejskiej. Kompetencje przysługujące organom Unii Europejskiej zostały zaś określone w sposób precyzyjny i nie powinny podlegać wykładni rozszerzającej.

Współczesna zjednoczona Europa funkcjonuje na płaszczyznach narodowych, co jest widoczne, zwłaszcza gdy przychodzi zmagać się z kryzysami. Poszczególne państwa, których suwerenem jest naród, podejmują działania w swoim najlepiej rozumianym interesie. Drugą płaszczyzną jest sfera kompetencji UE, w której rzeczywistą rolę władczą odgrywają nie pochodzący z wyboru urzędnicy i która wbrew powoływanej w traktatach zasadzie pomocniczości uzyskuje coraz to większe kompetencje. Ponadto forsuje ideologię, niemającą nic wspólnego z prawdziwą tożsamością Europy, która zapewniła jej wielowiekowe trwanie i której owocem była idea europejskiej integracji.

*Ze smutkiem przyjąłem wiadomość
o śmierci*

**śp.
Anny z Czartoryskich
Radziwiłłowej**

*Mamy Konstantego Radziwiłła
Wojewody Mazowieckiego*

*Rodzinie i Bliskim
składam
wyrazy głębokiego współczucia*

*Mateusz Morawiecki
Prezes Rady Ministrów*

46/1022/F

O wyższości łapówki nad rosyjskim śladem

Sześć protokołów, dziesiątki wątków oraz jeden podejrzany i świadek zarazem. W sprawie Marcina W. oraz tego, kiedy i co powiedział, dobrze sobie uporządkować pewne wątki, bo zrobił się już taki dym medialny, że zwyktemu człowiekowi może być ciężko nadgonić.

Zaczął się „niewinnie”, czyli teorią spiskową Grzegorza Rzeczkowskiego na temat afery taśmowej, który słynie z licznych takich teorii. Kilka lat temu lansował (wyśmianą przez dziennikarzy) teorię, zgodnie z którą za procederem nagrywania stali Rosjanie. Rzeczkowski wydał nawet książkę na ten temat, co nie przeszkodziło mu w żaden sposób teraz, kilka lat później, wyskoczyć z nową teorią spiskową, czyli historią o tym, że za procederem jednak Rosjanie nie stali, ale oni te taśmy kupili. Oparł się tutaj na wyjaśnieniach byłego współnika Marka Falenty, Marcina W., który o wyjeździe do rosyjskiego Kemerowa z maja 2014 r. mówił bydgoskiemu CBŚP kilka miesięcy później, we wrześniu oraz gdańskiej prokuraturze kilka lat później, w czerwcu 2021 r. Te dwie relacje różni to, że po siedmiu latach W. „przypomniał sobie”, że na spotkaniu z ro-



Samuel Pereira

syjskimi biznesmenami węglowymi Falenta sprzedał im taśmy, a w 2014 r. o niczym takim nie wspomina. Z kolei te dwie historie łączy fakt, że były to wyjaśnienia podejrzanego, a więc takie, które składa się bez odpowiedzialności karnej za kłamstwo.

Nie przeszkodziło to jednak przewodniczącemu PO Donaldowi Tuskowi w oparciu o jeden artykuł, który opierał się na jednych wyjaśnieniach – pobiec przed kamery, rzucić kilka insynuacji i na tak wątej podstawie zażądać komisji śledczej. Pal sześć, że dla każdego rozsądnego obserwatora życia publicznego taki pomysł rok przed wyborami to oczywiste szu-

kanie areny do politycznej naparzanek – zadziwiająca jest ta krótkowzroczność, postawienie wszystkiego na jedną i to tak chwiejną kartę. Desperacja jak widać jest tak wielka, że przesłoniła zdrowy rozsądek i teraz mamy walkę dwóch opowieści Marcina W., z których akurat ta o 600 tys. euro łapówki jest szczegółowa i dokładna, a biorąc pod uwagę fakt, że wątek Napieralskiego zaczyna się potwierdzać – coraz bardziej wiarygodna.

Autor jest szefem portalu tvp.info

Wiele ważnych lekcji

*Z aktorką **Katarzyną Ucherską** rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna*

Można pani pozazdrościć: najpierw metamorfozy w show „Twoja twarz brzmi znajomo”, teraz sceniczne zanurzenie w świat Alicji w Teatrze Ate-neum.

Katarzyna Ucherska: To rzeczywiście wyjątkowy czas. Intensywny w doświadczenia twórcze i osobiste. Przez ostatnie miesiące mierzyłam się z zupełnie nowymi zadaniami, obnażałam publicznie ze swoich słabości, wędrowałam po obcej przestrzeni telewizyjnych ostrych reguł i bezwzględnych komentarzy internetowych, żeby wynieść dla siebie wiele ważnych lekcji. I teraz w „Alicji w Krainie Snów” w reżyserii Wawrzyńca Kostrzewskiego będę opowiadać właśnie taką historię, z tym że z perspektywy młodej dziewczyny, która wkracza w bezkompromisową dorosłość.

Które z wcieleni z show „Twoja twarz brzmi znajomo” dało pani najwięcej satysfakcji?



Amy Lee, Kalina Jędrusik i jeszcze jedna, której na razie nie mogę zdradzić. Świetnie się czułam jako Marian Gold z zespołu Alphaville. Najtrudniejszym wcieleniem był Michael Jackson – głos, charakter, osobowość, taniec, gestykulacja, emocje. Po każdym przebiegu miałam tętno w okolicach 190, a kondycję mam wymienioną.

Jaka będzie pani Alicja? I jaka jej kraina?

Moja Alicja szuka swojej tożsamości we współczesnym świecie. Zderza się z przeróżnymi osobowościami, które w różny sposób pokazują jej, że życie to nie bajka. Zdradzana i odrzucana, dostająca sprzeczne sygnały i nadzieje, pozostanie buntownicza i ciekawa świata, odważna i przerażona jednocześnie. A Kraina Snów, którą opowiadamy, jest przestrzenią podświadomości i psychologicznych zagadek. Stróżem tego świata jest mroczny Biały Królik rodem z filmu „Donnie Darko”.

*Z bólem i poczuciem dotkliwej straty
przyjąłem wiadomość o śmierci*

**ŚP.
ANDRZEJA MYCA**

*uczestnika opozycji demokratycznej, człowieka Solidarności,
inicjatora jednego z pierwszych strajków
Sierpnia 1980 na Dolnym Śląsku, współtwórcę i członka
Rady Solidarności Walczącej,
wielkiego sumienia, wybitnego biologa i immunologa,
profesora uniwersytetów polskich i amerykańskich.*

***Rodzinę i Bliskich zmarłego
proszę o przyjęcie najszczerzych
wyrazów współczucia.***

Mateusz Morawiecki
Prezes Rady Ministrów



Z wielkim smutkiem przyjąłem wiadomość o śmierci

**Prof.
WŁADYSŁAWA
MĄCIORA**

*wybitnego prawnika, błyskotliwego specjalisty prawa karnego,
kształtującego wielu adeptów prawa Uniwersytetu Jagiellońskiego
Odszedł niezłomny obrońca praw ofiar,
człowiek o nieprzeciętnej inteligencji i rozległej wiedzy*

***wyrazy głębokiego współczucia
RODZINIE i BLISKIM***

składa
ZBIGNIEW ZIOBRO
MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI PROKURATOR GENERALNY



*Z wielkim żalem i smutkiem
przyjęłam wiadomość o śmierci*

**ŚP.
ANNY Z CZARTORYSKICH
RADZIWIŁŁOWEJ**

*Mamy Wojewody Mazowieckiego
Konstantego Radziwiłła*

***Rodzinie i Bliskim
składam wyrazy
głębokiego współczucia i otuchy***

Julia Przyłębska
Prezes Trybunału Konstytucyjnego



Z głębokim żalem żegnamy

TOMASZA WÓJTOWICZA

*wybitnego sportowca, Mistrza Olimpijskiego
i Mistrza Świata w siatkówce,
zawodnika legendarnej drużyny Huberta Jerzego Wagnera,
Ambasadora Województwa Lubelskiego,
człowieka o wielkim sercu.*

***Rodzinie i bliskim
wyrazy współczucia***

składa
Marszałek Województwa Lubelskiego
Jarosław Stawiarski
wraz z Zarządem

*Czy to naprawdę się zdarzyło?
Ujawniamy szokujący trop dotyczący
działań na szczytach władzy z końców
rządów Platformy Obywatelskiej*

Tajemnica reklamówki



WOJCIECH BIEDROŃ

Protokoly przesłuchań Marcina W., które ujawnił prokurator generalny, zostały zgodnie wyśmiane przez opozycję i jej media. Publicyści zajmowali się sprawą „reklamówki z Biedronki” i tym, czy mieściła się w niej kwota wskazana przez Marcina W., czyli

600 tys. euro. Nagle ten kluczowy świadek, jak mawiał o nim Donald Tusk, przestał być wiarygodny. Tymczasem zeznania Marcina W. i sprawa reklamówki z popularnego dyskontu mogą okazać się dużo poważniejsze, niż dziś wydaje się to dziennikarzom i politykom. O co naprawdę chodziło w rzekomym fakcie przekazania korzyści majątkowej synowi Donalda Tuska?

Z naszych informacji i po analizie zeznań Marcina W. wynika, że może chodzić o interes między Ciechem a Markiem F. oraz o ważną ustawę dotyczącą węgla, którą Platforma Obywatelska przepchnęła przez parlament. Jej zada-

nem miało być ograniczenie na polskim rynku ilości rosyjskiego węgla, w rzeczywistości zaś szerzej otworzyła przed nim polskie drzwi.

MILIONY TON WĘGLA Z ROSJI

Plan Marka F., który wyłania się z zeznań Marcina W., był następujący. Ciech, tuż przed przejściem go przez Jana Kulczyka, miał wejść w poważny deal ze Składy-Węgla.pl prowadzonymi przez F. W grę wchodził kontrakt nawet na 1 mln ton węgla rocznie. Szkopuł w tym, że węgiel miał być rosyjskiego pochodzenia. Na to oficjalnie wciąż jeszcze państwowy Ciech



nie mógłby pójść. Po prywatyzacji, tak uważa wiarygodny dla Tuska świadek Marcin W., też byłyby z tym problemy. Ale SkładyWęgla.pl to polska firma, która w 2014 r. miała wejść na giełdę.

„Interes węglowy z Ciechem to miał być interes spółek powiązanych ze SkładamiWęgla.pl [...], które miały pośredniczyć między Rosjanami [...] Ciechem. Kontrakt miał być tak duży, że nie byliśmy w stanie go zrealizować. Ciech nie mógł wówczas jako jeszcze spółka państwowa kupić węgla pochodzącego z Rosji. [...] Dlatego miało to być poukładane w taki sposób, że K.Rosja (tak nazywała się rosyjska firma węglowa) sprzedaje

węgiel SkładyWęgla.pl, a my z kolei Ciechowi. [...] Ciech potrzebował około 1 mln ton węgla rocznie” – tak zeznał 16 lipca 2018 r. Marcin W. w Wydziale Zamiejscowym Departamentu ds. Przestępczości Zorganizowanej i Korupcji Prokuratury Krajowej w Łodzi. I dalej: „Chodzi o to, że byliśmy już z wszystkim dogadani, była zgoda na ten kontrakt po stronie rządzących Polską, zgoda była po stronie Ciechu, a także Rosjanie mieli wolę dostarczać węgiel i już część nawet dostarczyli, a co najważniejsze – byli już [...] przygotowane terminale na pomieszczenie tego węgla. Czekaliśmy tylko na wejście na giełdę oraz podpisanie kontraktu. Chodziło o wiarygodność spółki. Ta wiarygodność była potrzebna głównie dla Ciechu i dla rządu Polski” – mówił Marcin W. przed prokuratorem.

TAJEMNICZA USTAWA

W tym wątku pojawia się tajemnicza ustawa, która miała pomóc Markowi F. i Marcinowi W. w dopięciu całego interesu.

„Przywiezienie takiej ilości węgla trwa miesiące. Chodzi o zapisy ustawy o imporcie węgla, która powstała według Marka F. pod nasz kontrakt i która mówi, że w Polsce nie będzie można korzystać z węgla o określonej wysokości zasilczenia. Chodzi o to, że rosyjski węgiel nie zawierał zasilczenia, a polski tak [...]]. Wszystko dopięte, jak zdecydowałem się na przekazanie tej łapówki, którą odebrał Michał Tusk. Transakcja nie została dopięta w tym sensie, że nie została zawarta z uwagi na to, co wspomniałem, czyli moje zatrzymanie i niew wejście SkładówWęgla.pl na giełdę” – zeznał w 2018 r. Marcin W.

O jakiej ustawie mówił człowiek, który miał rzekomo domykać korupcyjny układ? Z naszych ustaleń wynika, że może tu chodzić o nowelizację ustawy o systemie monitorowania i kontrolowania jakości paliw. W gąszczu kombinacji zgubił się sam Marcin W., zeznając później, że ustawa nie weszła w życie, a była to nieprawda.

Ustawa w teorii miała blokować węgiel niskiej jakości, który trafiał do Polski z różnych części świata, także z Rosji. Nowelizacja nie powinna więc budzić żadnych zastrzeżeń. W uzasadnieniu

do poselskiego projektu nowelizacji czytamy m.in., że „mimo znacznych zapasów wydobytego węgla Polska importuje ten surowiec, w szczególności z Federacji Rosyjskiej”.

„W 2013 r. zaimportowano do Polski ok. 10,8 mln ton węgla, w tym ok. 7 mln ton z Rosji. Węgiel importowany do Polski nie posiada certyfikatów jakościowych i w znaczącej części wykorzystywany jest w gospodarstwach domowych” – czytamy w projekcie ustawy.

Czy w świetle tych zapisów można uznać, że sejmowa nowelizacja została napisana pod rosyjskie interesy Marcina W. i Marka F.? Warto prześledzić jej sejmowe losy i fakt, że problem z nowelizacją polega na tym, iż podobnie jak mówił w zeznaniach Marcin W., węgiel spełniający wysokie normy to właśnie węgiel rosyjski. Przez bliskość źródła dostawy jest on dodatkowo konkurencyjny cenowo z węglem (o zgodnych z nowelizacją parametrach) sprowadzanym z innych stron świata.

– Nowelizacja teoretycznie była potrzebna i uzasadniona, ale *de facto* dawała rosyjskiemu węglowi o odpowiedniej, zgodnej z ustawą jakości bardzo mocne fory – mówi nam prosząca o anonimowość osoba znająca zawilości polskiej energetyki węglowej. – Jeśli rzeczywiście Ciech chciał wejść w dobry interes ze SkładamiWęgla.pl, to taka ustawa mogłaby im się przydać – dodaje.

Nowelizacja zaproponowana przez Platformę Obywatelską (projekt poselski) błyskawicznie przeszła przez Sejm. Do parlamentu trafiła bowiem 12 września 2014 r., a prezydent Bronisław Komorowski podpisał ją 14 października tego samego roku. Za ustawą głosowali niemal wszyscy obecni na posiedzeniu posłowie. Wstrzymał się jedynie Przemysław Wipler.

Obecni w Sejmie posłowie Prawa i Sprawiedliwości także opowiedzieli się za rozwiązaniami nowelizacji. Tu jednak doszło do ciekawej sytuacji. Aż 19 posłów PiS nie było obecnych w trakcie głosowania, w tym prezes Jarosław Kaczyński i Joachim Brudziński.

Ustawa weszła w życie cztery miesiące po zatrzymaniu Marcina W. i po końcu snów o potęgze SkładówWęgla.pl. W czerwcu 2014 r. bohater ostatnich tygodni trafił do aresztu, w tym samym

miesiącu holding Kulczyka przejął Ciech. Prokuratura Krajowa przekonuje dziś, że Jan Kulczyk powinien zapłacić za tę firmę 52 mln zł więcej. Kilku urzędników Ministerstwa Skarbu za rządów Donalda Tuska usłyszało poważne zarzuty związane z tą transakcją. Sam Tusk kilka dni przed tym, gdy nowelizacja trafiła do Sejmu, złożył dymisję, by zająć się brukarską karierą.

„TAKIE BYŁY CZASY”

Marcin W. w trakcie swoich kontaktów z prokuratorami oraz funkcjonariuszami CBA szeroko opowiadał o dealu związanym z Ciechem. To właśnie w tym wątku pojawiają się najbardziej sensacyjne fragmenty jego zeznań i wyjaśnień. „Zarówno Marek F., jak i ja byliśmy zainteresowani tym, bo to po prostu był dla nas interes. Trzeba było jednak mieć na to zgodę rządu Rzeczypospolitej. Marek F. twierdził, że jest w stanie to załatwić, tylko potrzeba na to – z tego, co pamiętam – 600 tys. euro, które miało być przekazane, jak to mówił Marek F., »dla Tuska« w szerokim tego słowa znaczeniu, bo nie wiem, czy chodziło o partię, czy o samego Donalda Tuska, czy o rząd [...] w każdym razie pieniądze te odebrał od nas Michał Tusk, syn byłego premiera. To miała być łapówka za zgodę na zawarcie kontraktu między spółką Ciech a Składy Węgla. pl” – zeznał w 2018 r. Marcin W. w łódzkiej prokuraturze.

Marcin W. przekonywał też, że bez łapówki ta „zgoda rządu” nie byłaby możliwa. „Nawet po prywatyzacji Ciechu trzeba było zapłacić stronie rządowej łapówkę, bo takie były czasy. Żeby załatwić taki kontrakt, należało zawsze mieć przyzwolenie strony rządowej, mieć ich przychylność” – zeznał w 2018 r.

ROSYJSKI ŚLAD?

Donald Tusk i jego otoczenie chce wyjaśnić „afery węglowej” w kontekście rosyjskim. Kremłowski trop przewija się też w publikacji „Newsweeka”, ale przy okazji rzekomego sprzedania afery podsłuchowej Rosjanom. Gdyby doszło kiedyś do

powołania komisji śledczej, Marcin W. byłby jej niezwykle cennym świadkiem. Tak przekonuje sam Donald Tusk, który mówi o jego zeznaniach jako kluczowych.

Z dużo większą rezerwą, miejscami bardzo krytycznie, odnoszą się do tego liderzy obozu Zjednoczonej Prawicy, nawet prokurator generalny Zbigniew Ziobro.

Skoro według lidera opozycji Marcin W. jest wiarygodny, to z zeznań i wyjaśnień tego człowieka wyłania się brudny obraz kraju, w którym dla interesów jednego podmiotu (prywatyzowanego przez holding Kulczyka Ciechu) zmienia się ustawy, bierze się łapówki i dba o interesy potężnego lobby rosyjskiego węgla. Taką logikę trzeba przyjąć, jeśli poważnie traktuje się słowa Donalda

Marcin W. przekonywał też, że bez łapówki ta zgoda rządu nie byłaby możliwa. – Nawet po prywatyzacji Ciechu trzeba było zapłacić stronie rządowej łapówkę, bo takie były czasy. Żeby załatwić taki kontrakt, należało zawsze mieć przyzwolenie strony rządowej, mieć ich przychylność – zeznał w 2018 r.

Tuska. W zeznaniach W., nawet „państwowi” jeszcze dyrektorzy Ciechu, to już „ludzie Kulczyka”, którzy, wciąż będąc na państwowych posadach, chcą dopiąć interes z dostawami rosyjskiego węgla, które rocznie mają sięgnąć 1 mln ton. Padają nazwy rosyjskich spółek, nazwiska urzędników państwowych itd. Wszystko to w oparach korupcyjnej sauny.

Dla Marcina W. jest oczywiste, że wszystkim tym zarządzał osobiście Donald Tusk. Miał być szefem wszystkich szefów – bo był premierem rządu Pol-

ski [W. zeznał, że korumpował także Sławomira Nowaka, najbliższego niegdyś współpracownika Donalda Tuska – red.]. „Mówilem na niego tak, jak na to zasłużył” – zeznał w Łodzi Marcin W.

PROBLEM TUSKA

Teraz trzeba zapytać o wiarygodność Marcina W. i wiarę Donalda Tuska w każde jego słowo. Analiza stenogramów zeznań i wyjaśnień przez niego składanych prowadzi do jednej refleksji. To cwany gracz biznesowy z międzynarodowym doświadczeniem, umiejętnie łączący całkowitą fikcję i fakty, które mogą być prawdziwe. Zastanawia jednak, dlaczego Donald Tusk uznał go za wiarygodnego. Jakie miał na to dowody?

Borys Budka mówił niedawno, że były premier oczywiście znał zeznania współpracownika Marcina F. i dlatego przekonywał o jego wiarygodności. To jednak bardzo wątpliwe w kontekście ujawnionych przez prokuratora generalnego zeznań. No, chyba że rząd Tuska i cała administracja oraz jego własny syn, torowali znanej spółce drogę do rosyjskiego węgla, a państwo polskie i jego przedstawiciele tańczyli w rytm rosyjskich interesów węglowych. Czas już, by Donald Tusk zastanowił się nad tym dylematem.

* * *

O komentarz w tej sprawie poprosiliśmy Jacka Ozdobę, sekretarza stanu w Ministerstwie Klimatu i Środowiska, który również zwrócił uwagę na niepokojącą treść zeznań Marcina W., szczególnie w kontekście zagrożenia polskiej niezależności energetycznej w czasach rządów PO-PSL. – To musi zostać wyjaśnione. Jestem zwolennikiem komisji śledczej w sprawie uzależniania Polski od rosyjskich surowców. To, co mówi Marcin W. pokrywa się częściowo w faktach. Korupcja, siatka pieniędzy, syn Tuska to obraz, który pokazują zeznania. Gangsterski świat czy rząd? Ustawa w zamian za co? Okoliczności ustawy zmieniające m.in. parametry fizyczne węgla w świetle zeznań są więcej niż niepokojące. Na te pytania musi odpowiedzieć sam Tusk – powiedział Jacek Ozdoba.



Tajna kasa i sponsorzy



STANISŁAW JANECKI

Od początku lat 90. ub.w. o partiach, w których działał Donald Tusk, mówiono, że dostają pieniądze w plastikowych siatkach. Skąd i dlaczego?

Niezależnie od tego, na ile wiarygodne są zeznania biznesmena handlującego węglem, Marcina W., że pieniędzmi w reklamówkach finansowano Platformę Obywatelską, w europejskich stolicach i instytucjach Unii Europejskiej raczej unika się ludzi, którzy mogą stwarzać kłopoty. Takich, którym w każdej chwili może wyskoczyć jakiś trup z szafy. Albo plastikowa torba wypełniona banknotami euro.

Jest faktem, że w zeznaniach Marcina W. pojawia się wątek pieniędzy „dla Tuska”. I opis tego, jakoby syn premiera Michał Tusk odbierał 600 tys. euro umieszczone w torbie sieci handlo-

wej Biedronka. Politycy w Europie nie muszą wiedzieć, że – jak zeznawał w 2017 r. Marcin W. – „był taki niejako »fundusz łapówkowy«. Pochodził z wcześniejszych transakcji węgla z Rosjanami, który sprzedalem i z którego nie musiałem się rozliczyć”. Nie muszą wiedzieć, że „kontrakt [na dostawę 1 mln ton węgla rocznie] opiewałby na kwotę 100–120 mln dol. rocznie. [...] Trzeba było jednak mieć na to zgodę rządu Rzeczypospolitej. M.F. [Marek Falenta] twierdził, iż jest w stanie to załatwić, tylko potrzeba na to – z tego, co pamiętam – 600 tys. euro, które miało być przekazane, jak to mówił M.F., »dla Tuska« w szerokim tego słowa znaczeniu, bo nie wiem, czy chodziło o partię,

czy o samego Donalda Tuska, czy o rząd w znaczeniu rządzących wówczas Polską, w każdym razie pieniądze te odbierał od nas M.T. – syn byłego premiera”.

Politycy w Europie wiedzą jednak, że jest jakaś korupcyjna sprawa i pojawia się w niej nazwisko Donalda Tuska. Nie byłego premiera, a potem europejskiego tuza w pełni władzy, wpływów i międzynarodowych znajomości, lecz tego, którego już nawet Niemcy nie potrzebują, gdyż staje się dla nich obciążeniem. Kanclerz Olaf Scholz potrzebuje kogoś całkiem nowego z polskiej opozycji, a nie Tuska. I ma wybór między Rafałem Trzaskowskim i Szymonem Hołownią. Wobec bardzo silnej krytyki Ursuli von der Leyen w wielu państwach UE za jej

forsowanie interesów Niemiec ktoś mający znacznie mniejsze znaczenie i już wyeksploatowany jako reprezentant interesów Berlina nie ma szans na poparcie w Brukseli, a także w Paryżu, Rzymie, Madrycie czy Hadze. Tym bardziej że to Tusk obok Angeli Merkel jest i będzie rozliczany za błędy w polityce wobec Rosji.

Tusk pod koniec 2022 r. to dla rządów kluczowych państw UE oraz instytucji europejskich persona non grata. Także z tego powodu, że został skreślony w Waszyngtonie. W planach USA Tusk nie istnieje, nikt nie chce się z nim spotykać ani go zapraszać. I w takim momencie kariery byłego premiera pojawia się wątek siatek wypełnionych banknotami.

NIEMIECKA KASA

Plastikowe siatki z pieniędzmi pierwszy raz miały się pojawić na początku lat 90., gdy Donald Tusk był przewodniczącym Kongresu Liberalno-Demokratycznego. Opowiadał o tym ważny polityk KLD, a potem Platformy Obywatelskiej Paweł Piskorski. Można o tym przeczytać w książce „Między nami liberałami” – wywiadzie rzece z Piskorskim, przeprowadzonym przez dziennikarza Michała Majewskiego. Tenże Majewski był potem autorem głośnego tekstu „Tajna kasa partii Tuska”, opublikowanego w tygodniku „Wprost” (nr 18/2014). „W książce zadaję [Michał Majewski] pytanie: »Po latach, w 2000 r., w Niemczech wybuchła afera z tajnymi kontami CDU, którymi rządził kanclerz Helmut Kohl. CDU na samym początku lat 90. miało bardzo dobre relacje z KLD. Czy niemieccy chadecy wspomagali wtedy finansowo Kongres?«. Piskorski odpowiedział: „Dla mnie jest oczywiste, że CDU wspierało finansowo KLD, ale to były kwestie omawiane między Kohlem a Bieleckim [Janem Krzysztofem, wtedy premierem i jednym z liderów KLD]. Ja przy tych spotkaniach w cztery czy nie byłem obecny. [...] Jedyne, co mogę w tej sprawie powiedzieć, to że należy o tę kwestię pytać Bieleckiego”. I dziennikarze „Wprost” wysłali mu „pięć konkretnych pytań o pomoc finansową, którą CDU miało zasiląć KLD”. W imieniu byłego premiera od-

powiedziała urzędniczka z kancelarii premiera: „Zaprzeczyła temu, żeby KLD brał od Niemców pieniądze, a na pytanie, czy pieniądze zostały zwrócone, odpowiedziała: »Nie dotyczy«”. Podobne pytania dziennikarze zadali Donaldowi Tuskowi 16 kwietnia 2014 r. Ale „odpowiedzi nie dostaliśmy”.

O pożyczce z 1991 r. opowiedział dziennikarzom za to „jeden z polityków ówczesnej czołówki KLD”: „CDU, które było wtedy przy władzy w Niemczech, szukało w krajach postkomunistycznych partnerów do współpracy. Unia Demokratyczna, w której byli Kuroń czy Geremek, wydawała im się zbyt lewicowa, prezydent Wałęsa z kolei nieobliczalny. Podobnie oceniali braci Kaczyńskich, którzy wtedy zaczęli budować Porozumienie Centrum. Postkomuniści oczywiście nie wchodzili w grę. Odpowiedni wydawał się Kongres. CDU bezzwrotnie darowało KLD kilkaset tysięcy marek. To były pieniądze w gotówce, które działacze KLD wymieniali w kantorach na złotówki w Warszawie. Pieniądże poszły na budowanie partii w 1991 r.”

Gdy ukazał się wywiad rzece z Pawłem Piskorskim, a potem artykuł we „Wprost”, główny bohater w rozmowie w TVN24 twierdził, że „wszystko, co napisane jest w książce, jest prawdą. W książce pokazałem ewolucję standardów polskiej polityki lat 90. Wtedy to był kraj, gdzie biznesmeni finansowali polityków torbami z pieniędzmi. To jest prawda opowiedziana o tych 25 latach, o której nikt nie ma odwagi mówić”. Piskorskiego wsparł Janusz Palikot, kiedyś ważny polityk PO i bliski współpracownik Donalda Tuska. W Radiu Zet Palikot mówił: „Piskorski powiedział mi, że ma dokumenty, zestawienia ilości marek, które przekazywał Kohl i inni politycy CDU”. A pieniądze od Niemców miał odbierać „jeden z obecnych ministrów. [...] Powiedział mi, że ma dowody, a PO, jeżeli uważa inaczej, poda go do sądu w trybie wyborczym”.

Na to zareagował Donald Tusk: „Nie brałem żadnej pożyczki od CDU. Nigdy – ani jako szef KLD, ani jako zwykły obywatel, ani później, jako lider PO”. Tusk stwierdził jednak, że nie może wejść na drogę sądową w trybie wyborczym z Piskorskim lub szefem Twojego Ru-

chu Januszem Palikotem, gdyż nie ma przepisów, które to umożliwiają. „Tryb wyborczy dotyczy kandydatów. Ja nie kandyduję w tych wyborach” – mówił.

Janusz Palikot, wtedy lider Twojego Ruchu, zapowiedział wniosek o powołanie sejmowej komisji śledczej, która miałaby zająć się sprawą finansowania KLD przez niemiecką chadecję. Stwierdził, że „skoro Donald Tusk i Jan Krzysztof Bielecki nie zdecydowali się skierować sprawy do sądu przeciwko Pawłowi Piskorskiemu, należy zwołać komisję śledczą, która mogłaby wyjaśnić sprawę”. Głównie dlatego, że „od tamtego czasu minęło ponad 20 lat i sprawa w sensie formalnym, prawnym się przedawniła”.

Głos zabrał także Andrzej Olechowski, jeden z trzech tenorów PO: „Pieniądże mogły być, bo wtedy pieniądze zagranicznych było w Polsce dużo”.

Zareagował też dobrze znający Tuska działacz niepodległościowy i związkowy Krzysztof Wyszowski: „Jeśli Piskorski, o którym wiadomo, że był człowiekiem ze środka Kongresu, mówi, że brali pieniądze też od CDU, to mamy do czynienia z bardzo poważną sprawą. To są dowody źródłowe. W każdym sądzie oświadczenie takiego świadka, gdy nie natrafia na zaprzeczenie, tylko zostaje poparte słowami np. Andrzeja Olechowskiego, który współtworzył PO, jest poważne. To są twarde dowody”. W marcu 2016 r. Wyszowski napisał na Twitterze: „Za wiadomiam Prokuratora Generalnego o podejrzeniu popełnienia przestępstwa zdrady głównej na rzecz RFN przez Donalda Tuska. Dowód: pobieranie pieniędzy od BND”.

SPONSORZY KUBIAK I PALIKOT

Pieniądże w siatkach od CDU to nie wszystko. Paweł Piskorski opowiedział też o innych pełnych siatkach: „Głównym sponsorem partii kierowanej przez obecnego premiera [Donalda Tuska] był wtedy biznesmen Wiktor Kubiak. [...] On był na początku głównym zapleczem finansowym dla KLD. Dzięki niemu na początku naszej działalności nie mamy żadnych problemów z pieniędzmi. [...] Chcemy mieć biuro w Lublinie? Proszę bardzo. Chcemy mieć w Krakowie? Nie ma problemu.

[...] Kubiak miał gigantyczne pieniądze. Transfer tych pieniędzy polegał na tym, że dostarczał stopy banknotów w jakichś poszarpanych reklamówkach. [...] Sponsor KLD był jednocześnie doradcą Janusza Lewandowskiego, jednego z liderów Kongresu, który w latach 1990–1993 pełnił funkcję ministra odpowiedzialnego za prywatyzację. Jak funkcjonowała współpraca? Klasycznym przykładem jest Polkolor Piaseczno, który w tym czasie był sprzedawany Thomsonowi. Doradcą prywatyzacyjnym był tu Kubiak, a Lewandowski jako minister podejmował decyzję.

Główną spółką Kubiaka „był chyba Batax zarejestrowany w Luksemburgu. Nie wiem, na czym tak naprawdę zarabiał pieniądze. Pewno tak jak to w ówczesnym biznesie, czyli wszędzie tam, gdzie dało się tylko zarobić. Zdaje się, że udzielał jakichś pożyczek. Kubiak nigdy nas, a przynajmniej mnie, nie wprowadzał w to, co robi. W tamtym czasie nikt nawet nie sygnalizował, że mógł być jakoś związany z tajnymi komunistycznymi służbami. Nie wiem do dziś, czy to prawda” – mówił Piskorski.

Nie o wszystkim było wiadomo, gdyż najważniejsze decyzje podejmowało „środowisko gdańskie we własnym gronie”, czyli Donald Tusk, Jan Krzysztof Bielecki, Janusz Lewandowski, Krzysztof Kilian czy Jacek Merkel. Piskorski opowiadał: „Mimo że ja byłem jedną z kluczowych postaci w KLD, to nikt nigdy spoza Gdańska nie został dopuszczony np. do Fundacji Liberalów, która została stworzona w Gdańsku i była fundamentem finansowym gdańskiego środowiska”. Piskorski mówi także, że Tusk na początku lat 90. dostał pożyczkę mieszkaniową od Wiktora Kubiaka: „Tak mówił Wiktor, ale nie potrafię tego zweryfikować”. Kubiak opuścił potem Polskę z obawy przed grożącym mu aresztowaniem.

Piskorski dużo opowiedział o tym, co się działo w 1991 r.: „To jest czas, w którym Donald przechodził dużą ewolucję. Ma nowy dom, nagle zaczyna jeździć bardzo dobrymi samochodami, które pożyczal od różnych biznesme-

nów – naszych zwolenników. [...] Gdy zaczęło się mówić, że samochody są od Stajszczaków czy Rzeźniczaka, to mi te nazwiska nic nie mówiły. Potem okazało się, że Donald musi je szybko oddawać, bo zaczynają się jakieś kłopoty. [...] Gdy nasz członek, nawet członek władz, Andrzej Gocman z Krakowa, pożyczał samochód Donaldowi, to równolegle starał się o prywatyzację na swoją rzecz Krakchemii przez Janusza Lewandowskiego”. Piskorski stwierdził, że w kampanii parlamentarnej w 1993 r. „Kongres, który był wtedy niewielką partią, dysponował gigantycznymi funduszami liczonymi w milionach dolarów”.

Sam Donald Tusk miał mieć swojego „dobroczyncę”, czyli Janusza Palikota. „Na początku swojej kariery w polityce

Ci, którzy chcieli coś załatwić z rządzącymi w latach 2007–2015, musieli znać historie o siatkach z pieniędzmi. Zapewne wiedzieli, jak dotrzeć do ważnych osób i jak je przekonać do wydania oczekiwanych decyzji. Szczególnie w latach 2011–2014 mogła to być powszechna wiedza

[Palikot] sponsorował Tuska. Wszedł w nią jak klasyczny biznesmen, czyli zainwestował w rojącą najlepszy wzrost markę, a taką w 2005 r. była Platforma. A dosłownie – to on inwestował w Tuska. [...] W 2005 r. Palikot wydał książkę Tuska. To było oczywiście poza jakimikolwiek wydatkami na kampanię wyborczą. [...] Ta książka miała ogromną kampanię promocyjną. Było mnóstwo billboardów promujących tę książkę. A zwłaszcza – autora. A to już są znacznie większe pieniądze. Bardzo

duże pieniądze. [...] To wszystko szło poza oficjalnym strumieniem pieniędzy kampanijnych. [...] Palikot sponsorował też nasiadówki w drogich knajpach, w których Tusk uczestniczył”. Jako sponsor Palikot miał „przejmować rolę Mirka Drzewieckiego” – dodawał Piskorski.

HISTORIE O SIATKACH Z PIENIĘDZMI

Jeśli siatki z pieniędzmi od 30 lat pojawiają się w opowieściach osób, które dobrze Donalda Tuska znały bądź blisko z nim współpracowały, spora część opinii publicznej może inaczej patrzeć na zeznania Marcina W. i jego opowieści o przekazaniu 600 tys. euro synowi Tuska. Ci, którzy chcieli coś załatwić z rządzącymi w latach 2007–2015 też musieli znać historie o siatkach z pieniędzmi, o tym, jak dotrzeć do ważnych osób i jak je przekonać do wydania oczekiwanych decyzji. Szczególnie w latach 2011–2014 to mogła być powszechna wiedza.

Zapewne nieprzypadkowo Michała Tuska zatrudniono w liniach OLT Express (15 marca 2012 r.), należących do Amber Gold, żeby uczynić z niego tarczę chroniącą przed dociekliwymi urzędnikami, policją, prokuratorami i sędziami. W 2017 r. świadek Marcin W. zeznał: „Mnie chodziło o wiarygodność, bo było wiadomo, że jak przyjdzie ten cymbał, to będzie dla nas bardzo wiarygodne”. A użycie siatek znanej sieci handlowej „to był żarcik sytuacyjny” – „niech żuł ma to w takiej formie, na jaką zasługuje”.

Michał Tusk twierdzi, że nigdy nie poznał Marka Falenty, nie zna Marcina W. Po sprawie Amber Gold i zeznaniach przed sejmową komisją śledczą do jej wyjaśnienia wiarygodność syna Donalda Tuska nie musi być 100-proc. Podobnie zresztą jak jego ojca, bo przecież afera Amber Gold działa się w czasach, gdy Tusk był premierem.

Nie tylko w Polsce będzie się teraz musiał być premier i były przewodniczący Rady Europejskiej mierzyć z wizerunkiem „człowieka z reklamówki”.

Krucjata
Bartosza Kramka

Antypolska pętla

Opozycyjna operacja oczerniania Polski za granicą idzie pełną parą. Biorą w niej udział parlamentarzyści, skonfliktowani z rządem sędziowie, tzw. aktywiści i mający problemy z prawem przedsiębiorcy, którzy opowiadając o putinowskich represjach nad Wisłą, domagają się interwencji u brukselskich urzędników. Cel jest jasny: dopóki rządzi PiS, do Polski nie mogą trafić żadne europejskie pieniądze



MARCIN WIKŁO

Dopiero po złożeniu kilku elementów w całość widać, jak misternie ten plan jest uszyty. Impuls wychodzi z Polski, nadaje mu się kształt konferencji na forum międzynarodowych organizacji, by do kraju wróciła informacja, że o rzekomym braku praworządności u nas mówi się na całym świecie.

ROSYJSKIE METODY

5 października, Warszawa. W jednym z hoteli odbywa się Konferencja Praw

Człowieka OBWE. Jeden z paneli jest zatytułowany „Represje polityczne: degradacja praworządności w Polsce trwa”. Bartosz Kramka, przewodniczący rady Fundacji Otwarty Dialog, kończy dyskusję apelem: „Mam nadzieję, że o przypadkach, które dzisiaj poruszaliśmy, będzie głośno w mediach. Każde państwa wsparcie z zagranicy będzie przez nas bardzo mile widziane”. Na sali nie było zbyt wiele osób, ale film (rozmowa toczyła się w języku angielskim) jest szeroko udostępniany w internecie. Do kogo zatem były skierowane te słowa?

Nieco wcześniej o opowiedzenie swojego przypadku został poproszony biznesmen Piotr Osiecki. „W końcu odważyłem się mówić, bo wiedza o tym, co dzieje się w Polsce, powinna iść do ludzi, szczególnie w obliczu nadchodzących wyborów” – stwierdza łamiącym się głosem. I jeszcze apel: „Musimy te nasze historie

powtarzać i powtarzać. Opowiadać o nich na każdym forum, także zewnętrznym, bo każda władza musi się liczyć z głosem z zewnątrz. Na szczęście jesteśmy częścią UE i nie musimy mierzyć się ze swoimi problemami sami. Wsparcie z zewnątrz jest nam bardzo potrzebne”.

Za prezydialnym stołem siedzi także Dominik Czeszkiewicz, sędzia Sądu Rejonowego w Suwałkach. „Podsumowując, represje polityczne w Polsce to codzienność. W mojej ocenie tylko organizacje obywatelskie i niezależne sądy mogą przeciwstawić się autorytaryzmowi obecnego rządu” – mówił sędzia.

Przedstawmy więc osoby tego dramatu. Sędzia Czeszkiewicz orzekł w sprawie chuliganów z Komitetu Obrony Demokracji, którzy w 2016 r. zakłócili przemówienie Anny Marii Anders w Archiwum Państwowym w Suwałkach. To była uroczystość otwarcia wystawy „Armia ska-

zańców” o żołnierzach gen. Władysława Andersa, ale KOD potraktował córkę dowódcy jak polityczną agitatorkę. Kilka dni później miała ona wziąć udział w uzupełniających wyborach do Senatu.

Dominik Czeszkiewicz uniewinnił rozwrzeszczaną zgraję. Podczas warszawskiej konferencji OBWE tłumaczył, że co prawda rzeczywiście zakłócono uroczystość otwarcia wystawy historycznej, ale w jego ocenie była to część kampanii politycznej, i to kandydatki PiS, więc sprzeciw aktywistów był zrozumiały.

Po uniewinnieniu bojówkarzy KOD wszczęto przeciwko sędziemu postępowanie dyscyplinarne, dostał dwa zarzuty, m.in. opieszałości w wyznaczeniu daty przesłuchania małoletniego świadka. Mimo że wątpliwości co do jego pracy były natury raczej proceduralnej, w opozycyjnej prasie był nazywany „ściganym za działalność orzeczniczą”. Tą legendą dzieli się teraz chętnie także na forum międzynarodowym. Jego zapiekłości nie zmienia nawet fakt, że zarzuty wobec niego wycofano ostatecznie w 2018 r. Czeszkiewicz jest członkiem zarządu Stowarzyszenia Sędziów Themis, jak o nim pisze opozycyjny portal OKO.press, krytycznego wobec pomysłów PiS na zmiany w wymiarze sprawiedliwości.

„Zostałem aresztowany, spędziłem kilka tygodni w więzieniu. Nie zostałem oskarżony, prokuratura nie jest w mojej sprawie aktywna. Chodzi tylko o zepsucie mojego wizerunku” – to już fragment wywodu Bartosza Kramka. „Prokuratura działa ręką w rękę z publicznymi mediami lub mediami kontrolowanymi przez rząd. [...] To są mechanizmy bardzo podobne do tych, które wykorzystują władze w Rosji” – mówił.

KTO Z KIM GRA?

Uzupełnijmy tę opowieść, by w emocjach coś nie umknęło. Bartosz Kramek w 2020 r. został zatrzymany przez Agencję Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Postawiono mu zarzuty prania brudnych pieniędzy, grozi mu za to kara 12 lat więzienia. Kramek jako prezes spółki Silk Road miał od sierpnia 2012 r. do lutego 2016 r. wystawić 59 faktur VAT z tytułu

nieokreślonych usług konsultacyjnych na rzecz 11 zagranicznych kontrahentów na łączną kwotę ponad 5,3 mln zł. Prokuratorzy zauważają, że do jego kontrahentów należały prawie wyłącznie podmioty z tzw. rajów podatkowych lub przedsiębiorcy zarejestrowani w wirtualnych biurach.

Bartosz Kramek i jego żona Ludmiła Kozłowska w imieniu swoim, a także firmy Silk Road oraz Fundacji Otwarty Dialog wytoczyli kilkanaście procesów karnych dziennikarzom (w tym autorowi niniejszego tekstu), domagając się kilkuset tysięcy złotych za rzekome pomówienia. Te sprawy w zdecydowanej większości zakończyły się spektakularną porażką skarżących w pierwszej instancji. Sąd stwierdził m.in., że dziennikarze

W jednym z hoteli odbywa się Konferencja Praw Człowieka OBWE. Obecny na niej Dominik Czeszkiewicz, sędzia Sądu Rejonowego w Suwałkach, stwierdza: „Podsumowując, represje polityczne w Polsce to codzienność”

„Sieci” mieli prawo stwierdzić, że firma Silk Road oraz Fundacja Otwarty Dialog mają niejasne finansowanie, a Bartosz Kramek po publikacji manifestu „Niech państwo stanie, wyłączmy prąd” podlegał dopuszczalnej krytyce jako osoba publiczna otwarcie angażująca się w politykę. Ludmiła Kozłowska została uznana na podstawie wniosku ABW za *persona non grata* i wciąż obowiązuje ją zakaz wjazdu na teren Polski.

Jak widać, ta sama historia, ale umiejętnie opowiedziana może stać się powodem do podważenia wiarygodności państwowych instytucji. W tym przypadku dokładnie o to chodziło, by skumulować sprawy rzekomego łamania praworządności i jak najgłośniej opowiadać o tym na jak najszerszym forum.

ZAGRANICA MUSI WIEDZIEĆ

Tydzień po warszawskim spotkaniu na kolejne – tym razem do Strasburga – zapraszała znów Fundacja Otwarty Dialog, z tą różnicą, że współorganizatorem debaty był Krzysztof Śmiszek, poseł na Sejm RP (do europarlamentu się nie dostał), wiceprzewodniczący Nowej Lewicy. Tytuł: „Nadużycia polityczne prokuratury”. Na czarnym plakacie wizerunek Temidy i przeciwstawione jej trzy postacie: prezes PiS Jarosław Kaczyński, prokurator generalny Zbigniew Ziobro i były już prokurator krajowy Bogdan Świączkowski.

„Prokuratura wydaje się jednym z najważniejszych elementów tej maszyny, która łamie praworządność w moim kraju” – zaczął dosyć dramatycznie Śmiszek. Dyskusja toczy się po angielsku. Znów nie wiadomo, ile osób jest na sali, bo obraz mamy tylko z kamery, którą włącza Martin Mycielski – przypomnijmy, to członek zarządu KOD i jeden z administratorów hejterskiego profilu „Sok z Buraka”. Chwilę później zasiada za stołem, by rzucić tytułem wstępu: „Demokracja jako tako jeszcze w Polsce funkcjonuje, ale niektóre mechanizmy są dokładnie takie jak w putinowskiej Rosji”.

Śmiszek kontynuuje opowieść o tym, jak w Polsce w bezprecedensowy sposób atakuje się fundamentalne prawa człowieka obowiązujące w nowoczesnych demokratycznych państwach. Mówi, że chodzi o nadużywanie władzy, wpływanie na niezależność sądów, uciszanie polityków opozycji i atak na niezależność mediów. I kontynuuje: „Prokuratura w moim kraju jest używana nie tylko do zwalczania opozycji, ale także do kreowania atmosfery strachu, to ma być sygnał dla każdego, kto odważy się krytykować partię rządzącą”.

To wstęp do występu kolejnego prelegenta. Sędzia Maciej Ferek: „Są dwa kraje w Unii Europejskiej, które mają problem z przestrzeganiem praworządności. To Węgry i Polska. Różnica między tymi krajami polega jedynie na tym, że partia rządząca w Polsce nie osiągnęła większości, która pozwoliłaby jej zmienić konstytucję. Dlatego musi używać innych narzędzi, by sprawować władzę

i pokazywać swoją siłę”. Dalej słyszymy, że problemem dla partii rządzącej są sędziowie, którzy się nie poddają.

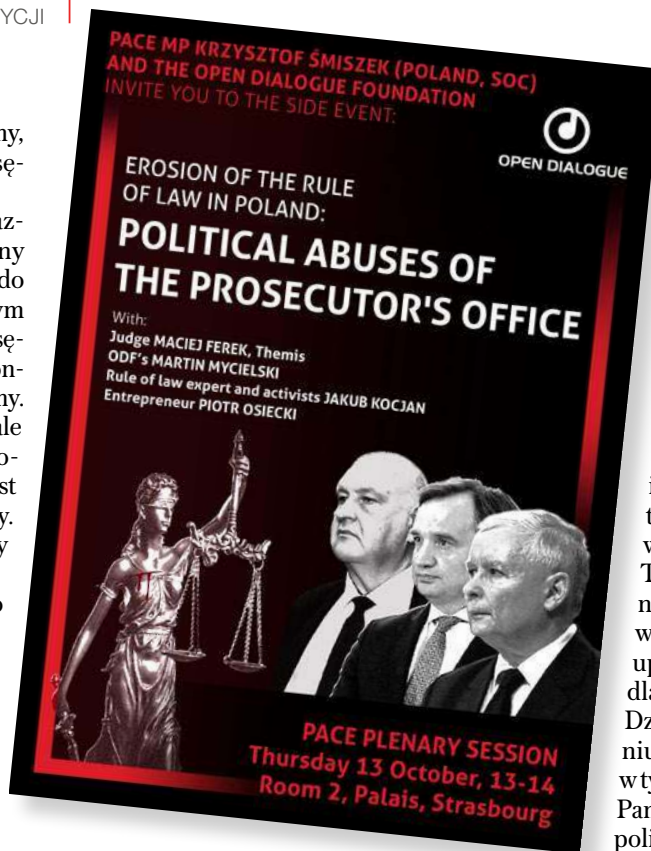
Opis sytuacji sędziów jest drobiazgowy, by każdy, także zagraniczny słuchacz, zrozumiał, z czym mamy do czynienia. „[...] wcześniej nie było z tym kłopotów, bo to sędziowie wskazywali sędziów, od kiedy władzę przejął PiS, członków KRS powołują politycy” – słyszymy. Nie mówi, że to europejski standard, ale konkluduje: „A więc każdy sędzia powołany przez prezydenta po 2018 r. jest wybrany według nielegalnej procedury. Nazywamy ich neosędziami, którzy w rzeczywistości nie są sędziami”.

Kim jest sędzia Maciej Ferek? To jeden z 11 arbitrów z Krakowa, którzy odmówili orzekania w składach z sędziami wybranymi przez obecną KRS, a więc w istocie podważyli orzeczenie Trybunału Konstytucyjnego w tej sprawie. Został za to zawieszony przez ówczesną Izbę Dyscyplinarną SN, obniżono mu także wynagrodzenie. Opowiadając o tym w Strasburgu, Ferek stwierdził: „W Polsce sędziów traktuje się gorzej niż kryminalistów, bo przestępca przynajmniej ma możliwość wysłuchania zarzutów. [...] Ma to spowodować efekt mrozący, mamy usłyszeć: »Nie idźcie tą drogą«”.

BIZNES NIECHCIANY

Z nagrania kolportowanego przez Fundację Otwarty Dialog dowiedzieliśmy się także, że swój tour po międzynarodowych forach kontynuował Piotr Osiecki. W Strasburgu przedstawiono go po raz kolejny po prostu jako biznesmena z Polski. Jak się chwilę później okazało, to bardzo ważny element antyrządowej układanki.

„Od 2015 r. w Polsce trwa krucjata przeciw prywatnej własności. Jeśli prowadzisz prywatny biznes, jesteś niepożądany” – mówił Osiecki. „Gdy wybuchła afera GetBack, okazało się, że politycy partii rządzącej są w nią zaangażowani. Potrzebny był kozioł ofiarny. Zostałem wytypowany, bo byłem prywatnym przedsiębiorcą, a moje biznesy krzyżowały się z konkurencyjnymi firmami kontrolowanymi przez państwo. Moja firma została całkowicie zniszczona” – ubolewał. I na koniec: „Chcę pokazać,



Plakat zapraszający na debatę pt. „Nadużycia polityczne prokuratury”.
Miejsce spotkania:
Strasburg, organizatorzy:
Fundacja Otwarty Dialog
i poseł Nowej Lewicy
Krzysztof Śmiszek

TOUR DE MEDIA

Tak udaną wyprawę warto by jakoś spuentować i uczynił to poseł Krzysztof Śmiszek podczas wizyty w porannej audycji Radia Tok FM. Opowiadał o głosnej wyprawie polityków Lewicy do Brukseli, gdzie mieli upominać się o zablokowane dla Polski pieniądze z KPO. Dzielił się uwagami po spotkaniu z unijnymi komisarzami, w tym z Didierem Reyndersem. Pamiętajmy, że to ten belgijski polityk w ub.r. publicznie uzasadniał wniosek Komisji Europejskiej do TSUE o nałożenie kar

finansowych na Polskę za kontynuowanie działalności Izby Dyscyplinarnej SN. Jak to wszystko do siebie pasuje...

„Usłyszeliśmy prawdę, i to taką prawdę pomieszaną z rozgoryczeniem [...], że te miliardy, o których mówimy od miesięcy czy lat, na Polskę czekają. I naprawdę nie widziałem żadnej złości czy chęci odegrania się na pisowskim rządzie” – relacjonował spotkanie z komisarzami poseł Śmiszek. O konferencji w Strasburgu nie wspomniał, ale zauważył: „Nawet tam mówi się o tzw. ustawie »kagańcowej«, która [...] stosuje dyscyplinarki, jeśli sędziowie nie chcą orzekać z sędziami, którzy mają kwestionowany mandat”.

Poseł Śmiszek doskonale rozumiał się z dziennikarką Tok FM. „Prawo i Sprawiedliwość musi się przygotować najedno...” – zaczął. „...na brak pieniędzy!” – uzupełniła radosnym krzykiem prowadząca audycję Karolina Lewicka. I podsumowanie polityka Lewicy: „Te pieniądze się Polakom należą i będziemy jako opozycja nadal naciskać na Komisję Europejską i na Parlament Europejski, żeby te pieniądze płynęły do Polaków z pominięciem rządu Prawa i Sprawiedliwości”.

I zatoczyliśmy pełne koło. Tak to się robi za granicą.

że tak traktowani są w Polsce biznesmeni. Są wymuszenia w iście rosyjskim stylu. [...] Moja sprawa pokazuje, że teza o praworządności w Polsce to żart”.

O aferze GetBack pisaliśmy w tygodniku „Sieci” niejednemu raz. To firma, która zajmowała się skupowaniem długów, często tzw. toksycznych, czyli praktycznie niemożliwych do spłacenia. Piotr Osiecki to jeden z głównych oskarżonych w aferze. Prokuratura uważa, że wraz z inną osobą, sprzedając spółce GetBack firmę windykacyjną EGB Investments, spowodował jej straty w wysokości 160 mln zł. Jednocześnie wraz z czterema innymi osobami ma zarzuty manipulowania kursem akcji spółki EGB Investments przy tej transakcji. Osiecki był aresztowany trzykrotnie, spędził w areszcie łącznie 12 miesięcy.

Podczas wystąpienia w Strasburgu Piotr Osiecki w zasadzie uzupełnił historię sędziego Fereka, skupiając się głównie na tym, że o jego ponownym aresztowaniu zadecydowali neosędziowie. Uznał to więc za oczywistą represję wobec siebie, a stąd już tylko krok (zresztą wykonany) do opowiadania o piętnowanym przez państwo biznesie prywatnym. Wniosek ma narzucać się sam: w Polsce jest jak w Rosji.

PRZYSZŁOŚĆ JEST **Z MIEDZI**

Globalny lider w produkcji miedzi i srebra. Gigant, wizjoner odkrywca w branży wydobywczej i produkcyjnej. Od ponad 60 lat wydobywamy i przetwarzamy cenne zasoby ziemi, skutecznie budując pozycję lidera branży. Dzięki wiedzy i doświadczeniu naszych pracowników tworzymy produkty, które umożliwiają zrównoważony rozwój świata.

www.kghm.com



KGHM
POLSKA MIEDŹ



Myślozbrodniarze

*Opozycja, chcąc władzy, coraz mocniej dyscyplinuje swoje media.
Nie ma mowy o żadnych odstępstwach od twardej, antypisowskiej linii.
Kto się jej nie podporządkuje, ten pada ofiarą zmasowanej nagonki.
Przekonało się już o tym boleśnie kilku dziennikarzy*



KONRAD KOŁODZIEJSKI

Dzisiaj w Polsce mamy wolność słowa, ale nie jest wcale powiedziane, że w przyszłości też tak musi być. Pewien wgląd w tę nieznaną przyszłość dały nam niedawno

reakcje na wywiad, który na antenie stacji TVN24 przeprowadził Konrad Piasecki z posłanką PO Izabelą Leszczyną. Podczas rozmowy dziennikarz zadał posłance pytanie o środki z KPO dla Polski, rozważając, czy nie lepiej by było, by opozycja odpuściła sobie trochę spór o praworządność i przestała sprzeciwiać się wypłacie pieniędzy.

NIEWŁĄŚCIWE PYTANIE

W rozmowie Piasecki naszkicował alternatywę dla obecnego nieprzeje-

danego stanowiska opozycji wobec Komisji Europejskiej: „Te 75 mld euro w dzisiejszej sytuacji są dla Polski tak ważne, że bez tych pieniędzy Polska nie będzie sobie radziła. Z punktu widzenia polskiej racji stanu przymknijcie oko na to, co się dzieje z polską praworządnością. Po prostu wypłacajcie nam te pieniądze” – i zapytał Leszczynę, czy PO w trosce o przyszłość Polski nie mogłaby przyjąć właśnie takiej polityki?

Za tak postawione pytanie na głowę Piaseckiego natychmiast wylała się fala



pomyj. Antypisowska sekta uznała go za „pisowską wtykę”, którą powinno się natychmiast wyrzucić z pracy. W internecie pojawiły się nawet petycje od oburzonych widzów z żądaniem usunięcia Piaseckiego z anteny TVN.

Obok anonimowych pieniaczy w atakach na dziennikarza uczestniczyli też Obywatele RP i Roman Giertych, który jako opozycyjny prawnik dość precyzyjnie opisał „myślbrodnię” popełnioną przez Piaseckiego. „Ta sugestia zawarta w pytaniu pana Piaseckiego wstrząsnęła opinią publiczną. Mielśmy do czynienia z tysiącem reakcji oburzonych widzów, którzy bardzo ostro zareagowali na to sugerujące pytanie. Pytanie, za ile możemy i czy możemy przymknąć oko na praworządność, jest świadectwem albo totalnego braku zrozumienia istoty problemu, albo po prostu przejawem przyliźniania się do partii rządzącej” – wydał wyrok Giertych i zaapelował do Piaseckiego o wycofanie się z „niemądrych” poglądów, „bo one są nie tylko błędne, ale są niebezpieczne”. Niebezpieczne, ale dla kogo?

Oczywiście problem tak naprawdę polegał nawet nie tyle na poglądach Piaseckiego, ile na tym, że dziennikarz w ogóle ośmielił się zadać Leszczynie pytanie wskazujące, że opozycji wcale nie musi chodzić o dobro Polski i o rzekomą praworządność, ale o władzę i że to właśnie dlatego są blokowane pieniądze z KPO. Tak otwarte (i uczciwe) postawienie sprawy jest jednak wbrew propagandowej narracji głoszącej, że głównym celem opozycji jest przywrócenie rządów prawa. Piasecki nacisnął więc na bardzo czuły punkt, co bardzo mocno zabolowało całą antypisowską sektę.

Jakby tego było mało, Leszczyna faktycznie potwierdziła sugestię zawartą w pytaniu Piaseckiego, odpowiadając

Konrad Piasecki dał do zrozumienia, że nie ma niewłaściwych poglądów, lecz po prostu stawia pytania. Nie wziął jednak najwyraźniej pod uwagę tego, że i pytania mogą być dziś niewłaściwe

mu, że „nie ma zagrożenia dla tych płatności, bo jesienią przyszłego roku Koalicja Obywatelska prawdopodobnie z innymi partiami demokratycznymi wygra wybory i te pieniądze nie będą zatrzymane”. A więc blokada pieniędzy z KPO będzie utrzymana, bo jest warunkiem zwycięstwa opozycji. Wszystkie inne kwestie, w tym polska racja stanu, są mniej istotne.

DZIECI REWOLUCJI

„Nie chce mi się toczyć jałowych bojów z kłamstwem, manipulacją, bezmyślnością i złą wolą. Więc tylko jedna uwaga – jak ktoś zadaje pytanie [...], to znaczy, że zadaje pytanie. PYTANIE. I tyle” – napisał w swoim oświadczeniu Piasecki, dając tym samym niejako do

zrozumienia, że on nie ma niewłaściwych poglądów, lecz jedynie postawił pytanie. Nie wziął jednak najwyraźniej pod uwagę tego, że i pytania mogą być dziś niewłaściwe.

Konrada Piaseckiego wziął następnego dnia w obronę dziennikarz Marcin Meller, zauważając, że „Piasecki jest ofiarą szczucia w internecie, właśnie za to, że nie idzie w szereg”. Naturalnie Meller, któremu bardzo daleko do obozu rządzącego, zastrzegł natychmiast, że „strona pisowska jest znacznie gorsza”, ale obwiniał o radykalizację języka także Donalda Tuska, który jego zdaniem po powrocie do Polski przyjął zbyt ostry język. „Wsadzanie do więzień... Ludzie to lubią. Radykalizacja, niestety, popłaca”.

Inny fragment wypowiedzi Mellera był również bardzo ciekawy. Stwierdził on mianowicie, że obecna polaryzacja społeczna jest m.in. skutkiem języka, którego używa się publicznie wobec drugiej strony. „Opowiadanie językiem pogardy np. o elektoracie rządowym, opowiadanie językiem pogardy o elektoracie pisowskim, od moherów, 500+ darmożądów itd., przez tych grubasów, co jadą nad morze za 500+ itd. To się samo nie wzięło”.

Inaczej mówiąc, język pogardy wymknął się już spod kontroli i nienawiść zaczyna uderzać także w tych, którzy ją wcześniej podgrzewali. W tej sytuacji wrogiem może stać się nawet ktoś, kogo do tej pory uważano za swojego. Z niepokoju Mellera przebiega też pewna rozczarowująca świadomość, że ten „nasz” antypisowski elektorat jest w gruncie rzeczy bardzo agresywny, prostacki i niebezpieczny.

O tym, że tak właśnie jest, wiadomo nie od dziś. W badaniach z 2018 r. dotyczących polaryzacji w Polsce wykazano, że wyborcy partii opozycyjnych żywią bardziej negatywne uczucia, w większym stopniu dehumanizują i mają mniejsze zaufanie do swoich oponentów politycznych niż zwolennicy partii rządzącej. Okazało się też, że wyborcy

anty-PiS częściej niż zwolennicy PiS dopatrywali się u swoich przeciwników zwierzęcych cech. Po wielu latach siania nienawiści elektorat opozycji stał się ofiarą własnych – silniejszych niż po drugiej stronie – uprzedzeń. Czego boleśniej zaczęli doświadczać dziś również ci, których o sympatię do PiS nie można podejrzewać. Rewolucja zaczyna więc powoli pożerać własne dzieci.

ZAKAZANE TEMATY

Marcin Meller przytacza przykład Donalda Tuska, który regularnie sięga po radykalny język. Należy jednak dodać, że – wbrew sugestii Mellera – nie jest to jakaś niedawna przemiana, bo Tusk posługuje się nienawiścią od 2005 r., a więc od chwili, gdy jego partia po raz pierwszy przegrała z PiS wybory parlamentarne, a jemu samemu nie udało się pokonać w wyścigu do prezydentury Lecha Kaczyńskiego. Antypisizm Tuska ma charakter osobistej obsesji, co ma katastrofalny wpływ na to, jak wygląda dziś życie publiczne w Polsce. A gdyby przyjrzyć się jego karierze politycznej, to łatwo dostrzec, że opierała się ona na usuwaniu każdego, kto wyłamywał się z antypisowskiej ortodoksji.

Ale błędem byłoby sądzić, że jedynie Tusk jest winny. On, owszem, nadawał ton, ale za nim poszło mnóstwo wyznawców i naśladowców. Poza anonimowym tłumem znalazły się wśród nich osoby wpływowe i publicznie znane, w tym także dziennikarze i publicyści. Oni także gorliwie brali udział w rozmaitych nagonkach nie tylko na rządzącą prawicę, ale i na każdego, kto wyłamywał się z szeregu.

Przykładem takiej postawy może być Tomasz Lis, który w grudniu 2021 r. – jeszcze jako redaktor naczelny „Newsweeka” – zaatakował dziennikarza Polsat News Bogdana Rymanowskiego za to, że ten zaprosił do studia osobę kwestionującą jego zdaniem akcję szczepionkową podczas pandemii. Sytuacja była nieco podobna do tej, z którą zderzył się teraz Konrad Piasecki. Zarzut wobec Rymanowskiego polegał bowiem na tym, że w przestrzeni pub-

licznej nie powinno być w ogóle miejsca na niektóre tematy i w związku z tym, roztrząsanie ich nawet z pozycji sceptyka jest niedopuszczalne. „Ja tylko pytam». Psychoterapeutkę o szczepionki, a prawniczkę o katastrofę lotniczą. Wykonuje swoje obowiązki, faszując ludzi bredniami” – tak Lis opisywał pracę Rymanowskiego.

Rymanowski postanowił pozwać Lisa do sądu za podważanie jego zawodowej wiarygodności, jednak ostatecznie sprawa zakończyła się ugodą. Przeprosin wobec dziennikarza Polsatu

Język pogardy wymknął się spod kontroli i nienawiść zaczyna uderzać także w tych, którzy ją wcześniej podgrzewali. Wrogiem może stać się ktoś, kogo do tej pory uważano za swojego

nie było. „W ramach gruntownego porządkowania moich spraw uznałem za racjonalne i pożądane zamknięcie niepotrzebnych frontów i skoncentrowanie się na tym, co ważne” – wyjaśnił Lis.

HERETYCY

Piasecki czy Rymanowski to jedynie dwa przykłady dyscyplinowania mediów przez antypisowską opozycję. Było ich trochę więcej, choć nie aż tak wiele, by uwierzyć w rzekomą różnorodność poglądów panującą jakoby w opozycyjnych mediach.

Wśród tych, którzy naruszyli granice dopuszczalnej swobody, warto wspomnieć o lewicowym publicyście Rafale Wosiu, którego wyrzucano z kolejnych tytułów prasowych, bo nie chciał przyznać, że wszystko, co robi PiS, jest podle i szkodliwe. Albo o dziennikarzu portalu Gazeta.pl Grzegorz Sroczyńskim – autorze wartościowych i bardzo uczciwych jak na medium Agory

wywiadów, w których stara się wyrwać swoich czytelników z bańki informacyjnej, przedstawiając odmienne punkty widzenia na otaczającą ich rzeczywistość. Czasami to pokazywanie świata, jakim on naprawdę jest, najwyraźniej bywa dla niektórych zbyt bolesne.

Tydzień temu Sroczyński na antenie Radia Tok FM ośmielił się zauważyć niekonsekwencję Tuska, który początkowo uważał zeznania Marcina W. z afery podsłuchowej za wiarygodne źródło informacji, a gdy te zeznania zostały ujawnione – były premier nagle uznał je za bezwartościowe, bo okazało się, że „wiarygodny” Marcin W. oskarża go w nich o korupcję.

Zaraz po tej audycji na Sroczyńskiego zasadził się senator PO Adam Szejnfeld. „Słucham Tok FM i myślałem, że przez pomyłkę włączyłem TVPiS. No, jeśli w Polsce jest więcej takich osób jak pan redaktor Sroczyński, to... Prawo i Sprawiedliwość, to Kaczyński, to Zjednoczona Prawica będą rządili do końca świata” – skomentował Szejnfeld. Polityk Platformy najwyraźniej nie był w stanie znieść krytyki Tuska, dając tym samym do zrozumienia, że w „wolnych mediach” jest ona niedopuszczalna.

Zarzuty herezji stawiane dziennikarzom świadczą jednak nie tylko o braku jakiegokolwiek akceptacji do odmiennych poglądów w rzekomo demokratycznej i różnorodnej opozycji, ale również o tym, że anty-PiS nie zrozumiał dotąd, dlaczego przez tyle lat nie zdobył władzy w Polsce. Zwycięstwo nad PiS ma być bowiem oparte nie na konstruktywnym programie, ale na medialnej manipulacji, propagandzie i nieustannym urabianiu wyborców. Według tej strategii rządzący i ich elektorat są ciałem obcym, bandą uzurpatorów, dziką hordą, której trzeba się jak najszybciej pozbyć. Dlatego wszelkie, nawet drobne i – wydawałoby się – niegroźne próby komplikowania tego prostackiego obrazu rzeczywistości budzą nerwową reakcję opozycyjnych politruków i towarzyszącej im sekty internetowych trolli.

Kto tego nie rozumie, ten jest pisowcem.



IKONA WYGODY W TWOIM TELEFONIE

Aplikacja IKO ułatwia codzienne sprawy, nie tylko bankowe:

- płać Blikiem i przelewaj na telefon
- kupuj bilety komunikacji miejskiej, płać za parking czy autostradę
- korzystaj z ubezpieczeń np. AC/OC, domu, podróży
- wymieniaj waluty online

Pobierz IKO z oficjalnego sklepu z aplikacjami, w Twoim telefonie.



Bank Polski
dzień dobry

www.pkobp.pl, infolinia: 800 302 302 brak opłat dla numerów krajowych na terenie kraju; w pozostałych przypadkach opłata zgodna z taryfą operatora, +48 81 535 60 60 opłata zgodna z taryfą operatora.

Aplikacja IKO stanowi usługę bankowości elektronicznej. Bilety komunikacji miejskiej i opłaty parkingowe są usługami dostępnymi w wybranych miastach i realizowanymi przez operatora aplikacji moBILET. Usługa opłaty za autostrady świadczona jest za pośrednictwem PKO BP Finat. PKO Bank Polski działa jako agent ubezpieczeniowy. Szczegółowe informacje o ubezpieczeniach, w tym o ograniczeniach i wyłączeniach odpowiedzialności Ubezpieczyciela znajdują się w Ogólnych Warunkach Ubezpieczenia poszczególnych produktów dostępnych na www.pkobp.pl. Szczegóły dotyczące funkcji IKO dostępne są na iko.pkobp.pl.

Farbowany katolik

Postawiony w rozterce między zasadami katolickiego konserwatyzmu, których nigdy, przynajmniej deklaracyjnie, bronił, a pragmatycznym interesem politycznym, Donald Tusk i jego obóz wybrali to drugie



GORAN ANDRIJANIĆ

Ta fotografia weszła już do annałów polskiej polityki i na pewno pozostanie tam przez jakiś czas. Przedstawia ona Donalda Tuska z żoną Małgorzatą i córką Katarzyną w rodzinnym mieszkaniu w Gdańsku. Rodzina stoi przed stolikiem, na którym znajduje się duży krzyż. Biurko jest pełne symboli religijnych, jak mały ołtarzyk. Wszystko wygląda jak scena z mieszkania jakiegoś pobożnego katolika z Ameryki Łacińskiej. Jest 2007 r., kiedy Tusk stanął na czele listy Platformy Obywatelskiej w wyborach parlamentarnych i został premierem.

Każdy, kto dobrze zna obecne stanowisko polityka i patrzy na to zdjęcie, musi odczuwać pewien dyskomfort. Przychodzi mi na myśl angielskie słowo „cringe”, które jest używane przez młodsze pokolenie i oznacza mocne poczucie wstydu i zażenowania wobec ludzi znajdujących się w dziwnych sytuacjach.

Istnieje teoria, że zdjęcie zostało ustawione i wykonane na potrzeby kampanii politycznej. Co więcej, w podobnym tonie mówi się o uregulowaniu sakramentalnym małżeństwa Tusków w 2005 r., po 21 latach związku cywilnego.

Rzecz w tym, że przez 15 lat od chwili zdjęcia przed rodzinnym ołtarzykiem Tusk dystansował się od katolicyzmu i wiary katolickiej w niemal każdym aspekcie swojej działalności politycznej. I razem z nim zrobiła to Platforma Obywatelska.

Jest na to wiele przykładów. Wspomnijmy tutaj o najważniejszym kroku,

będącym swoistą kulminacją politycznej apostazji Tuska. Apostazji, która nie jest oficjalna, ale będzie miała mocne konsekwencje w rzeczywistości społecznej.

Mowa oczywiście o zapowiedzi, że jeśli jego ugrupowanie dojdzie do władzy w przyszłorocznych wyborach parlamentarnych, od razu zalegalizuje aborcję na żądanie do 12. tygodnia ciąży. Zrobią to, jak powiedział, pierwszego dnia po wygranych wyborach. „Zaproponujemy Sejmowi ustawę zakładającą, że aborcja do 12. tygodnia będzie wyłącznie decyzją kobiety” – powiedział Tusk na tegorocznym Campus Polska Przyszłości.

Katolicy, którzy popierają Tuska, od dawna są tak trenowani, by tyleż ewidentnych, co cynicznych sprzeczności – od czynienia znaku krzyża na bochenku chleba po aborcję na życzenie – w postawie szefa PO nie widzieć – mówi o. Dariusz Kowalczyk

Co więcej, ogłosił realizację tego posunięcia jako coś, co w znaczący sposób definiuje światopogląd i program jego partii. Poparcie dla aborcji będzie, tłumaczył Tusk, warunkiem wpisania na listy wyborcze partii dla każdego polityka. „Będę oczekiwał od każdego, kto będzie chciał kandydować z Platformy Obywatelskiej, niezależnie od tego, jak szeroka to będzie

lista, by respektował przyjęte na siebie zobowiązania”.

Tak więc po tych wypowiedziach Tuska PO określiła się jako partia, dla której zabijanie nienarodzonych jest czymś, co stanie u podstaw jej programu politycznego i co musi być regulowane dyscypliną partyjną. Pamiętajmy, że to wszystko prezentuje partia, która na początku swojej działalności deklarowała się jako chadecja.

Oczywiście do zmiany nie doszło nagle. Proaborcyjną deklarację Tuska poprzedziły działania w jego ugrupowaniu, które dystansowały je od katolickiej nauki społecznej.

Wystarczy przypomnieć reakcję ludzi PO na decyzję Trybunału Konstytucyjnego sprzed dwóch lat, kiedy w Polsce została zakazana aborcja eugeniczna. Ani jeden głos z tego środowiska politycznego nie był słyszalny przeciwko przemocy słownej i fizycznej, która w tamtym czasie uderzyła w Kościół katolicki.

Ponadto posłowie KO w Parlamencie Europejskim głosowali i poparli swoimi podpisami rezolucję definiującą aborcję jako podstawowe prawo człowieka.

Oprócz Tuska otwarcie poparł Martę Lempart, wspierając tym samym ataki na kościoły, które zorganizowała jej organizacja Strajk Kobiet.

Ten kierunek dystansowania się PO od katolicyzmu jest wyraźny od dawna. Zdarały się sporadyczne próby budowania wizerunku Platformy jako partii, która wciąż ma korzenie katolickie. Jak ta, która miała miejsce rok temu na konwencji PO w Płońsku, kiedy Tusk ucałował chleb i uczynił



na nim znak krzyża. Dla wszystkich było jednak jasne, że to tylko pusty gest.

Ojciec Dariusz Kowalczyk SJ, profesor nauk teologicznych i publicysta, mówi nam, że to oczywiste, iż Platforma odchodzi od katolicyzmu. – Taki sygnał dał Tusk, który już nie opowiada łzawych historii o czynieniu znaku krzyża na bochenku chleba, ale obiecuje, że jedną z pierwszych ustaw, które wprowadzi, będzie ta wprowadzająca aborcję na życzenie. Katolicy, którzy go od lat popierają, jakoś sobie z tym radzą, bo od dawna są tak trenowani, by nie widzieć tyleż ewidentnych, co cynicznych sprzeczności w postawie szefa PO. Jedną z manipulacji, która pomaga im w trwaniu w tego rodzaju szpagacie, polega właśnie na narracji, że Kościół w Polsce jest „be”, a zatem obrzucanie go błotem jest wyrazem troski o autentyczne chrześcijaństwo. Oczywiście ta narracja nie ma sensu, bo aborcja na życzenie i wprowadzanie ideologii gender/LGBT+ nie jest żadnym wyrazem autentycznego chrześcijaństwa. Jest jego zaprzeczeniem – wyjaśnia jezuita.

I tu dochodzimy do głównego absurdu nowej pozycji PO wobec wiary katolickiej i Kościoła. Nowe stanowisko Platformy jest oczywiście wynikiem zimnej kalkulacji politycznej opartej na założeniu, że partia ta nie ma czego szukać wśród katolickich wyborców. Tusk po prostu czuł, że grozi mu utrata młodych wyborców z wielkich miast, na których liczył, jeśli nie zgodzi się na poparcie aborcji na życzenie. Tę kalkulację polityczną Tusk i jego koledzy chcą jednak przedstawić jako akt dystansowania się od „skorumpowanego” Kościoła.

Na tym samym kampusie, na którym Tusk deklarował poparcie PO dla aborcji, dzień wcześniej odbyła się dyskusja pt. „Dlaczego Bóg opuścił Kościół?”. W debacie wziął udział m.in. publicysta Tomasz Terlikowski i ks. Kazimierz Sowa. Przesłanie było jasne. Nie ma problemu z katolikami z PO, którzy popierają aborcję, prawdziwy problem jest w Kościele. Iz jego rzekomymi związkami z PiS. Takiej retoryki broni, zaznaczymy, ks. Sowa, który pojawia się na wiecu organizowanym przez partię polityczną.

Trzeba przyznać, że PO jest po prostu w trendzie. Europejska chadecja jest w tym momencie w procesie tonięcia w polityce lewicowo-liberalnej. Platforma również się w niego wpisuje. – Tak w ogóle to mamy w świecie dość liczną grupę katolików, która wyznaje poglądy lewicowo-liberalne – tłumaczy o. Kowalczyk. – Reprezentantem takiego katolika jest niewątpliwie amerykański prezydent Joe Biden. Tego rodzaju katolicy udają, że nie ma żadnej sprzeczności w ich postawie, a kiedy jakaś sprzeczność jest zbyt ewidentna nawet dla nich, wówczas postulują zmianę nauczania katolickiego, bo „Kościół musi się zmieniać”. Ewentualnie twierdzą, że np. aborcji nie wolno zabraniać, choć oni sami by jej nigdy nie dokonali. Tak jakby w sprawie aborcji chodziło jedynie o poglądy religijne, a nie o obiektywnie istniejącą istotę ludzką.

Czy ta strategia przyniesie sukces PO? A może zostanie uznana za to, czym jest w rzeczywistości – polityczną grą, która ma na celu jedynie partyjne interesy?

– Totalna opozycja, zdaje się, zrobiłaby wszystko, by wygrać wybory. Gdyby opcja katolicka mogła im w tym pomóc, to byłiby katolikami – mówi o. Kowalczyk. – Z kolei teraz pomocy oczekują od międzynarodówki liberalno-lewicowej na czele z Niemcami, stąd taka, a nie inna retoryka. Atak, że Kościół zblatował się z PiS, jest częścią tej retoryki. Może on przynieść pewne polityczne korzyści, choć ma się nijak do rzeczywistości. Nie ma żadnego dokumentu episkopatu, w którym można znaleźć jakieś akcenty wspierające obecny rząd. Wręcz przeciwnie! Są takie idące w poprzek polityki Zjednoczonej Prawicy, jak np. niektóre stwierdzenia dotyczące sytuacji na granicy z Białorusią czy też – wcześniej – wypowiedzi w sprawie reformy sądownictwa. Znam wielu duchownych, którzy z jakichś powodów wiedzą o świecie czerpią z „Gazety Wyborczej” i TVN24 i głosują na PO. Prawdopodobnie większość duchownych i osób zakonnych głosowała na PiS, ale nie jest to żaden dowód na jakiś sojusz ołtarza z tronem. No bo niby dlaczego mieliby głosować na PO, Lewicę czy Hołownię?! Na poziomie parafii jednak proboszczowie starają się współpracować przede wszystkim z samorządami, a te – jak wiadomo – mają różne odcienie polityczne.

Platforma Obywatelska poszła w kierunku pełnego zaakceptowania mentalności cywilizacji śmierci. Miejmy nadzieję, że nikt z Kościoła katolickiego w Polsce – mam na myśli zarówno duchownych, jak i świeckich – nie pójdzie za nimi tą drogą donikąd.

Krok wstecz!

Zamiast programu – antypisizm, agresja, wulgarność i fake newsy. Tak wygląda polityczna strategia Platformy Obywatelskiej. A kto weźmie odpowiedzialność, jeśli kolejny Cyba osiągnie swój cel?

Jest wtorek, kilka minut po godz. 15. Do budynku przy ul. Nowogrodzkiej, w którym znajduje się siedziba Prawa i Sprawiedliwości, wdziera się 20-latek, domagając się spotkania z Jarosławem Kaczyńskim. „Jestem najbardziej poważnym człowiekiem na świecie, a ty zaraz będziesz martwy. Wołaj Kaczyńskiego, wołaj Kaczyńskiego!” – krzyczy mężczyzna do osoby stojącej za drzwiami. Wszystko dzieje się w tydzień po 12. rocznicę śmierci łódzkiego działacza Prawa i Sprawiedliwości Marka Rosiaka, który został zamordowany przez byłego działacza PO Ryszarda Cybę w biurze PiS w Łodzi.



DOROTA ŁOSIEWICZ

komentować tej sytuacji. Po prostu nie ma słów, którymi można opisać to, co czuję ja, a przede wszystkim moi współpracownicy i rodzina. Na szczęście nikomu nic się nie stało – tym razem” – podsumowała posłanka.

CYBA 2.0?

Tym razem nikomu nic się nie stało. Takiego szczęścia nie miał Marek Rosiak. 19 października 2010 r. przed południem w biurze poselskim PiS przy ul. Sienkiewicza w Łodzi pojawił się mężczyzna, który od razu zaatakował działacza PiS, oddając do niego strzały z broni palnej. Niestety, cztery z ośmiu wystrzelonych pocisków trafiły Rosiaka. Mężczyzna zginął na miejscu. Inny z działaczy PiS został ranny nożem. Napastnikiem był Ryszard Cyba, były taksówkarz, a w przeszłości członek Platformy Obywatelskiej (od kwietnia 2004 r. do stycznia 2006 r.). Na miejscu Cyba krzychał, że chciał zabić Kaczyńskiego, tylko „ma za małą broń”. „Jestem przeciwko PiS i chciałem go zamordować” – wrzeszczał napastnik.

W 12. rocznicę śmierci Marka Rosiaka tamte zdarzenia wspominał w rozmowie z portalem wPolityce.pl Witold Waszczykowski, który poinformował w mediach społecznościowych, że i na jego biuro przeprowadzono w tym miesiącu atak. Wejście zostało oblane farbą. Wandalę złapano.

Wróćmy jednak do października 2010 r.: „To są przykre wspomnienia, bo mogłem być jedną z ofiar. Od września 2010 r. byłem zaangażowany w kampanię wyborczą. Z ramienia PiS kandydowałem na prezydenta Łodzi. Korzystałem z tego biura PiS. Korzystałem nawet z pokoju, gdzie został zabity pan Marek Rosiak – nawet z tego biurka i krzesła” – mówił Waszczykowski. Jest przekonany, że nie wyciągnięto wniosków z tamtej historii, a drastyczna nagonka na polityków może doprowadzić do kolejnych nieszczęść. „Teraz kampania prowadzona przez PO ma także zohydzić, wręcz odczłowieczyć polityków PiS, pokazywać, że są nienormalni, oderwani od rzeczywistości. Ma wywołać taką sytuację, że jak coś się im stanie, to nie żal, bo przecież zasłużyli” – dodawał europoseł PiS.

KOKTAJLEM MOŁOTOWA

Strategia PO, o której wspomina Witold Waszczykowski, powstała wiele lat temu: „Kampania nienawiści, złośliwości

FURIACKI ATAK

Cale zajście zarejestrowały kamery monitoringu. „Ja do Kaczyńskiego, on wie, o co chodzi – mówi mężczyzna próbujący wejść do siedziby. – A kto to jest Kaczyński? – pyta osoba pracująca w biurze partii. – Człowiek, do którego idę i który wie, że do niego idę. Pan go zawoła, bo pan nie wie, o co chodzi” – odpowiada agresywnie nastawiony młody człowiek. Gdy widzi, że nie zostanie wpuszczony, zaczyna grozić: „Jak pan nie otworzy drzwi, to je wybiję i pana zabiję – zaczyna krzyczeć 20-latek. – Chcesz zobaczyć? Chcesz się k...wa zmierzyć? Wołaj Kaczyńskiego! – wykrzykuje coraz bardziej zirytowany. – Jestem najbardziej poważnym człowiekiem na świecie, a ty zaraz będziesz martwy. Wołaj Kaczyńskiego, wołaj Kaczyńskiego! – wrzeszczy rozwścieczony agresor. – Wołaj Kaczyńskiego, bo cię zabiję” – padają kolejne groźby. Wreszcie mężczyzna zaczyna walić w drzwi. A interwencję podejmuje ochroniarz, dochodzi do szamotaniny. W końcu na miejsce przyjeżdża policja. Funkcjonariusze zatrzymują 20-latka i przewożą na komendę.

Dwa dni później, 27 października, dochodzi do kolejnego ataku na biuro związane z obozem rządzącym. Tym razem chodzi o Monikę Pawłowską, polityk z województwa lubelskiego, jej biuro poselskie znajduje się we Włodawie. O ataku poseł PiS poinformowała na Twitterze. „Mężczyzna wtargnął do mojego biura poselskiego we Włodawie i groził śmiercią mojemu pracownikowi” – napisała Pawłowska. „Krzyczał, że biuro zostanie zniszczone, a moją pracownicę utopi w szambie, gdzie zginie” – dodała. Pracownica biura złożyła na policji zeznania w sprawie ataku. „Nie jestem w stanie nawet



i oszczerstw, która ruszyła krótko po zaprzysiężeniu, była dla mnie sporym zaskoczeniem. Ojciec zaczął być systematycznie niszczone. W styczniu przed katastrofą Janusz Palikot przyznał: »Trwale uszkodziliśmy liderów PiS i całą formację, która jest już niezdolna do zwycięstwa. Nikogo już nie uwiodą, bo są fundamentalnie ośmieszeni«. Chodziło o całkowite odarcie mojego ojca z godności, żeby w ten sposób osłabić jego szanse na reelekcję czy też może szerzej: szanse na istnienie w polskiej polityce. Platforma Obywatelska wyznaczyła Januszowi Palikotowi specjalną rolę polegającą na niszczeniu Lecha Kaczyńskiego» – tak w książce „Moi rodzice” wspominała strategię PO Marta Kaczyńska.

Atak na biuro posła Moniki Pawłowskiej pokazuje, że także dla kobiet nie ma taryfy ulgowej. Są one nie tylko ofiarami napaści słownej, ale i bezpośredniej. – Będąc ministrem edukacji, doświadczałam codziennego, zmasowanego, systematycznego hejtu. Jednak zupełny szok przeżyłam, gdy po napaści w Jeleniej Górze sąd stwierdził, że określenie „sucz pier...” mieści się w ramach demokratycznego wyrażania poglądów i demonstracji. A to, że miałam na ciele siniaki, poddałam się obdukcji..., to było bez znaczenia – opowiadała mi Anna Zalewska, gdy pisałam tekst o atakach na kobiety prawicy. Do wspomnianej napaści doszło po spotkaniu na terenie Karkonoskiej Państwowej Szkoły Wyższej w Jeleniej Górze. Działacze KOD czekali na minister przed budynkiem. Nie przebierali w wyzwiskach. Doszło do szarpaniny. Minister Zalewska i dzisiejsza wiceminister edukacji Marzena Machałek musiały uciekać do rządowych samochodów.

Rok po zajściach w Jeleniej Górze próbowano podpalić biuro poselskie Beaty Kempy w Sycowie. Ktoś rzucił w drzwi pojemnik z łatwopalną substancją. Incydent miał miejsce w nocy.

POLITYKA MIŁOŚCI?

Niestety, antypisizm, agresja, wulgarność i fake newsy stały się strategią polityczną PO. Podgrzewanie negatywnych emocji Donald Tusk rozpoczął zaraz po swoim powrocie z Brukseli. Podczas pierwszego publicznego wystąpienia w lipcu 2021 r. powiedział: „Jak słyszę: »PiS jest zły, ale...«, to dostaję furii. To zło jest permanentne. Trzeba zacząć od najważniej-

szego przykazania: jak widzisz zło, walcz z nim i nie pytaj o dodatkowe powody” – mówił szef PO. Czy można więc się dziwić, że pojawiają się tacy, którzy chcą się bić? Podczas jednego z ostatnich spotkań w Kluczborku Tusk, zapytany, czy jest zwolennikiem postawienia polityków PiS przed Trybunałem Stanu, odparł: „Trybunał Stanu to jest pieszczota”. „Oni będą siedzieć, a nie że odbierze im się prawo kandydowania” – groził Tusk. Czy można się więc dziwić, że pojawiają się tacy, którzy własnoręcznie chcą wymierzać sprawiedliwość? W Radomiu lider PO zapowiadał zaś wyprowadzenie ludzi na ulicę, jeśli PiS znów wygra wybory: „Przyjdzie taki moment, że na ulicy też się wszyscy zorganizujemy, jeśli ta władza nie zniknie”. Czy można się więc dziwić, że pojawiają się tacy, którzy chcą się sami zorganizować? Innym razem szef PO zapowiadał, że jeśli wygra wybory, to wyprowadzi Glapińskiego z NBP i nie potrzeba do tego ustawy. Czy można się więc dziwić, że pojawiają się tacy, którzy chcą wyprowadzać z urzędów wcześniej?

I tak dostajemy strategię polityczną Platformy w całości. Zresztą nawet Donald Tusk nie ukrywa, że innej nie ma. „Często pojawia się taki zarzut, że PO i ja osobiście mówimy, że trzeba zmienić tę władzę i nasz polityczny pomysł to jest przede wszystkim anty-PiS. Chcę państwu powiedzieć, że w tym sformułowaniu kryje się najbardziej pozytywny i konkretny program” – oświadczył w Ostrowie Wielkopolskim.

Po zajęciu w biurze prezesa PiS rzecznik rządu Piotr Müller, zaapelował do lidera PO o złagodzenie języka w debacie publicznej: „Panie przewodniczący Tusk, proszę wziąć odpowiedzialność za te słowa, które pan wygłasza, ponieważ są ludzie, którzy te słowa mogą wziąć dosłownie do siebie”.

Gdy wielu polityków innych partii opozycyjnych potępiło atak i agresję w życiu politycznym, marszałek Senatu Tomasz Grodzki w wywiadzie udzielonym TVN24, już po ataku na biuro prezesa Kaczyńskiego, tak rozwinął skrót PiS: „To jest mój osobisty pogląd, tak zresztą młodzież mówi, że skrót PiS należy tłumaczyć jako przepraszam i s..., odjedźcie, bo ewidentnie ten rząd sobie nie radzi”.

Czy naprawdę potrzebujemy kolejnej tragedii, by obniżyć poziom politycznych emocji? Wszystkie strony publicznego dyskursu powinny zrobić krok wstecz. Dla dobra nas wszystkich.



Z potrzeby kontrakcji

Widziałem natowskich żołnierzy, prawdziwych twardzieli, płaczących w muzeum niemieckiego obozu Stutthof, oddających hołd obrońcom Westerplatte, kłaniających się grobom żołnierzy powstania warszawskiego

Michał Karnowski rozmawiają z dr. Marcinem Zarzeckim, prezesem Zarządu Polskiej Fundacji Narodowej

Gdy ponad trzy lata temu obejmował pan stanowisko prezesa Polskiej Fundacji Narodowej, opinia publiczna wciąż miała trudności z odczytaniem jej głównego celu i przesłania. Dziś ten obraz jest jaśniejszy, jest to też lepiej przedstawiane opinii publicznej. Czy wszystkie cele, które pan sobie stawiał, udało się zrealizować?

Marcin Zarzecki: Zdecydowaną większość koniecznych zmian organizacyjnych i otwartych projektów udało się wdrożyć zespołowi PFN. Gdy w lipcu 2019 r. wraz z Michałem

Górasem powierzono nam zadanie poprowadzenia Polskiej Fundacji Narodowej, za najważniejszy cel uznaliśmy powrót do jej źródeł, właściwego celu, który przyświecał powołaniu tej instytucji: wsparcie działań, które w rozmaitych obszarach i przez różnicowane kanały komunikacyjne budują pozytywny wizerunek Polski za granicą. Tak to zresztą mamy wyraźnie opisane w dokumentach statutowych, tego oczekują nasi fundatorzy. I mówimy zarówno o wydarzeniach jednorazowych, jak i erylowaniu instytucji, które po uruchomieniu będą praco-

wały mniej lub bardziej autonomicznie dalej. Budowa dwie przecznice od Białego Domu w Waszyngtonie Muzeum Ofiar Komunizmu z wystawami z dominującym polskim wątkiem jest tu najlepszym przykładem zamysłu instytucjonalizacji, a więc zapewnienia trwałości licznych działań realizowanych za granicą.

To się udało. W lipcu 2020 r. nastąpiło otwarcie, powstanie tego muzeum mocno odbiło się echem w mediach, a sama placówka znajduje się na trasie wielu wycieczek z całych Stanów Zjednoczonych i świata.

To muzeum funkcjonuje, dobrze pracuje dla Polski, dlatego też utwo-

rzyliśmy w innych państwach analogiczne instytucje, np. Muzeum Chrztu Litwy w Wilnie, w zdewastowanym przez Rosjan kościele Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny. Także w Wilnie powstał Narodowy Instytut Dziedzictwa. Idea jest taka, by tworzyć – użyję nazwy roboczej – huby sieciujące, które będą funkcjonowały już niezależnie od fundacji, będą promieniowały informacjami dalej, niosły już samodzielnie przekaz, za który PFN jest odpowiedzialna. Zadań jest mnóstwo, mamy poczucie, że musimy nadrobić stracony czas.

Co pan przez to rozumie?

Instytucja taka jak PFN powinna powstać kilkadziesiąt lat temu. Proces zmiany stereotypów, postaw i opinii w międzynarodowym audytorium, docierania z prawdą o Polsce musi zająć wiele lat. To socjologicznie i psychologicznie oczywiste. Naiwnością jest przekonanie, że jedną kampanią lub kilkoma działaniami w rok, dwa, trzy lata skorygujemy to, co narastało przez dekady, co stanowi składową myślenia także wśród przedstawicieli elit opiniotwórczych.

Często podkreślają to historycy wypowiadający się na łamach tygodnika „Sieci”, miesięcznika „wSieci Historii”: przez pół wieku po II wojnie światowej, gdy wykuwały się podstawowe interpretacje historyczne i społeczne, Polska miała zakryte usta, była odcięta żelazną kurtyną. Nie było nas tam.

W tamtym okresie to wykluczenie było wynikiem systemowego przymusu. I doprowadziło do wielkich szkód, powstały nieprawdziwe klisze. Ale także po 1989 r. byliśmy nieobecni, pasywni albo zbyt nieśmiali, zakompleksieni. Polskość stała się ofiarą tej bierności, doszliśmy do momentu, w którym dostrześliśmy, że kłamstwo na temat np. roli Polski w historii triumfuje. Skoro my byliśmy pasywni, jeśli chodzi o budowę własnego wizerunku, to inni tym bardziej malowali nas, jak im było wygodnie, często w czarnych barwach lub przemilczając naszą rolę. Właśnie z potrzeby kontrakcji zrodziła się idea powołania PFN. Oczywiście, jak

to zwykle bywa, oczekiwania zostały od razu bardzo mocno rozbudzone. Niektórzy uwierzyli, że jedna prywatna instytucja w krótkim czasie, dysponując relatywnie niewielkimi środkami, nadrobi wszystkie wieloletnie zaniedbania.

Stąd tak silne ataki na fundację od początku jej istnienia?

W znacznym stopniu tak. Innym wątkiem jest to, że wielu środowiskom ta polska pasywność w działaniach międzynarodowych odpowiadała, nie chcieli żadnej zmiany czy systematycznej pracy nad postrzeganiem Polski. Dlatego próbowano nas etykietować, przypisywać pozamerytoryczne, polityczne, jakieś rzekomo propagandowe zamierzenia. To absurd. Propaganda częstokroć posługuje się kłamstwem, my pokazujemy na świecie prawdę o Polsce i Polakach. Wszystkie nowoczesne, samoświadome swojej tożsamości społeczeństwa, silne państwa roztropnie troszczą się o to, jak są postrzegane przez innych, metodycznie budują swój wizerunek.

Te łatki udało się odrzucić?

Za granicą zdecydowanie tak się stało. Najlepszym dowodem są umowy i relacje, które mamy z zagranicznymi partnerami, analogicznymi do naszej fundacji, organizacjami i instytucjami od Stanów Zjednoczonych, przez Europę Zachodnią, po państwa bałtyckie, co skokowo zwiększyło naszą skuteczność i zasięg oddziaływań. Łączymy potencjały, jesteśmy częścią globalnej sieci współpracujących podmiotów.

To strona techniczna. Gdzieś w tle są jednak pytania, często stawiane przez środowiska lewicowo-liberalne na całym świecie, czy w ogóle tożsamość narodowa ma przyszłość. Czy wokół niej należy budować muzealne i wydawnicze narracje? Czy polskość jest atrakcyjna?

To prawda, że w przestrzeni medialnej takie tezy się pojawiają. Zawsze mnie to zdumiewa. Na spotkaniach z zachodnimi fundacjami, think tankami, instytucjami kultury nigdy z czymś takim się nie spotkałem. I nie chodzi o to,

że są to pytania niestosowne, ale o to, że są one poza horyzontem poważnych dyskusji. Odpowiedzi są przecież oczywiste: naród, państwo, religia są podstawowymi tożsamościami człowieka. Są ważne i piękne.

Coś z nami jest nie tak, że na łamach części polskiej prasy tezy wyzywające do apostazji narodowej pojawiają się tak często? Że ważne postacie życia publicznego wyzywają do porzucenia polskości i zastąpienia jej europejskością?

Problemem podstawowym jest to, że po 1989 r. rozpoczął się proces zmian systemowych, ale podmiotowość i mentalność wielu uczestników życia publicznego pozostała nader archaiczna i wyzuta z aksjologii. *Homo sovieticus* przecież nie zniknął, on przekształcił się, zmutował w nowe formy.

Gdy prof. Jadwiga Staniszkis mówiła, że wyjście z komunizmu zajęmie nam kilka pokoleń, nie wierzyliśmy. Wychodzi na to, że miała rację.

Oczywiście. Myśleliśmy, że chodzi tylko o zmianę systemu gospodarczego i politycznego, o jakieś fasady instytucjonalne. Zadanie jest jednak o wiele trudniejsze. Tym bardziej że mierzymy się nie tylko ze starym, ale i z nowym komunizmem, tym bardziej groźnym, że reprodukowanym przez kulturę.

I te siły przekonują, że nowoczesność, demokracja, wolność są sprzeczne z patriotyzmem, miłością do ojczyzny, gotowością do jej obrony.

To myślenie błędne i obłądne. Te wartości nie są sprzeczne z wspólnotą narodową, ale ze niej wynikają. Trudno w ogóle wyobrazić sobie społeczeństwo aktywnie budujące wspólnotę, gotowe do pracy na rzecz dobra wspólnego bez umiłowania ojczyzny. Wielki polski socjolog Stanisław Ossowski rozróżniał ojczyznę prywatną i ojczyznę ideologiczną. Ta pierwsza to wspólnota rodzinna, lokalna, regionalna, która nas socjalizowała i inkulturowała. Ta druga jest ściśle związana z tożsamością narodową. Uwidacznia



Fot. Maciej Biedrzycki/PFN

się w języku, systemie wartości, poczuciu przynależności do wspólnoty kulturowej i historycznej.

To dostaliśmy. Ale czy możemy to odrzucić?

Werbalnie, w formie deklaracji politycznej – tak. Faktycznie – nie. Jesteśmy ukształtowani przez tę wspólnotę i myślimy w jej kategoriach.

Dziś w wielu wspólnotach, nawet muzułmańskich, jest odczuwalne rwanie łańcucha pokoleń, niezdolność starszych pokoleń do przekazania kodu kulturowego kolejnym generacjom. Przyczyną są oczywiście media społecznościowe, popkultura, media, które tak silnie oddziałują na młodych, że stają się głównym nośnikiem socjalizacji, wychowania.

Jestem tu większym optymistą. Ta reprodukcja wartości, kodów kulturowych mimo wszystko następuje. Jest zapewne słabsza z racji osłabienia tradycyjnych instytucji takich jak rodzina i religia, i to jest problem pierwszy. Drugim jest atrakcyjna dla wielu wizja kultury jako supermarketu: chodzimy z wózkiem między półkami i wybieramy, co nam się podoba spośród wartości i tożsamości. To jednak złudzenie. Silne wstrząsy społeczne, takie jak choćby wojna na Ukrainie, błyskawicznie powodują powrót do podstawowej tożsamości, która

się wielu wydawała już nieaktualna. W Polsce też już wielokrotnie przekreślano polskość, kolejne pokolenia miały być wyłącznie Europejczykami, a ta europejskość miała być przeciwstawna polskości. Mimo ogromnego wysiłku włożonego w ten proces nie zakończył się on sukcesem – jesteśmy Polakami i Europejczykami.

Wspomniał pan o wojnie na Ukrainie. Co barbarzyński najazd rosyjski na sąsiedni, niepodległy kraj zmienił w działaniach Polskiej Fundacji Narodowej?

Bardzo dużo. Przypominam, że powodowani imperatywem weszliśmy w kryzys związany z pandemią, podczas którego zgodnie z oczekiwaniami naszych fundatorów Polska Fundacja Narodowa dała z siebie wszystko, by konkretnie i realnie pomagać. Po wybuchu wojny za najpilniejsze zadanie uznaliśmy przeciwdziałanie rosyjskiej dezinformacji. Raszyzm w tym obszarze potrafi być wręcz diabelsko zakłamany, prezentuje ofiary jako rzekomych sprawców, drwi z cierpienia. Dlatego od pierwszych dni wojny zapraszaliśmy zachodnioeuropejskich i amerykańskich dziennikarzy i udzielaliśmy im wszechstronnej pomocy. Towarzyszyliśmy im na przejściach granicznych, byliśmy z nimi na dworcach w Przemyślu i Warszawie Centralnej, kontaktowaliśmy z ukra-

ińskimi rodzinami, które otrzymały pomoc, i polskimi, które otworzyły dla nich swoje domy. Organizowaliśmy spotkania z żołnierzami WOT, ratownikami, samorządowcami, wolontariuszami.

Z jakim skutkiem?

Oceniamy, że dobrym, bo prawda o polskim zaangażowaniu w pomoc Ukrainie i Ukraińcom dotarła do międzynarodowego audytorium. Podkreślałam: to nie były materiały zamawiane, nikomu niczego nie dyktowaliśmy, za nic nikomu nie płaciliśmy. Daliśmy po prostu naszym gościom możliwość dotknięcia tego, co naprawdę dzieje się w Polsce, byliśmy przewodnikami. A tym, którzy nie mogli przyjechać, dostarczaliśmy materiały filmowe, niezmontowane, pokazujące obiektywnie i rzeczowo sytuację na granicach i w Polsce.

Skąd były te nagrania?

Od pierwszych godzin wojny nasze zespoły przygotowywały materiał filmowy, następnie dystrybuowały dalej. Tak się dzieje do dzisiaj. Myślę, że także dzięki temu naszemu wysiłkowi, naszemu wkładowi prawda o Polsce, która okazała się w chwili próby mocarstwem humanitarnym, przebiła się na świat, przy czym wymaga to nieustannego podkreślania i dalszych wspólnych działań.

Oglądałem w tamtych dniach stacje zachodnie, amerykańskie i widziałem, jak byli zszokowani prowadzący w studiach, gdy reporterzy opowiadali o polskiej pomocy, o wolontariuszach, postawie Polaków, a także o profesjonalnym przygotowaniu państwa polskiego do tego wyzwania. Czy jednak za chwilę stare kłamstwa o Polakach, polskiej historii znowu nie zaczną dominować?

Częściowo zapewne tak, bo walka o prawdę trwa i potrwa jeszcze wiele dekad. Dlatego naszym gościom i partnerom przekazujemy nieustannie wiedzę o polskiej historii, kulturze i dziedzictwie narodowym. Wszystkie działania w tym obszarze są koordynowane w programie „BezPrzedawNIEnia”,

przypominającym także zbrodnie okupantów, których ofiarami byli Polacy. Inicjatorem tego programu jest prof. Piotr Glišński, wiceprezes Rady Ministrów, minister MKiDN, Ministerstwo Spraw Zagranicznych wsparło tę akcję.

Wiem, że fundacja zaangażowała się też w bezpośrednią pomoc humanitarną. Jaka była jej skala?

Wysyłaliśmy – i nadal to czynimy – konwoje z pomocą, z tym, co najbardziej potrzebne, na Ukrainę. Mamy to dobrze rozpoznane, dwukrotnie jako zarząd PFN osobiście tam pojechaliliśmy. Właśnie po to, by w osobistych rozmowach z żołnierzami, wolontariuszami, władzami lokalnymi i państwowymi, dowiedzieć się, czego najpilniej potrzeba. W efekcie już ponad 200 ton konkretnie adresowanej pomocy dotarło do celu. Bardzo dbamy, by żadna złotówka się nie zmarnowała. Pamiętamy też, że wzmacniamy armię i nie jesteśmy sami, że są na polskiej ziemi także żołnierze sojusznicy. Często rozmawiam z nimi w ramach programu „Zwiastun” i wiem, że nas nie zawiodą.

„Zwiastun” to niesamowity program: PFN zaprasza żołnierzy wojsk nатовських przebywających w Polsce do zwiedzenia miejsc najważniejszych dla polskiej historii, do pogłębienia wiedzy o kraju, w którym przebywają. Program powstał w 2017 r., ale wiem, że kierowany przez pana zarząd fundacji bardzo go rozwinął.

Tak, bo początkowo był to program skierowany do żołnierzy grupy batalionowej NATO stacjonującej w Bemowie Piskim, służą tam żołnierze brytyjscy, amerykańscy, chorwaccy i rumuńscy. Idea jest prosta: ci żołnierze są u nas zwykle przez sześć miesięcy, co niesie możliwość opowiedzenia im o Polsce tak, by później byli ambasadorami polskości w swoich ojczyznach, rodzinach, firmach.

To opowieść o polskiej historii?

Głównie, ale także o współczesności, gospodarce, kulturze, położe-

niu geopolitycznym. Wykorzystujemy wszystkie dostępne środki narracyjne: spotkania z ciekawymi ludźmi i świadkami historii, jak powstańcy warszawscy, projekcje filmów, książki, wycieczki do ważnych i pięknych miejsc, od sali BHP Stocznicy Gdańskiej, przez muzea Powstania Warszawskiego, Księdza Jerzego Popiełuszki. Szukamy punktów wspólnych, jak historia lotników amerykańskich uczestniczących w wojnie z bolszewikami

Wszystkie nowoczesne, samoświadome swojej tożsamości społeczeństwa, silne państwa roztropnie troszczą się o to, jak są postrzegane przez innych, metodycznie budują swój wizerunek

w 1920 r. Opowiadamy żołnierzom państw europejskich o polskich żołnierzach, którzy walczyli na froncie zachodnim II wojny światowej, wyzwalałi ich kraje, służyli w konwojach, bronili Wielkiej Brytanii. Rodzą się tu i dzieją wspaniałe rzeczy. Widziałem żołnierzy, prawdziwych twardzieli, płaczących w muzeum niemieckiego obozu Stutthof, oddających hołd obrońcom Westerplatte, kłaniającym się grobom żołnierzy powstania warszawskiego.

Trzeba ich mocno namawiać do udziału?

Skąd! Nam oczywiście zależy na przekazaniu tej wiedzy, ale piękne jest jednak to, że po drugiej stronie też jest taka intencja i wola. Kolejne jednostki zgłaszały się do nas, kolejni dowódcy prosili o objęcie ich „Zwiastunem”. Dziś skala tych działań jest ogromna. W programie uczestniczyło już po-

nad 3 tys. żołnierzy NATO służących w Polsce. „Zwiastun” się rozwija. Nasi żołnierze służą w ogromnej, międzynarodowej bazie sojuszu na Łotwie. I tam za ich sprawą „Zwiastun” też dotarł. Pracujemy z amerykańskimi żołnierzami na Litwie. Największym komplementem jest to, że wielu z nich przyjeżdża potem do Polski prywatnie, z rodzinami. Też zakochali się w polskości, złożoności naszej historii i kultury. A niektórzy i w polskich meblach i wzornictwie, bo podjęliśmy zadanie promocji wyrobów tego naszego przemysłu i wzornictwa poza granicami kraju.

We współczesnym świecie także sport jest nośnikiem dumy narodowej, prestiżu, symbolem sukcesu. PFN ma swoich olimpijczyków?

To oczywiście nie tak [śmiech]. Jest faktem, że w gronie 14 medalistów Igrzysk Olimpijskich w Tokio było 9 stypendystów programu „PFN Team 100”. Łącznie na wszystkich typach zawodów międzynarodowych tych medali było dotąd 607. Program zaczynał się od 100 stypendystów w 29 dyscyplinach. Gdy go przekazywaliśmy do Ministerstwa Sportu, brało w nim udział ponad 400 osób. Wielki sukces, głównie samych sportowców, ich trenerów, bliskich, ale w jakiejś części i Polskiej Fundacji Narodowej.

Dlaczego przekazaliście „PFN Team 100” Ministerstwu Sportu?

Został uruchomiony, świetnie działał. Bardzo się rozrósł. Wymaga stałego profesjonalnego nadzoru. To potwierdzenie tego, o czym mówiłem na początku: chcemy uruchamiać instytucje, programy, a miarą sukcesu jest to, że znajduje się tam tyle energii i profesjonalizmu, by w pewnym momencie zaczęły działać samodzielnie. My oczywiście nadal pomagamy sportowcom. A nasz jacht I Love Poland wygrywa kolejne regaty międzynarodowe, szkolą się na nim polscy młodzi żeglarze oceaniczni. Wbrew hejterom i krytykom, bo Polska Fundacja Narodowa ma sens i jeszcze dużo do zrobienia.

W strategii Rosji katastrofa o mniejszej skali, która pokazałaby Zachodowi, iż kontynuowanie wojny może być groźne, jest niestety prawdopodobna



Brudna bomba, czyli co?



MAREK BUDZISZ

Peter Clement, wieloletni funkcjonariusz CIA, napisał na łamach periodyku „Foreign Affairs” o spirali eskalacyjnej Putina. Jego zdaniem, już w 2018 r., kiedy w pamiętnym przemówieniu rosyjski prezydent mówił o nowych, cudownych rodzajach broni będących w rosyjskich arsenalach, w rodzaju atomowych torped Posejdon czy rakiet hipersonicznych Kindżał, można było zauważyć, że rośnie apetyt Moskwy na eskalowanie napięcia, w tym ryzykowanie konfliktu nawet w wymiarze nuklearnym. Jak

napisał, analizując politykę Putina, po ośmiu miesiącach wojny na Ukrainie „jego reakcja na narastające niepowodzenia Rosji na polu bitwy sugeruje, że ma on niewiele dobrych opcji poza podniesieniem stawki i podjęciem jeszcze większego ryzyka”. A to oznacza zarówno wejście wojny w nową, bardziej niebezpieczną fazę, włącznie z ryzykiem eskalacji nuklearnej, paradoksalnie po to, by ją zakończyć.

I Putin właśnie to robi, z jednej strony wysyłając sygnał, że jest gotów do rozmów o pokoju, z drugiej podbijając stawkę. Mówił o tym sam w czasie konferencji prasowej w kazachskiej Astanie, później dyplomaci tureccy poinformowali świat, że ze strony rosyjskiej dociera coraz więcej sygnałów o gotowości Moskwy do podjęcia poważnych negocjacji. A kiedy to nie pomogło, Putin poprosił o wsparcie jednego z nowych przyjaciół Rosji – prezydenta

Gwinei Bissau Umaro Sissoco Embaló, który spotkał się osobiście z rosyjskim prezydentem, a następnie przekazał „przesłanie pokojowe” Żelenskiemu.

NA WARUNKACH MOSKWY

Moskwa chce zakończyć wojnę oczywiście na własnych warunkach, bo Putin nie ma zamiaru zrezygnować ze swoich pierwotnych celów. Przemawiając na spotkaniu szefów służb bezpieczeństwa państw przestrzeni postsowieckiej, powiedział, że Ukraina w praktyce utraciła suwerenność, jest bezpośrednio rządzona z Waszyngtonu i Ameryka przekształciła ją w antyrosyjski taran, co sugeruje traktowanie sąsiedniego państwa bardziej w kategoriach łupów, którymi można się podzielić, niż jako samodzielnego państwa. Gdyby zatem Kijów zgodził się na negocjacje, zwłaszcza w obecnej fazie wojny, to musiałby

zapomnieć i o Krymie, i o Donbasie, a niewykluczone, że Moskwa domagałaby się zatrzymania pozostałych anektowanych przez siebie ukraińskich prowincji i dodatkowo rozbrojenia Kijowa i rezygnacji z NATO-wskich aspiracji.

Tyle że ukraińskie elity nie mają zamiaru godzić się na dyktat Moskwy. Kyryło Budanow, szef ukraińskiego wywiadu wojskowego, powiedział niedawno w wywiadzie, że jego zdaniem wojna może zakończyć się późną wiosną przyszłego roku, po tym jak siły ukraińskie odzyskają wszystkie zajęte przez Moskali tereny, a Rosja będzie musiała uznać własną porażkę. Ołeksij Reznikow, minister obrony, napisał zaś, że nie ma mowy o tym, by Kijów zrezygnował z planów wejścia do NATO i nikt na Ukrainie nie chce nawet słyszeć o zgodzie na przyjęcie statusu państwa neutralnego i w znacznym stopniu, czego chcą Rosjanie, rozbrojonego.

A to oznacza, że Moskwa musi zmusić Ukrainę i jej sojuszników, by ci zdecydowali się usiąść do stołu rokowań. Tym bardziej że czas nie pracuje na korzyść Rosjan. Siły ukraińskie nacierają na prawym brzegu Dniepru i są już na przedmieściach ważnej strategicznie miejscowości Swatowo, co może w dłuższej perspektywie oznaczać nawet zdobycie Ługańska. Rosjanie z kolei od maja nie mogą zdobyć Bachmutu, mimo że walczą tam ich najlepsze jednostki. Scenariusz eskalacyjny wydaje się w tym przypadku być jednym z ostatnich środków, do których Moskwa może się odwołać.

OPERACJA POD FAŁSZYWĄ FLAGĄ

I Rosjanie zaczęli rozpisaną na głosy kampanię medialną, w której straszą użyciem brudnej bomby – ładunku, który nie jest jądrowy, ale może wywołać skażenie radioaktywne nawet na znacznym obszarze. Pierwszy zaczął Siergiej Szojgu, który rozmawiał telefonicznie z ministrami obrony Turcji, Francji i Wielkiej Brytanii, a nawet dwukrotnie kontaktował się z szefem Pentagonu Lloydem Austinem. Ta intensywność telefonów jest symptomatyczna zwłaszcza wobec faktu, iż od kwietnia nie było żadnych na tym szczeblu rozmów między Moskwą

a Waszyngtonem. Rosjanie mieli informować o ryzyku detonacji brudnej bomby na Ukrainie, co ich zdaniem miało być wynikiem celowej akcji Kijowa, który chciałby oskarżyć Moskwę o wywołanie katastrofy nuklearnej.

O szczegółach rozmowy Szojgu z Austinem niewiele wiadomo, ale jej przebieg musiał być poważny, skoro zaraz potem amerykański minister zadzwonił do Londynu i rozmawiał z Reznikowem, a wkrótce potem przedstawiciele mocarstw atomowych będących członkami NATO wydali wspólne oświadczenie, w którym znalazły się stwierdzenia związane z rosyjskim straszeniem brudną bombą. Napisano w nim, że jest to zorganizowana przez Moskwę „operacja pod fałszywą flagą”, a dodatkowo, iż te pogrożki nie wpłyną na gotowość sojuszników Ukrainy do wspierania jej wysiłku wojskowego. Rosja nie zrewidowała jednak swojej retoryki i nie zatrzymała uruchomionej kampanii medialnej. Przeciwnie. Po Szojgu ze swoimi odpowiednikami na Zachodzie zaczął się kontaktować do tej pory milczącymi milczący szef rosyjskiego Sztabu Generalnego Walerij Gierasimow, do chóru włączył się Ławrow i rzecznik Kremla Pieskow, wreszcie na koniec wypowiedział się w tej kwestii, oskarżając Ukrainę o przygotowywanie prowokacji, sam Putin.

W międzyczasie na konferencji prasowej wystąpił gen. Igor Kiryłow, który dowodzi rosyjskimi formacjami zabezpieczenia chemicznego i przed skażeniem radioaktywnym. Z jego długiego wystąpienia jasno wynika, co Rosjanie mają na myśli, mówiąc o brudnej bombie. W ich interpretacji nie chodzi tu wyłącznie o ładunek, np. kontener, z substancjami radioaktywnymi, który może być celowo skonstruowany i zdetonowany, po to by wywołać skażenie substancjami promieniotwórczymi, ale definicja ta jest znacznie szersza. Może to być rozszczelnienie miejsc, w których są składowane odpady radioaktywne, awaria lub zniszczenie działających reaktorów, kopalń rudy uranowej czy placówek badawczych, w których są prowadzone prace związane z tym obszarem.

Kiryłow oczywiście powtarzał teorię o tym, że strona ukraińska dąży do

budowy bomby atomowej, Zelenski miał nawet wydać w tej sprawie stosowne rozkazy, a Kijów ma prowadzić zaawansowane rozmowy z Brytyjczykami. Ale równie silnie akcentował to, że praktycznie każda awaria, wypadek, dywersja czy celowe działanie w ukraińskim sektorze atomowym, może doprowadzić do globalnej katastrofy. Rosjanie już zresztą znacznie wcześniej zaczęli przygotowywać grunt pod tego typu narrację. Jeszcze latem kierownictwo Dumy Państwowej wydało specjalne oświadczenie, w którym znalazły się ostrzeżenia przed ryzykiem katastrofy w jednej z ukraińskich elektrowni atomowych. W dokumencie tym była też zawarta wyraźna sugestia, iż kontynuowanie zachodnich dostaw sprzętu wojskowego dla ukraińskich sił zbrojnych, w tym raket o większym zasięgu, prowadzi do zwiększenia ryzyka katastrofy, choćby w postaci rozszczelnienia jednego ze zbiorników z odpadami radioaktywnymi.

PRESJA NA AMERYKĘ

Obecnie ten wątek wraca i Rosjanie zaczynają go znacznie silniej eksploatować. Warto zapytać, dlaczego teraz. Odpowiedzi są przynajmniej dwie i nie można wykluczyć, iż obydwa te czynniki odegrały swoją rolę. Zaczniemy od sytuacji w Stanach Zjednoczonych. W połowie października lider republikańskiej mniejszości w Izbie Reprezentantów Kevin McCarthy z Kalifornii powiedział, że Kongres nie będzie podpisywał czeków in blanco z pomocą dla Ukrainy. Później zdementował swoje słowa, które zostały zinterpretowane jako zapowiedź ograniczenia wsparcia dla Kijowa, mówiąc, że chodziło mu o przejrzystość finansową i nadzór nad tym, jak te środki są wydawane. Ale jego deklaracje są ważne w świetle badań amerykańskiej opinii publicznej, z których wynika, że republikanie po wyborach uzupełniających mają szanse przejąć kontrolę nad Izbą Reprezentantów.

Sytuacja w niższej izbie amerykańskiego parlamentu komplikuje się tym bardziej, że kilka dni po wystąpieniu McCarthy'ego grupa 30 deputowanych z lewego skrzydła Partii Demokratycznych, członków tzw. postępowego

klubu pod przewodnictwem Pramili Jayapal, opublikowała list wzywający administrację Bidena do poszukiwania formuły pokojowego rozstrzygnięcia wojny na Ukrainie. I w tym przypadku sygnatariusze tego dokumentu wycofali się ze swojego stanowiska, argumentując, że personel jednego z biur poselskich opublikował starą, jeszcze z lipca, wersję listu. Tym niemniej sygnał polityczny został wysłany. Jego istotą jest informacja o narastającym sprzeciwie w amerykańskiej Izbie Reprezentantów, zarówno artykułowanym przez skrzydło prawicowe, jak i lewicowe, wobec kontynuowania obecnej polityki wsparcia dla Kijowa. Te głosy po wyborach uzupełniających, kiedy w Izbie zasiądzie najprawdopodobniej większa liczba zwolenników Donalda Trumpa z Partii Republikańskiej, mogą ulec wzmocnieniu.

Z perspektywy rosyjskiej rosną w związku z tym szanse na to, że strumień pomocy wojskowej dla Kijowa ulegnie zmniejszeniu albo choćby spowolnieniu, a to oznacza, że warto eskalować napięcie, grozić wojną atomową i wieloletnim konfliktem „na śmierć i życie” właśnie po to, by rósł obóz zwolenników pokoju.

POGRÓŻKI ESKALACJI KONFLIKTU

Jest to tym ważniejsze, że w Rosji w tym samym czasie miały miejsce wydarzenia, które mogą w konsekwencji zdecydować o szansach Moskwy na ewentualne zwycięstwo w wojnie. I tak 17 października mer Moskwy Siergiej Sobjanin poinformował, że mobilizacja w Moskwie zostaje zakończona. Decyzja ta wzbudziła zainteresowanie mediów, zwłaszcza że niedługo potem podobną inicjatywę podjęły władze Petersburga i gęsto zaludnionego okręgu moskiewskiego, a następnie o tym samym poinformował – już dla całego kraju – Putin.

Dziennikarze emigracyjnego portalu Meduza zbadali sprawę i jak się okazało, wstrzymanie mobilizacji nastąpiło nawet mimo tego, że narzucone przez władze wojskowe wskaźniki liczby powołanych dla rosyjskiej stolicy i innych

miast nie zostały zrealizowane. Analizując sytuację, zwrócili oni uwagę na to, że administracja Kremla zamówiła w ostatnim czasie wiele pogłębianych badań opinii publicznej, z których wynikało, iż poparcie dla władzy w sposób lawinowy kruszeje, co ma związek zarówno z faktem ogłoszenia mobilizacji, jak i ze sposobem jej przeprowadzenia. Zresztą w Moskwie przyjęła ona charakter łapanek zarówno na stacjach metra, jak i na ulicach czy w domach. Już wówczas gołym okiem było widać, że mało kto ma ochotę iść do wojska, a nawet dziennikarze reżimowych mediów zaczęli pisać, iż stołeczne ulice wyludniły się, wręcz nie widać było na nich mężczyzn.

Z wojskowego punktu widzenia Moskwa nie może liczyć na wznowienie ofensywy na wielką skalę, a tym samym perspektywa zwycięstwa w wojnie oddala się, co gorsze, czas zaczyna pracować na rzecz Kijowa

W takiej sytuacji działanie Sobjanina można uznać zarówno za próbę ratowania sytuacji, jak i świadectwo pojawiających się pęknięć w spoistym do tej pory rosyjskim obozie władzy. Kontynuowanie mobilizacji mogłoby zdestabilizować sytuację wewnętrzną, ale jej wstrzymanie w oczywisty sposób wpływa na rosyjskie możliwości na ukraińskich frontach.

Ze zdobytych dokumentów w jednym ze sztabów w wyzwolonej miejscowości Bałaklija, do których dostęp uzyskali dziennikarze Reutersa, wynika, że Rosjanie mają dramatyczne braki, jeśli brać pod uwagę obsadę personalną jednostek walczących na froncie. Pod Iziumem niektóre rosyjskie pododdziały były ukompletowane w 20 proc.,

nie mówiąc już o tym, jak tego rodzaju zjawisko wpływa na morale walczących żołnierzy. Mobilizacja miała temu zaradzić, najpierw pozwolić na uzupełnienie stanów osobowych, a potem, zimą, na odbudowę potencjału uderzeniowego rosyjskiej armii. Wydaje się, że te rachuby właśnie się rozwiewają i jedyne, na co Rosjanie mogą liczyć, to wzmocnienie linii obrony, co zresztą już ma miejsce.

Oznacza to, iż z wojskowego punktu widzenia Moskwa nie może liczyć na wznowienie ofensywy na wielką skalę, a tym samym perspektywa zwycięstwa w wojnie oddala się, co gorsze, czas zaczyna pracować na rzecz Kijowa. Im wcześniej uda się zatem zakończyć wojnę, tym szansa na wygranie pokoju rośnie. Ale by do tego doprowadzić, należy eskalować. I Rosjanie właśnie to robią, mówiąc o brudnej bombie atomowej, przeprowadzając próby z rakietami balistycznymi czy deklarując, iż są gotowi niszczyć cywilne satelity, z których korzysta strona ukraińska.

Czy to oznacza, że mamy do czynienia jedynie z pogrozkami, które nie przerodzą się w nic poważniejszego? Jeśli uważnie wysłuchać wystąpienia gen. Kiriłowa, to jakaś katastrofa o mniejszej skali, która pokazałaby Zachodowi, iż kontynuowanie wojny może być groźne, jest niestety prawdopodobna. Rosjanie jednak w swoim stylu pozostawili

sobie otwarte i inne możliwości. Senator Konstantin Kosaczew powiedział, że jeśli międzynarodowi inspektorzy, o których przysłała Ukraina po rosyjskich pogrozkach, niczego nie znajdą, to będzie to znaczyło, iż podniesiony przez Szojgu alarm odegrał swoją rolę, bo strona ukraińska została zmuszona do rewizji swoich planów. Innymi słowy – Moskwa pozostawia otwartymi wszystkie opcje, liczy się bowiem sama gra i metodyczne kruszenie jednolitego do tej pory bloku Zachodu. Jeśli pomoc dla Ukrainy będzie kontynuowana, to Moskwa ma małe szanse na korzystny pokój, ale jeśli szybciej uda jej się przetrwać świat, że na poważnie jest gotowa eskalować, to wówczas jej szanse rosną. Ten wygra wojnę, kto będzie szybszy. 



Strategia dywersyfikacji realizowana w ostatnich latach przez **Rząd Rzeczypospolitej Polskiej i PGNiG** przyniosła Polsce suwerenność energetyczną. Jednym z jej filarów jest gazociąg Baltic Pipe, który poprzez Danię, połączył Polskę ze złożami gazu w Norwegii. Już dzisiaj Polska jest krajem zabezpieczonym pod względem dostaw gazu – dzięki dostawom gazociągami Baltic Pipe (z własnego wydobycia i podpisanych kontraktów), dostawom skroplonego gazu ziemnego poprzez Terminal LNG im. Prezydenta Lecha Kaczyńskiego w Świnoujściu a także własnemu wydobyciu krajowemu i dostawom poprzez Terminal LNG w Kłajpedzie oraz zapelnionym magazynom gazu. **Potrzeby klientów PGNiG w zakresie dostaw gazu będą w pełni zaspokojone zarówno w obecnym sezonie, jak i w latach kolejnych.**

Pięć scen polskiej pomocy dla Ukrainy

Wiecznie oskarżani o nietolerancję i nienawiść, wiecznie podzieleni i prowadzący z sobą rozgorączkowane spory w godzinie próby rosyjskiej inwazji na Ukrainę pokazaliśmy heroizm, solidarność, zaangażowanie, chrześcijańskie miłosierdzie i polityczny rozsądek. My – Polacy

Polskie produkty

W maju Rosjanie wściekle atakowali Liszczańsk i Siewierodonieck, miasta te właściwie wymarły, a to ostatnie zamieniło się wscenerię do postapokaliptycznego filmu – zbombardowane, poczerńnięte od pożarów, głuche od wybuchów rakiet i bomb. Jednak nawet w tamten wschodni zakątek Donbasu, wciśnięty między zgrupowania artylerii Putina, docierała polska pomoc humanitarna.

Na prospekcie Peremohy (ukr. zwycięstwa) stos konserw i kartonów od zachodnich wolontariuszy mienił się polskimi napisami. „Ryż biały”, „Paszтет z drobiem”, „Dżem” – widniało w zafoliowanych przesyłkach znad Wisły. Nie wiem, jak inni dziennikarze z Polski i ze świata, ale ja osobiście nie znalazłem na wojennej Ukrainie ani jednego miejsca, gdzie by nie było produktu z naszego kraju. Na „drogach życia”, którymi w marcu dowożono żywność z Kijowa do oblężonego Czernihowa, w kurii biskupiej w bombardowanym Charkowie, w najmniejszych wioskach pod Słowiańskiem i Kramatorskiem – wszędzie polskie jedzenie! Kupowały je w naszych skle-



**JAKUB AUGUSTYN
MACIEJEWSKI**

pach instytucje, parafie, prywatne firmy, a przede wszystkim miliony Polaków już od pierwszych godzin porannych strasznego 24 lutego. Słały pociągami, autobusami i samochodami pomoc humanitarną na wschód. Polskie konserwy, ryż i makarony jedzą więc żołnierze w ziemiankach Bachmutu, polską wodą utlenioną przemywają rany w obwodzie zaporoskim, polskimi swetrami ogrzewają się uchodźcy, wsiadając do pociągu ewakuacyjnego w Pokrowsku. Może kupując w sklepie żywność dla Ukrainy, nie dostrzega się spektakularności tego dzieła solidarności, ale gdy przemierza się tysiące kilometrów ogarniętego wojną kraju i absolutnie w każdym składzie z jedzeniem piętrzą się polskie produkty, widać rozmach tego zaangażowania, jego powszechność i szczerość.

Polskie domy

Kasze i suchary zapełniają żołądki, ale nie wyciskają łez wzruszenia. Robią za to wspomnienia żołnierzy, często przecież zahartowanych wojną w najtwardszym stopniu, mówiący o swoich rodzinach, które wyjechały – wiadomo – do Polski. W opowieściach policjanta pod Słowiańskiem, żołnierzy obrony terytorialnej Kułykiwki czy czołgisty z Lisnego pod Charkowem przewijają się z trudem wymawiane nazwy polskich miast. „Gdańsk”, „Uc”, „Wrocław” – słychać od mundurowych, których żony, matki, dzieci, rodzice albo młodsze rodzeństwo odnaleźli więcej niż tylko dach nad głową i obiady, także pełne zrozumienie i dobre słowo.

Po powrotach z Ukrainy Polacy często mnie pytają: „Czy Ukraińcy są wdzięczni? Co sądzą o Polakach?”. Ale już sił brakuje, by odpowiadać i przekazywać, brakuje pamięci, by przypomnieć sobie dziesiątki posterunków z betonowych bloków, barykad z worków z piaskiem, baz wojskowych i pojazdów, gdzie umęczone twarze ożywiały się na wiadomość o dziennikarzu z Polski, by po chwili przekazywać

podziękowania i wyrazy wdzięczności. Bo wspomagać kraj bronią, żywnością, pieniędzmi – to jedno, ważne, wielkie, owocne. Ale otworzyć drzwi do własnego domu i „usynowić” – liczba uderza rozmachem – 3 mln uchodźców z ostrzeliwanego kraju, to brzmi jak jakaś legenda o szlachetnym narodzie, cikliwy film hollywoodzki o dobrych ludzkich sercach, ratujących cywilów w potrzebie. Te wspomnienia będą jeszcze towarzyszyć ludności nad Dnieprem przez dwa, trzy pokolenia, a jak dołożymy jeszcze mądre zaangażowanie po rosyjskiej klęsce, to i na wiele dekad pozostanie z nami dobra pamięć o polskiej otwartości.

Polska broń

W ciepłe, słoneczne lipcowe popołudnie w Kijowie zapanowało pewne poruszenie. Dwoje niemieckich ministrów – Nancy Faeser i Hubertus Heil – uroczystie przekazuje kilkanaście karetek pogotowia i kilka wozów strażackich. Wokoło kręcą się dziennikarze z całego świata, ochrona z Berlina torsami zastawia dostęp do urzędników, mikrofony, kwiaty i okłaski towarzyszą patetycznym przemówieniom. Gdybyż tak miała robić Polska, trzeba by powołać osobne ministerstwo ds. celebrowania pomocy Ukrainie. Bo oto medycy wojskowi ze Słowiańska mają karetkę z Nowego Targu, specjalne oddziały policji w obwodzie mikołajowskim samochód typu pick-up od stowarzyszenia Dwa Promienie, w Czernihowie widziałem tymczasowe domy stawiane przez polską administrację dla tych Ukraińców, którym wojna zniszczyła dach nad głową. Ale Niemcy nie dali w ogóle tego, co Polska przekazała najszybciej. Setki czołgów T-72, zmodernizowanych przez wyśmiewanego za to ministra Mariusza Błaszczaka, przywieziono na Ukrainę jeszcze w tajemnicy, gdy na pierwszym etapie inwazji obrońcom brakowało wszystkiego. Nasz sprzęt był gotowy, by walczyć z Rosjanami, więc walczy, na szczęście trzymając wroga z dala od naszego terytorium.

Co to za uczucie siedzieć w ceglстым budynku ostrzeliwanego rakietami donbaskiego miasta Słowiańska i tam, 1,4 tys. km od domu, na wschodzie Europy, widzieć polskie czołgi jadące trzymać front przed

szalonym natarciem armii Putina! Jak by się chciało, by to uczucie satysfakcji z dobrze wypełnianych zadań sprzętu naszej armii, by to poczucie sprawczości państwa polskiego trafiło także pod dachy nad Wisłą, by Polacy także żyli w przekonaniu, że ich wojsko dołożyło tak wiele do zwycięstwa nad Rosją.

Polscy ochotnicy

Żywność, bezpieczeństwo i broń – czy można dać więcej? Z Polski tak. Polacy na potęgę jeżdżą na wschód, by tam, na miejscu, nieść bezpośrednio pomoc. Fizjoterapeuta i ratownik medyczny z Warszawy napycha auto apteczkami i zawozi do samego Donbasu. A jak zawozi tam, gdzie strzelają, i widzi rannych żołnierzy,

Polskie konserwy, ryże
i makarony jedzą żołnierze
w ziemiankach Bachmutu,
polską wodą utlenioną
przemywają rany w obwodzie
zaporoskim, polskimi swetrami
ogrzewają się uchodźcy
z Pokrowska

to z dostawcy staje się ochotnikiem do pomocy. Polacy są na każdym odcinku rosyjsko-ukraińskiego frontu – wielokrotnie widziałem, jak naszym rodakom rozszerzają się źrenice na wieść, że mogą gdzieś w okolicy przydać się jeszcze bardziej, wywieźć potrzebujących z ostrzeliwanej miejscowości, dostarczyć leki potrzebującym czy... nawet chwycić za broń. Kto zna historie XIX-wiecznych emisariuszy, ten więcej informacji nie potrzebuje, ten wie, jak to działa.

Jedzie się najpierw tylko do najbliższego miejsca z pomocą, a później, ni stąd, ni zowąd, budzi się człowiek (Polak!) w okopie i osłania patrol ukraińskich żołnierzy. Taki los podzielił polski ochotnik w Donbasie, „Batman”, którego historię czytelnicy tygodnika „Sieci” poznali w nu-

merze 22/2022. Ale naszych jest więcej we wszystkich rodzajach aktywności. Znowu polską tradycją jest przy tym balansowanie wolontariuszy między wojennym zaangażowaniem a... prawdomównością wobec żon! W takim Charkowie, jeszcze w marcu, gdy było tam naprawdę niebezpiecznie, polski kierowca odebrał od małżonki telefon i słodziutkim głosem zapewniał, że jest już we Lwowie, tylko go coś tam jeszcze na dłużej zatrzymało.

Polski prezydent

Gdyby w 2022 r. nie było prezydenta Andrzeja Dudy, należałoby go wymyślić. Na Ukrainie jest już symbolem, uosobieniem Rzeczypospolitej – tej, która jest solidarna, broni wolności i walczy z imperializmem. Można by wymienić wiele nazwisk oficerów, którzy z uznaniem opowiadali o głowie państwa polskiego, np. o majorze „Talanie” spod Bachmutu, który agitował mnie za Andrzejem Dudą, jakbym był co najmniej dziennikarzem „Wyborczej”. Ale pełne świadectwo dudamania pokazywali mieszkańcy Jagodnego. W tej wsi, która przeżyła traumę rosyjskiej okupacji i niewolenia 300 osób w jednej szkolnej piwnicy, mało kto chciał rozmawiać. Nie pomagały argumenty i prośby, bo ludzie trzymani wśród trupów pod karabinem nie chcą wcale przypominać sobie o swojej niewoli, ale podzielało na nich jedno... zdjęcie. Fotografia dziennikarza z prezyden-

tem Andrzejem Dudą stała się specjalnym świadectwem zaufania. Przecież – zdawał się myśleć mieszkańcy – ktoś, kto stoi obok „tego” Dudy, nie może być złym człowiekiem. Wizerunek polskiego przywódcy widnieje zresztą w wielu wariantach, a ulubiony przez Ukraińców to ten z ich prezydentem – Wołodymyrem Zełenskim.

Polska hojność, otwartość, polskie uzbrojenie, polscy ochotnicy, wreszcie państwo polskie zdały historyczny egzamin w sposób tak spektakularny, że gdyby wymyślił to jakiś literat czy poeta, uznano by go za nadmiernego optymistę czy fantastę. Tu jednak rzeczywistość pokazała, że Polacy są w stanie dokonywać cudów poświęcenia. Tę historię trzeba będzie zapamiętać i dobrze opowiedzieć światu.

Gen. Bogusław Samol
był dowódcą 10. Brygady
Kawalerii Pancernej,
16. Pomorskiej Dywizji
Zmechanizowanej, dowodził
też Wielonarodowym
Korpusem Północno-
-Wschodnim NATO

Ta wojna szybko się nie zakończy

Dowódcy ukraińscy są nieszablonowi i prezentują bardzo wysoki poziom wiedzy z ogólnie pojmowanej sztuki wojennej. Na bieżąco oceniają rezultaty wojny, bitew, walk i przygotowują się do podjęcia następnego kroku, biorąc pod uwagę doświadczenia z użycia swoich jednostek. W najbliższym czasie powinna jeszcze bardzo wzrosnąć skuteczność ich działań

*Z gen. broni **Bogusławem Samolem**, dyrektorem Instytutu Strategii
Wojskowej Akademii Sztuki Wojennej, rozmawia Andrzej Rafał Potocki*

Jak wygląda organizacja państwa ukraińskiego w ósmym miesiącu wojny i jak wpływa ona na system obrony Ukrainy?

Bogusław Samol: Cofnijmy się do 2014 r. Aneksja Krymu i części obszarów Doniecka plus obwodu ługańskiego. W tamtym czasie Ukraina nie była w ogóle przygotowana do prowadzenia wojny obronnej. Ośrodki władzy, służby mundurowe, w tym wojsko, policja, a także władze obwodowe zostały zaskoczone działaniami „zielonych ludzików”. A co się dzieje dziś na Ukrainie? Trwa ósmy miesiąc konfliktu zbrojnego na pełną skalę i Kijów walczy o przetrwanie. Co prawda Rosjanom udało się zdobyć ok. 20 proc. terytorium, ale już od ponad miesiąca Siły Zbrojne Ukrainy (SZU) prowadzą działania kontrofensywne, by odzyskać utracone tereny. Państwo dalej funkcjonuje mimo głębokich uderzeń rosyjskich systemami rakietowymi niszczącymi infrastrukturę nawet w części zachodniej Ukrainy.

Udało się zbudować wysokie morale w społeczeństwie. Prezydent i władza wykonawcza, wydając dekrety i akty prawne, uprządkowały system zarządzania strategicznego krajem. Władzą naczelną i naczelnym dowódcą został prezydent, który kieruje obroną całego państwa i jemu są podporządkowane wszystkie ministerstwa, służby, łącznie z siłami zbrojnymi. Mówimy tu o poziomie strategicznym. Wszyscy realizują intencje prezydenta, które są przekuwane w decyzje. Tutaj nie ma dyskusji. Owszem, odbywają się rozmowy, ale przed wydaniem decyzji. Gospodarka co prawda ma kłopoty, ale działa system bankowy, funkcjonują szkoły czy opieka medyczna.

A co z terenami, na których toczą się działania zbrojne?

Na tych obszarach dowództwo jest zawsze scentralizowane. Jeżeli wojsko odbija jakiś obszar, to za nim idą służby specjalne, policja, a nawet prokuratura, która bada popełnione tam zbrod-

Fot. Andrzej Wiktor

nie wojenne. Krótko mówiąc – wojskowemu dowództwu są podporządkowane wszystkie służby i organy władzy terenowej. Zbierają się razem, podejmują decyzję i w jej myśl działają. Tego nie było aż do 2015 r., czyli do wprowadzenia zmian. Taki system kierowania krajem i działaniami wojennymi sprawia, że dzięki temu państwo funkcjonuje sprawnie i skutecznie.

Jaki duży wpływ na działania wojenne ma organizacja państwa?

Ponad 2400 lat temu chiński strateg gen. Sun Tzu powiedział, że prowadzenie wojny jest sprawą państwa. Państwa, tzn. władz politycznych. Wojskowi są do dyspozycji władz państwowych podobnie jak pozostałe organy siłowe. Pokazały to I i II wojny światowe. Mamy dwa przykłady władz. Jedne totalitarne – reprezentowane przez Hitlera i III Rzeszę oraz Związek Sowiecki. Na drugim biegunie działały władze demokratyczne, jak w Wielkiej Brytanii czy USA. Zarówno wśród jednych, jak i drugich najpierw zapadały decyzje polityczne co do sposobu prowadzenia wojny, a dopiero potem wojskowi opracowywali strategię, dopasowując ją do decyzji politycznych. To jest zgodne z założeniem Clausewitza, który mówił, że wojna jest przedłużeniem polityki, tylko innymi środkami.

Patrząc strategicznie, mam na myśli operacje wojskowe przeprowadzane przez Ukraińców zarówno te w obwodach charkowskim i lugańskim (wschód frontu), jak i te w obwodzie chersońskim (południe frontu), jakoś nie widać, żeby ukraińska armia dążyła do rozstrzygającej bitwy. Być może dopiero nadejdzie?

Według sztuki wojennej plan kampanii buduje się z kilku operacji. Z jednej lub kilku bitew, które decydują o jej powodzeniu. Ukraińcy tak właśnie działają. Ale trzeba też pamiętać o tym, że treści strategii wojskowej są uzależnione od wielu czynników, m.in. od celów politycznych, możliwości państwa i zdolności operacyjnych sił zbrojnych. Zarówno ukraińskich, jak i strony przeciwnej. Tak czy inaczej, jeżeli Rosjanie ponoszą w tej chwili straty i doznają porażek, to mimo wszystko nie wolno ich lekceważyć.

Jakie założenia przyjęli Ukraińcy do swojej strategii wojskowej?

Przede wszystkim wysokie morale narodu ukraińskiego i esprit de corps wojska. To, co mówił Clausewitz: „Żeby pobić przeciwnika, trzeba zniszczyć jego morale, siły zbrojne i zniszczyć rząd”. Ukraińcy, wychodząc naprzeciw rozważaniom Clausewitza, zbudowali centrum polityczne, które podniosło morale do wysokiego poziomu. A ducha walki i przetrwania nie tworzy się przez kilka dni, ale przez lata. Zorganizowali adekwatnie do swoich możliwości siły zbrojne oraz przygotowali system

obrony państwa. Ukraina spełniła w tej chwili trzy warunki Clausewiczowskie co do strategii wojskowej. Pierwszym jej celem było nie dopuścić do utraty Kijowa. Początkowe kontrofensywy polegały na odrzuceniu Moskali od Kijowa i wyrzuceniu ich za granicę. Cel drugi – odzyskiwanie utraconych terenów. W pierwszej kolejności Sum i Charkowa. Następnie miesiąc temu rozpoczęli kontrofensywę na dwóch kierunkach, po to by – i tu cel polityczny – nie dopuścić do pseudoreferendów. W mojej opinii operacja ta jest powolnie prowadzona, krok po kroku, ale ze stosunkowo dużą skutecznością. Z kolei Rosjanie, zakładając, że działania zbrojne będą toczyć się przez okres zimowy, chcą uchwycić Bachmut. To bardzo ważny węzeł komunikacyjny łączący północ z południem Ukrainy i wschód z zachodem. Stąd atak na to miasto trwa od ponad miesiąca, ale szturmują się skutecznie odpierane. Bachmut jako ważny punkt logistyczny zabezpiecza siłom ukraińskim powodzenie na pozostałych dwóch kierunkach kontrofensywy – wschodnim i południowym. Ukraińcy mają szansę odbić obszary zagarnięte przez okupanta pod warunkiem, że zostaną wzmocnieni przez państwa zachodnie dostarczeniem dodatkowych systemów rażenia – artylerii, czołgów i lotnictwa oraz środków obrony przeciwlotniczej, a także zapasów paliw czy amunicji.

Ukraińcy mają szansę odbić zagarnięte przez okupanta obszary pod warunkiem, że zostaną wzmocnieni przez państwa zachodnie dostarczeniem dodatkowych systemów rażenia – artylerii, czołgów i lotnictwa oraz środków obrony przeciwlotniczej

Jak pan generał ocenia z wojskowego punktu widzenia te dwie ofensywy?

Historycznie jesteśmy przyzwyczajeni do blitzkriegów. Szczególnie tam, gdzie działają wojska pancerne i zmechanizowane. Widzimy, że ta ofensywa trwa. Są postępy. Kilkaset miejscowości zostało wyzwolonych. Ale trzeba też pamiętać, że Moskal, mimo lekceważenia go w mediach,

stawia zacięty opór. Ukraińcy przewyższają intelektem rosyjskich dowódców zarówno wojskowych, jak i politycznych. Tym bardziej należy im się szacunek, że przy takim oporze odnoszą sukcesy. Jestem zdania, że ta operacja powinna być kontynuowana. Zbliża się okres zimowy i SZU muszą zapewnić sobie warunki do następnych ofensyw, by dokonać pełnego wyzwolenia okupowanych terenów. Może zimą, a może na wiosnę. Dziś trzeba uchwycić węzły komunikacyjne, czyli miejscowości, które decydują o zaopatrzeniu zarówno strony ukraińskiej, jak i rosyjskiej. Im więcej Ukraina zablokuje węzłów komunikacyjnych, tym Moskale będą słabsi.

Ukraińcy idą naprzód kilkoma natarciami równolegle. Czy jest to powszechnie stosowane w strategii wojskowej?

Przykłady sowieckie z II wojny światowej pokazują, że przygotowania do operacji trwały raczej na jednym kierunku. Niekiedy zdarzały się kierunki pomocnicze. Można się było zastanawiać, czy najlepszym dla Ukraińców rozwiązaniem nie byłoby uderzenie tylko na południu. Mam na myśli przyczółek

chersoński na zachodniej, prawej stronie Dniepru, gdzie można było wprowadzić do walki znacznie większe ukraińskie siły i środki, zapewniając większe tempo natarcia. Później należałoby uderzyć na Półwysep Krymski, żeby odciąć dostawy do wojsk rosyjskich skoncentrowanych na Zaporozżu. Ale to tylko gdybanie. Jednak Kijów postanowił nacierać na dwóch kierunkach. Wyłączenie z ruchu przeprawy nad Cieśniną Kerczeńską niewątpliwie ułatwia im to podwójne zadanie. Nie można też wykluczyć, że poważne uszkodzenie mostu Krymskiego stanowiło element tego planu, czyli dwóch ofensyw naraz. Ale być może przeważającym argumentem były decyzje polityczne. Po pierwsze, odciąć od granicy dwa duże zgrupowania sił rosyjskich na Ługańszczyźnie i w obwodzie donieckim, a po drugie – zrealizować obietnicę prezydenta Zelenskigo, który zapowiedział wyzwalanie wszystkich zajętych terenów. Oby tylko wystarczyło im sił.

A jak z siłami zbrojnymi wyglądają Rosjanie? To nie jest tak do końca, że armia Putina jest w stanie rozkładu. Ukraińcy chwalać np. postawę specnazu czy bitność wojsk powietrzno-desantowych.

Po pierwsze, Rosjanie popełnili błąd strategiczny, że w ogóle rozpoczęli wojnę z Ukrainą. Po drugie, popełnili wiele pomyłek strategicznych, jeśli chodzi o przygotowania sił zbrojnych do agresji. Było to spowodowane lekceważeniem przeciwnika. W dodatku mieli słabe rozpoznanie i niskie morale swojej armii. W okresie zimnej wojny w Układzie Warszawskim nie dopuszczano do sytuacji, by jednostka wojskowa kierowana na ćwiczenia posiadała ukończenie w stanie osobowym, sprzęcie bojowym i zapasach poniżej 100 proc. Rosjanie przed agresją zgromadzili potężne siły wzdłuż granic ukraińskich na poligonach i okazało się w końcu, że mieli stany niekompletne. Ukraińcy potwierdzili to podczas spotkań z nami. Np. drużyny Moskali w bojowych wozach piechoty składały się tylko z dowódcy, kierowcy mechanika i działonowego. A nieraz nie było działonowego, tylko dwóch żołnierzy desantu zamiast 10. Podobnie było w artylerii czy w obronie przeciwlotniczej. Stworzyli grupy batalionowe kierowane przez dowódców armii z pominięciem szczebla brygady i dywizji. Stąd taka liczba zabitych wyższych oficerów na linii frontu. Trzygwiazdkowi generałowie musieli się angażować w działania taktyczne, tracąc świadomość tego, co dzieje się w tylnej strefie operacyjnej. Nikt w wojsku nie zdejmuje odpowiedzialności z dowódców na poszczególnych poziomach taktycznych, operacyjno-strategicznym w obszarze planowania organizacji zabezpieczenia logistycznego. Jednostki logistyczne nie były koordynowane z celami operacji przez wyższych dowódców. Brałem udział w wielu ćwiczeniach i grach wojennych. Jeżeli w jakiejś sytuacji zlekceważyłam przeciwnika, z reguły konsekwencje były niekorzystne dla mojej brygady. Ukraińcy zaś realizują bardzo skuteczną taktykę, ale o szczegółach nie mogę mówić.

W mojej opinii pojedyncze użycie broni jądrowej wobec Ukrainy nie wpłynęłoby na postawę Ukraińców

A ogólnie?

Jestem zadowolony, że dowódcy ukraińscy są nieszablonowi i prezentują bardzo wysoki poziom wiedzy teoretycznej z ogólnie pojmowanej sztuki wojennej. Po tych ośmiomiesięcznych doświadczeniach w tej chwili starają się usprawnić swój system dowodzenia i struktury organizacyjne wojsk. Na bieżąco oceniają rezultaty wojny, bitew, walk i przygotowują się do podjęcia następnego kroku, biorąc pod uwagę doświadczenia z użycia swoich jednostek. W najbliższym czasie powinna jeszcze bardzo wzrosnąć skuteczność ich działań.

Jaka część działań SZU jest oparta na strategii natowskiej?

Sztuka wojenna obowiązuje w tej samej mierze wszystkie państwa bez względu na system polityczny czy położenie na globie ziemskim. Zasady czy teoria sztuki wojennej były opracowywane przez wieki. Wspominałem już o chińskim gen. Sun Tzu. Rosjanie powinni być w niej tak samo biegli jak NATO. Ważne

zaś jest to, by porównać procedury dotyczące dowodzenia, wykorzystania posiadanych środków walki i ułożyć to w jakiś sposób w system. Rosjanie opierali się na starych doświadczeniach z okresu zimnej wojny. Zaniedbali sprawę łączności, struktur dowodzenia – spłaszczyli je z poziomu strategicznego w taktyczny i okazało się, że ponieśli klęskę. Grupy batalionowe dowodzone w ten sposób bez odpowiedniego wsparcia logistycznego, bez systemu

dowodzenia na poszczególnych szczeblach są zatrzymywane i niszczone. Sądzę, że będzie tak dalej.

Co może dać Moskalom ta słynna już mobilizacja?

To nie będzie punkt zwrotny w tej wojnie. W tej chwili nie da się odwrócić gwałtownie tego wszystkiego, co stało się po 24 lutego. Rosjanie nie są w stanie gwałtownie odtworzyć strat w uzbrojeniu, sprzęcie wojskowym i zapasach. Na to potrzeba czasu. W dodatku dotyczą ich ekonomiczne sankcje. Przyszłe tygodnie, a na pewno miesiące pokażą światowej opinii znaczenie rosyjskiej mobilizacji.

Czy takim punktem zwrotnym tej wojny byłoby użycie przez Rosję broni atomowej? Czy w ogóle ze strategicznego punktu widzenia zastosowanie broni masowej zagłady miałoby sens?

Użycie broni atomowej przyspieszyło kapitulację Japonii i zapewne zmniejszyło straty wojennej wśród amerykańskich żołnierzy. Do tych dwóch wydarzeń doszło w okresie innej świadomości światowej opinii publicznej. Od kilku miesięcy media rozpiskują się o możliwości użycia tej broni przez rosyjską stronę. Wtórą im byli wojskowi i inni komentatorzy, budując psychozę strachu wśród obywateli europejskich państw. Myślę, że to na rękę Moskwie, by nasze społeczeństwa zaczęły wymuszać na rządzących decyzje zaprzestania pomocy Ukrainie i zmuszenia jej władz do rozmów w sprawie zakończenia wojny na rosyjskich warunkach. Oczywiście nie należy

wykluczyć użycia tej broni przez stronę rosyjską. Myślę, że Rosjanie na pewno zdają sobie sprawę z konsekwencji w wypadku podjęcia takiej decyzji. Amerykanie zapowiedzieli zdecydowaną reakcję wobec rosyjskich wojsk i Floty Czarnomorskiej zaangażowanych w działania wojenne. Skutki użycia nawet taktycznych ładunków wobec ukraińskich jednostek mogą osiągnąć jednostki rosyjskich będących w pobliżu ukraińskich wojsk. Uderzenia w cele cywilne mogą przynieść także zagrożenia dla rosyjskiej ludności zamieszkującej tereny przygraniczne z Ukrainą. Przykład Czarnobyla pokazał, jak trudno jest przewidzieć kierunek przemieszczenia obłoku promieniotwórczego i w finale opadów promieniotwórczych. W mojej opinii pojedyncze użycie broni jądrowej wobec Ukrainy nie wpłynęłoby na postawę Ukraińców.

Jak spisuje się polskie uzbrojenie na tej wojnie?

Sama pomoc Zachodu dla Ukrainy w postaci dostaw nowoczesnego sprzętu pokazała, że SZU sprawnie przejmują i adaptują się do nowych wymagań wynikających z potrzeb użytkowania tego uzbrojenia. Trafnie ujął to amerykański gen. Ben Hodges, że Ukraińcy są jak MacGyver. Dla przykładu Polska dostarczyła kilkaset czołgów. Nie mogliśmy ich wysłać z radiostacjami. Jeśli chodzi o łączność, mamy systemy NATO-wskie. Istniała uzasadniona obawa, że mogą się one dostać w ręce Rosjan. Ponad 200 czołgów poszło więc na Ukrainę bez radiostacji. I w dwa dni (!) zostały wyposażone w radiostacje ukraińskie. Świadczy to o bardzo dużej zdolności organizacyjnej ukraińskiego państwa, a także organów logistycznych, czyli w tym przypadku przemysłu zbrojeniowego.

Jak w porównaniu z rosyjskimi sprawują się nasze czołgi wysłane na ukraiński front?

Nasze czołgi mają dużo technologii zachodniej. Ale jeszcze długo, czyli do zakończenia wojny, nie dowiemy się, jak te czołgi zostały dokładnie wykorzystane. Powiem tylko tyle, że skoro Ukraińcy za pomocą naszych czołgów prowadzą działania ofensywne, to na pewno sprawdzają się one w walce i w starciach z rosyjskimi tankami. Skoro te czołgi dalej funkcjonują, tzn. nie ma wśród nich tak dużych strat jak po stronie rosyjskiej, to krótko mówiąc, osłona balistyczna jest bardziej efektywna niż rosyjska. Podobnie zresztą jak system kierowania ogniem [do systemu kierowania ogniem należą przybory obserwacji, celowniki, noktowizory, system ładowania armaty, sposób wykrywania celu, namierzania i oddania pierwszego strzału – przyp. red.].

Ile czasu powinno zająć Rosjanom szkolenie tej masy zmobilizowanych żołnierzy?

Trzeba spojrzeć na dwa aspekty mobilizacji. Pierwsza grupa żołnierzy powinna teraz uzupełniać straty. Przypomnienie za-

Rosjanie opierali się na starych doświadczeniach z okresu zimnej wojny. Zaniedbali sprawę łączności, struktur dowodzenia – spłaszcyli je z poziomu strategicznego w taktyczny i okazało się, że ponieśli klęskę

sad walki zajmuje 4–6 tygodni szkolenia. A jeśli mówimy o zbudowaniu zapasowych batalionów, pułków czy brygad, to co najmniej sześć miesięcy. Tyle trwa zgrzywanie specjalistów w załogach, później zgrzywanie na poziomach plutonów, kompanii, batalionów. A jeżeli chcemy mówić już o kolejnych związkach, jak brygady czy dywizje niezbędne do przeprowadzania ofensyw, to jest wymagane 10–12 miesięcy szkolenia. Zgrania wymagają przede wszystkim dowódcy na poziomie taktycznym – drużyny, plutonu, kompanii. Do tego dochodzi zgranie sztabów. Żeby rzucić do natarcia

całe związki, muszą być od nowa sformowane brygady, dywizje lub armie. Rok co najmniej.

Jak długo potrwa ta wojna?

Na pewno w przyszłym roku się nie zakończy. Chyba że USA i Chiny wymuszą na Rosji zmianę polityki wobec Ukrainy. Rosja ma przemysł i zasoby. Praktycznie całą tablicę Mendelejewa.



Różaniec z modlitwą wypominkową za zmarłych

1 - 8 listopada 2022 r.
godz. 21.30

Radio 106.2
Warszawa
dobrze słuchać

49/0922/F

Nie tak znów mała wojenka nad Renem



Nigdy za dużo powtarzać, że im więcej kolizji między Berlinem i Paryżem, tym lepiej dla perspektyw polskiej polityki

Niby nie wydarzyło się nic takiego, co by jakościowo zmieniło działanie niemiecko-francuskiego motoru, który ponoć (jak się zwykle uważać) ma napędzać mechanizm polityki europejskiej. Tak na dobrą sprawę, odkąd po II wojnie światowej zaczęto tworzyć zręby Wspólnoty Europejskiej, to wiadomo było, że interesy Niemiec i Francji w Europie nie są tożsame, a nawet że od czasu do czasu muszą wpadać we wzajemne kolizje. Kluczowe w tej mierze było nieuniknione starcie starego niemieckiego uniwersalizmu z bonapartystycznym



JAN ROKITA

nacjonalizmem francuskim, rewitalizowanym przez de Gaulle'a aż do granic śmieszności. Ale z biegiem lat po obu stronach dopracowywano się coraz bardziej perfekcyjnego mechanizmu codziennej wymiany informacji, stałych

i zinstytucjonalizowanych konsultacji oraz zręcznego maskowania konfliktów i sprzeczności.

ODWOŁANA NARADA W FONTAINEBLEAU

To wszystko było osiągnięciem trwającej od przeszło pół wieku konsekwentnej polityki obu krajów, które od czasu zawartego w 1963 r. traktatu elizejskiego nigdy nie kryły faktu, iż celem osi, którą krok po kroku budują, jest zagwarantowanie sobie wspólnej dominacji w Europie. Angela Merkel

Fot. Berni Armingue/AP Photo/East News

i Emmanuel Macron stali się w jakimś sensie fachowcami od sprawiania wrażeń, że od wspólnoty Berlina z Paryżem zależy istnienie i los integracji europejskiej. Trzy lata temu, w historycznym Akwizgranie, symbolicznie nawiązując do politycznej tradycji Europy karolińskiej, geograficznie budowanej właśnie wokół osi Renu, podpisali kolejny traktat niemiecko-francuski. Jeszcze przed tym wydarzeniem utworzono coś na kształt dwupaństwowego rządu – Niemiecko-Francuską Radę Ministrów, która powinna odbywać zebrania raz do roku, tak by mieć stały przegląd całości współpracy i sprzeczności w polityce obu krajów.

Zapewne właśnie dlatego nagle odwołanie przez Paryż tegorocznego wspólnego posiedzenia dwóch rządów i odłożenie go dopiero na 2023 r. wywołało w Europie falę analiz i komentarzy na temat tego, czy aby – odkąd Scholz przejął schedę po Merkel – motor nie zaczął nieco charczeć, a nawet się zaciąć. Wspólna rada ministrów miała się odbyć tym razem we Francji, w pałacu Fontainebleau – renesansowej rezydencji monarszej wzniesionej w XVI w. staraniem króla Franciszka Walezjusza. Podobno ktoś w niemieckim Kanzleramcie przystał na fatalny termin posiedzenia, które wypadło akurat wówczas, gdy niemieccy ministrowie przebywają na jesiennych wakacjach (sic!).

W Berlinie o takie nieudolne zarządzanie kalendarzem jest podejrzewany sam Olaf Scholz. Nieoficjalnie mówi się także, że Macron sugerował, by mimo wszystko utrzymać październikowy termin, proponując konsultacje on-line, ale na to nie zgodziły się dwie „ministery” na wakacjach. Całkiem możliwe, że szefową niemieckiej dyplomacji – panią Baerbock, i szefową MSW – panią Faeser, nie przekonał pomysł, iż podtrzymywanie zmitologizowanego motoru z Paryżem mogłoby być rzeczą ważniejszą niż wycieczka z dziećmi, które akurat miały jesienne ferie szkolne. Ale mówiąc całkiem serio, gdyby Macronowi i Scholzowi naprawdę zależało na tym, by po Europie nie rozeszła się uporczywa pogłoska, że motor się zaczyna, to spotkanie w Fontainebleau odbyłoby się normalnie, tak jak zostało zaplanowane. Ale najwyraźniej aż tak nie zależało.

Są ku temu całkiem rozsądne powody. Że jednak o politykę tu chodzi, a nie tylko o wakacje z dziećmi, dał jasno do zrozumienia jeden ze współpracowników Macrona, mówiąc portalowi Politico, iż istotą sprawy był brak postępów w uzgodnieniu wspólnej deklaracji, która miała zostać wydana w Fontainebleau. Macron uznał zatem najwyraźniej, że zachowanie Scholza i niemieckich ministrów daje mu okazję do symbolicznego zmanifestowania niezadowolenia z obecnej niemieckiej polityki. Kiedy obaj panowie spotkali się w kulisach unijnego szczytu w Brukseli, francuski prezydent nie powstrzymał się od tego, by powiedzieć dziennikarzom, iż to „nie jest dobra rzecz, by Niemcy się izolowały od reszty Europy”. A francuscy komentatorzy polityczni zgodnym chórem uznali, że takie obsuwy i nietakty, do których teraz dochodzi ze strony Berlina, za rządów Merkel nigdy nie mogłyby się wydarzyć.

PROTOKÓŁ ROZBIEŻNOŚCI: ENERGETYKA

Chodzi przede wszystkim o sprawę 200 mld euro (o których pisałem już na tych łamach). Scholz był w Paryżu tuż przed ogłoszeniem swojego podwójnego boomu i ponoć słowem się nie zająknął w rozmowach z Macronem na temat planu gigantycznego wsparcia dla niemieckiego przemysłu energetycznego. A rząd francuski nie kryje przekonania, iż tej skali pomoc publiczna albo powinna być udzielana energetyce w całej Unii, i to na rachunek kolejnego wspólnego europejskiego długu, albo nie powinno jej być wcale.

A już zwłaszcza w Paryżu nie mogą przełknąć upokarzającego faktu, że choć obie stolicy na co dzień informują się o swoich planach i mają nawet wyznaczonych do tego celu specjalnych ministrów po obu stronach, to projekt o takiej wadze dla całej Europy gabinet Scholza przeprowadził z zaskoczenia i bez konsultacji. Inaczej niż Scholz, Merkel miała tę – szczególnie cenną w przypadku Niemiec – wrażliwość na sąsiadów (dotyczyło to również Polski, gdy szło np. o politykę na wschodzie), że starała się z nimi porozmawiać wcześniej, także – a może nawet zwłaszcza wtedy – gdy chciała przeprowadzić plany z gruntu nieodpowiada-

jące sąsiadom. Zresztą Scholz w samych Niemczech jest krytykowany właśnie za to, że często zachowuje się tak, jakby się bał otwarcie przyznać do swoich planów i unikał w związku z tym, także w polityce krajowej, rozmów czy konsultacji.

Konflikt o 200 mld euro – to nie jedyna sprawa różniąca dziś podejście Macrona i Scholza wobec dręczącego Europę kryzysu energetycznego. Drugą jest zasadniczo różniący ich koncept przyszłego optymalnego miksu energetycznego całej Unii. Berlin upiera się, by była to zielona energia, a dopóki to niemożliwe – niech będzie gaz, a nawet skrajnie nieekologiczny węgiel. Scholz ma na głowie swoich Zielonych, którzy w sprawie atomu są tak ideologicznie sztywni, że prędzej gotowi pójść na kompromisy z niemieckim lobby węglowym niż przyznać, że atom miałby być europejską przyszłością energetyczną.

W Paryżu tę doktrynalną sztywność rządu niemieckiego traktuje się jako niebezpieczne dziwactwo, utrudniające tzw. walkę o klimat, w którą Macron zaangażował się z dużą energią. Francuzi pytają Niemców, jak to możliwe, że będą teraz nie tylko przedłużać czas działania, ale nawet budować nowe elektrownie węglowe, a jednocześnie zamykać w kwietniu 2023 r. ostatnie sprawne, bezpieczne i proklimatyczne reaktory jądrowe. Trzeba przyznać, że racjonalna odpowiedź na to pytanie w ogóle nie istnieje. Można to pojąć tylko wtedy, gdy się weźmie pod uwagę starą, antyatomową obsesję niemieckiej lewicy, która napędzała protesty milionów Niemców, jeszcze w latach 80. ub.w.

Macron stara się też być rzecznikiem dużej większości krajów unijnych, domagając się ostrej administracyjnej ingerencji ze strony Brukseli, limitującej ceny zakupów gazu, zwłaszcza rosyjskiego. Argument, którym posługuje się Francja, jest wygodny, bo ma charakter antyputinowski: zmusimy Gazprom, by nie robił kokosów na produkcji i handlu gazem. W Europie powszechnie chciano, by limitować skaczące ceny gazu, więc stanowisko Francji znajduje szeroki poklask. Ale Berlin blokuje politykę administracyjnego limitowania cen. I trudno nie akceptować logiki, którą przedkłada.

Po pierwsze – mówi Scholz – jak się wprowadzi w Unii limity cen gazu, to

gaz (bynajmniej nie tylko rosyjski, ale i amerykański czy katarski) zniknie z rynków europejskich. A po drugie – dodaje – Niemcy nie lubią tak daleko idących ingerencji państwa w swobody rynkowe. To charakterystyczne, że socjalista Scholz (ale jednak przede wszystkim Niemiec) jest tutaj zwolennikiem rynku, a liberał Macron (ale przede wszystkim Francuz) jest etatystą z krwi i kości. Widać, że to nacje silniej niż ideologie partyjne kształtują również poglądy na gospodarkę.

Limity cen gazu mają też podkład politycznej nieufności Francuzów. Nie kryją oni, iż podejrzewają, że Niemcy są gotowi przepłacać Rosjan i kogokolwiek innego na świecie, tylko po to, by zapewnić sobie wystarczający dostęp do gazu. I tu oczywiście powraca nie tylko sprawa 200 mld mld euro, ale i stara francuska zawiść o niemieckie bogactwo. Stać ich na to, żeby przepłacać – mówią Francuzi, a reszta Europy ich nie interesuje. To wygodny argument, bo ustawia Macrona w roli obrońcy interesów słabszych Europejczyków. Widać to choćby po tym, że Polska, której spór o ceny rosyjskiego gazu mało dotyczy, bo Gazprom już dawno zablokował nam (w każdym razie bezpośrednie) dostawy, również zaangażowała się we wspieranie w tej mierze francuskiej polityki. Zresztą bez sensu. Bo po pierwsze, ceny gazu ostro idą w dół, gdyż Europa ma pełne magazyny, a jesień jest wyjątkowo ciepła na naszym kontynencie. A po drugie, kiepska kondycja całej europejskiej gospodarki w sposób naturalny zmniejsza popyt, a tym samym presję na ceny tego paliwa.

PROTOKÓŁ ROZBIEŻNOŚCI: EUROPEJSKA OBRONA

Energetyka – to tylko jedno pole francusko-niemieckich sporów. Drugim jest rzecz szczególnie dla Paryża prestiżowa, czyli europejska obrona. To, że w sierpniu, w głośniejszej mowie praskiej Scholz zaprosił m.in. Węgry, Czechy i Polskę do współtworzenia z Niemcami systemu wschodnio-północno-europejskiej obrony powietrznej, odkładając na bok wspólną obronę z Francją – zostało odebrane w Paryżu jako perfidny poli-

czek wymierzony we francuską dumę. A jeszcze na domiar złego wśród ostatecznych sygnatariuszy memorandum na ten temat znalazła się nawet głęboko zwaśniona z Unią Anglia. Jakaś niewielką osłodą w tej francuskiej przykrości stał się fakt, że Polska zdecydowała się zbytkotować niemiecką inicjatywę mimo imiennego i publicznego zaproszenia ze strony Scholza, wymierzając w ten sposób niemieckiemu kanclerzowi pstryczek w nos (nawiasem mówiąc, wadliwie definiując przy tej okazji polskie interesy).

Co więcej, Scholz już wcześniej sygnalizował przy okazji zwodowania planu stumiliardowych inwestycji w niemiecką armię, że samoloty bojowe Niemcy kupią za te pieniądze... w Ame-

Energetyka to tylko jedno pole francusko-niemieckich sporów. Drugim jest rzecz szczególnie dla Paryża prestiżowa, czyli europejska obrona

ryce. Podczas gdy uzgodniony dawno temu program budowy europejskiego myśliwca FCAS (Future Combat Air System) ugrzązł z powodu tarć i różnic interesów między francuskim koncernem Dassault i niemieckim oddziałem Airbusa. Należąca do Bertelsmanna niemiecka telewizja NTV twierdzi, że: „Francja z przerażeniem obserwuje, jak Niemcy kupują amerykańskie myśliwce, a na dodatek organizują pierścień obrony powietrznej wspólnie z Europą Wschodnią”. Owo przerażenie nie jest tu wcale słówkiem jakoś przesadnym. Odkąd w Ameryce Biden zamienił Trumpa, w Berlinie powrócił nie tylko stary sentyment do Amerykanów, ale zwłaszcza ugruntowane po II wojnie w Niemczech Zachodnich przekonanie, że realne bezpieczeństwo państwa niemieckiego daje się zbudować tylko na więzi z Ameryką.

W Paryżu czują coraz wyraźniej, że jeśli nie tylko Polska, ale jeszcze na dodatek Niemcy (czyli dwa kraje najsilniej zbrojące się teraz w Europie) będą jedynie udawać wolę zbrojenia Europy w oparciu o francuski przemysł obronny, to całej tradycyjnej francuskiej polityce, dążącej do uczynienia z Francji sworzni europejskiej obrony, grozi fiasko.

NIEMIECKO-FRANCUSKIE SPORY A POLSKIE INTERESY

Nigdy za dużo powtarzać, że im więcej tego typu kolizji między Berlinem i Paryżem, tym lepiej dla perspektyw polskiej polityki. Kiedyś, jeszcze w latach 90. ub.w. i na początku obecnego stulecia, tę oczywistość dobrze w Polsce rozumiano. A pisali o tym wprost analitycy mocno przekonani co do integracji europejskiej, a także co do pogłębiania więzi łączących Polskę z zachodnioeuropejskimi potęgami. Było bowiem jasne, że jeśli niemiecko-francuski motor pędzi naprzód niczym perfekcyjnie nakręcona maszyna, to całej unijnej Europie zostaje niewiele ponad to, by dołączyć do niego swoje narodowe wagoniki. I na odwrót, jeśli coś się w tym motorze zacina, to zarówno Paryż, jak i Berlin muszą ze zwiększoną uwagą i delikatnością zabiegać o europejskich sojuszników. W końcu przecież Polsce udało się szybko wejść do Unii w 2004 r. tylko dzięki temu, że Schröder postawił się w tej sprawie Chiracowi.

Jednak dziś z rozumieniem polskiego interesu wydaje się w naszym kraju trochę gorzej. Plemienny konflikt partyjny sprawia, że jedni marzą tylko o tym, by posłusznie znów doczepić polski wagonik do tego motoru i bezwolnie pędzić naprzód po torze przez niego wyznaczonym. A drugich w ogóle mało obchodzą sprzeczności niemiecko-francuskich interesów, bo w końcu cóż nas – polskich patriotów – mają obchodzić jakieś wojenki toczone po obu stronach Renu, skoro i tak postawiliśmy grubą czarną krechę na tak zwanych ironicznie europejskich sojusznikach. Niestety, od jakiegoś czasu ekstremizm pleni się tam, gdzie powinno się go za wszelką cenę unikać: w definiowaniu fundamentalnych interesów państwa polskiego za granicą. 



Morski wiatr napędzi rozwój Ustki

Grupa PGE wybrała port w Ustce na centrum dowodzenia dla swoich morskich inwestycji. W 2026 r. w Ustce powstanie baza operacyjno-serwisowa dla morskich farm wiatrowych oraz Centrum Kompetencji Morskiej Energetyki Wiatrowej. Przedsięwzięcie realizowane przez PGE pozwoli na rozwój całego regionu i zapewni miejsca pracy wysokiej klasy specjalistom

Elektrownie wiatrowe na Morzu Bałtyckim to przyszłość polskiej energetyki. Już niedługo staną się podstawą bezpieczeństwa energetycznego Polski. Do ich prawidłowego funkcjonowania konieczny jest stały monitoring i konserwacja. Do tego jest potrzebna dobrze zlokalizowana baza operacyjno-serwisowa. Dlatego właśnie PGE postawiła na Ustkę.

– Decyzja o utworzeniu w Ustce naszej przyszłej bazy operacyjno-serwisowej jest ważnym krokiem w realizacji projektów Grupy PGE związanych z morską energetyką wiatrową. Nasza inwestycja zmieni nie tylko oblicze portu. Jesteśmy przekonani, że będzie również impulsem do rozwoju całego regionu i powstawania nowych miejsc pracy – mówi Wojciech Dąbrowski, prezes zarządu PGE Polskiej Grupy Energetycznej.

Port w Ustce ma dobre warunki nawigacyjne i techniczne, a także odpowiednią głębokość zarówno podejścia, jak i kanału portowego. Dzięki temu jednostki serwisowe będą mogły bez przeszkód wypływać z portu na obszar morskich farm wiatrowych. Na korzyść Ustki przemawia również to, że jest miastem dobrze skomunikowanym, dysponującym bazą noclegową i otwartym na udział w budowie nowego segmentu polskiej gospodarki – morskiej energetyki wiatrowej.

Na terenie portu w Ustce powstanie także Centrum Kompetencji Morskiej Energetyki Wiatrowej. Przyszli specjaliści będą w nim nabywać uprawnienia i kompetencje do pracy przy utrzymaniu infrastruktury i rozwoju morskich elektrowni wiatrowych. W centrum będą również testowane i wdrażane nowe, innowacyjne technologie związane z morską energetyką wiatrową.



Zgodnie z harmonogramem pierwsze prace budowlane rozpoczną się w 2024 r., a centrum serwisowe rozpocznie działalność w 2026 r.

Grupa PGE planuje obecnie budowę trzech morskich farm wiatrowych na Morzu Bałtyckim. Pierwsze z nich to morskie elektrownie wiatrowe Baltica 2 i Baltica 3, które składają się na Morską Farmę Wiatrową „Baltica” o łącznej mocy 2,5 GW. Pierwszy prąd z tych farm popłynie do polskich gospodarstw domowych już w 2026 r. Równolegle PGE przygotowuje się do budowy trzeciego projektu – morskiej elektrowni Baltica 1 o mocy ok. 0,9 GW, która zacznie produkować energię po 2030 r. Strategicznym celem Grupy PGE jest podsiadanie co najmniej 6,5 GW mocy zainstalowanej w tej technologii do 2040 r.



Co raz mniej cierpliwości do ekoterrorystów



DARIUSZ MATUSZAK

Jeden z założycieli Greenpeace, Kanadyjczyk Patrick Moore twierdzi, że organizacja ta zdegenerowała się, jest siecią strachu i reprezentuje tylko interesy władców i właścicieli świata

50-letnia matka czworga dzieci Lisa Webber i dr Habiba Haljallie zatrzymały swoje samochody na poboczu trasy M20, by pomóc kobiecie, która wjechała swoim infinity w bariery. Na ratunek pospieszył też Mark Heap i wtedy uderzyło w nich bmw, którego kierowca chciał ominąć blokadę na Dartford Crossing – trasie, która pod Londynem łączy brzegi Tamizy. Haljallie zgi-

nęła na miejscu, a ranną Webber przez 40 minut próbowali utrzymać przy życiu pracownicy zieleni. Kiedy oni prowadzili resuscytację, przez chaos na drogach całej okolicy przedzierały się karetki. Na próżno. Kiedy Haljallie ginęła, a Webber umierała, Marcus Deckler i Morgan Trowland, członkowie ekoterrorystycznej organizacji Just Stop Oil, która chce zakazania paliw, zawieszeni w hamakach na podporach mostu Elżbiety II prowa-

dzili transmisję ze swojej biwakowej i protestacyjnej akcji. To właśnie oni spowodowali blokady na skrzyżowaniu tras łączących Essex i Kent z Londynem. W poniedziałkowy poranek tysiące samochodów pakowało się w zakorkowane drogi, aż doszło do tragedii. Mark Heap, który z przetrąconym kręgosłupem i połamanymi nogami wyładował w szpitalu, nie ma wątpliwości: „Ekobójowkarze mają krew na rękach”.

Jakkolwiek to zabrzmie, to cud, że do tej pory w zmagającej się z ekoterrorismem stolicy Wielkiej Brytanii nie doszło jeszcze do katastrofy. Było już wszystko: blokowanie metra, pociągów, autostrad, lotniska Heathrow, nad którym puszczano drony. Drogę zastraszania, paraliżowania miast, dezorganizowania życia milionom wyznaczyła założona w 2018 r. organizacja Extinction Rebellion. W 2020 r. chciano uznać ją za organizację przestępczą, ale sprawy w pandemii się rozlały. Pojawili się następcy, jak Just Stop Oil, i rozpoczął wyścig, kto będzie radykalniejszy, przeprowadzi głupszą, bardziej niebezpieczną akcję. Blokowanie ulic, przykuwanie się do wejść, niszczenie budynków, wylewanie farby do fontann – to chleb powszedni Londynu. Polscy bojownicy o ocalenie Ziemi zaimportują każdy najgłupszy pomysł z Zachodu, więc i w Warszawie, przyklejając się do jezdni, zaczęli blokować ulice i nie pozwalali tysiącom ludzi dotrzeć na czas do pracy czy domu.

SŁONECZNIKI W POMIDOROWEJ

Ekoterrorysty szukają kolejnych sposobów, by zaistnieć w mediach. Teraz ich lupem padają największe dzieła sztuki. Dwie dziunie z Just Stop Oil w londyńskiej National Gallery oblały zupą pomidorową „Słoneczniki” Vincenta van Gogha. W Muzeum Barberini w Poczdamie dwójka barbarzyńców z Letzte Generation (Ostatnia Generacja) wylała purée ziemniaczane na obraz Claude’a Moneta „Stogi siana”. Takich akcji w Niemczech i Anglii było w ostatnim czasie kilka. Groteskowo zakończyła się ta z udziałem Scientist Rebellion. Gdy jedni wandalę wylewali farbę na schody przed fabryką Volkswagena w Wolfsburgu, inni przykleili się do podłogi salonu Porsche. Tam znalazł się ktoś mądry, zamknął przybytek, na noc wyłączył światła i ogrzewanie i obłąkańcy pozostali sami bez jedzenia, ale za to z potrzebami fizjologicznymi. Po 42 godzinach odklejała ich policja.

Po tragedii na londyńskim Dartford Crossing być może przychodzi otrzeźwienie. W Londynie zatrzymano 28 aktywistów. Wciąż jednak w opowieściach o aktach wandalizmu, niemal terroru – bo

jak inaczej określić narażanie samolotów na katastrofę – dominuje ton zrozumienia, jeśli nie akceptacji. Może akcje są zbyt radykalne, może i paraliżują życie milionom, ale chodzi o ocalenie planety. Ponadto to dobrze, że młodzi się angażują, że im zależy, a tak właściwie to nic się nie stało, bo obrazy były za szybko, więc wystarczy ścierka i wiadro wody i znów będzie można zachwycać się van Goghem, Monetem, Picassem.

ŁUDZKOŚĆ ZA SZYBĄ

Ta niby szlachetna, a w rzeczywistości tylko naiwna wyrozumiałość, to droga donikąd, a właściwie do katastrofy. Rozważmy bowiem, jak ma wyglądać nasz

Metan to teraz ostatni krzyk mody w dziele niszczenia Ziemi. To może i dobrze, że w XIX w. Amerykanie wyróżnili 100 mln bizonów. Jakaż to była ulga dla planety!

świat. Jakimi twierdzami, miejscami specjalnego przeznaczenia staną się budynki publiczne, muzea, galerie, kościoły, sklepy, dworce, lotniska? Czy każdy obraz w Europie zasłoniemy szybą? Czy w każdej sali galerii i muzeum postawimy straż? Czy do kościołów pełnych dzieł, tych, które niezależnie od wiary budują naszą duchowość, poczucie piękna, harmonię duszy, będziemy wchodzić jak do aresztów czy na lotniska – przez bramki, czy rewidować nas będą strażnicy, a każda rzeźba, obraz, ołtarz, nagrobek, witraż, fresk będą odgrozione od nas barierami? Kościół Mariacki ochronimy, może nawet ten w Toporowie z ołtarzem namalowanym przez Jerzego Dude-Gracza, ale czy zdołamy ocalić każdy kościółek, cerkiew i muzeum z dziełami Beksirskiego w Sanoku? Kto i jak miałby chronić dzieła ludzkości przed jej opętanymi przedstawicielami? Liczymy na to, że nie znajdą się tacy, którzy nie poważą się na więcej? Grecy wykłeli

Herostratesa, który dla nędznej chwały podpalił jeden z siedmiu cudów świata – Artemizjon w Efezie. Owładnięty obcesjami szewc jest uznany za pierwszego terrorystę. Biedaczyna, nikt nie transmitował pożogi, którą wywołał.

Jeśli to sięga zbyt wysoko, to zejdźmy na ziemię: ilu strażników będzie w każdym sklepie na wypadek, gdyby miała wpaść banda jak Animal Rebellion, by wylewać mleko, bo krowy zostały zgwałcone, niszczyć żywność, której podobno nie ma dla ubogich?

Wśród barbarzyńców nie brakuje ludzi o szlachetnych intencjach. Może i padli ofiarą prania mózgów przez liderów klimatycznych sekt, graczy od wielkich pieniędzy i interesów. Marne pocieszenie. Na razie świat oświeconych mediów, tej niby postępowej polityki daje przyzwolenie, uczy pychy, bezrozumności. Oto jakieś 19-letnie dziewczę wyobraża sobie, że ratuje ludzkość, że dokonuje wielkich czynów. Te dziunie, które uznały, że właśnie im wolno zbrukać van Gogha pomidorową, nie są tylko ofiarami, ale sprawczyniami, ośmielonymi naszą beczynnością, akceptacją.

Skąd my niby wiemy, że chodzi o szlachetne intencje, a stawką jest ocalenie Ziemi? Tzw. naukowy konsensus klimatyczny był wielokrotnie obnażany jako lipa, podważany także przez wybitnych uczonych. To kwestia na oddzielną opowieść i niżej tylko o niej wspomnimy. Obywatele nie mają narzędzi, wiedzy, by ocenić, czy klimat się zmienia na zabójczy i czy to człowiek niesie planetarną zagładę. Musimy więc wierzyć. Możemy jednak przyłożyć miarę swojego rozumu do oceny racjonalności tych, którzy niby chcą świat ocalić przed nami samymi i rozstrzygnąć, czy ci, którzy są na tyle głupi, by się przykleić do jezdni albo puszczać na samoloty drony, są jednocześnie na tyle mądrzy, by wiedzieć, co grozi planecie i jak nieść ocalenie.

GLOBALNE OCIEPLENIE A MASOWE GWAŁTY

Przyjrzyjmy się jednemu z założycieli Extinction Rebellion, organizacji, która macki ma również w Polsce. Oto Walijczyk Julian Roger Hallam, który wierzy,

że to globalne ocieplenie sprawiło, że nie potrafił prowadzić swojej farmy, więc teraz uchroni całą ludzkość przed owym ociepleniem. On nie tylko to wytłumaczy, ale także to, że Holocaust to jedno z takich tam wielu „popierdoleństw” ludzkości (proszę wybaczyć, ale jak przetłumaczyć słowo „fuckery”, którego użył w wywiadzie dla niemieckiej gazety „Die Zeit”, gdy mówił o zagładzie Żydów?). Teraz też odbywa się Holocaust, bo „Północ (kraje rozwinięte) pompuje śmiertelny CO₂ zupełnie jak do komór gazowych”. I tak zdanie po zdaniu. Nie ma co analizować podłości, bezduszości, debilizmu tych stwierdzeń. Oto ten człek ma urządzać świat. Gdy „aż” na miesiąc wsadzono go do aresztu za puszczanie dronów nad Heathrow, napisał historijkę o tym, jak to globalne ocieplenie doprowadzi do masowych gwałtów. Opowiedział czytelnikowi, zwracając się do niego bezpośrednio, jak będą zbiorowo gwałcone kobiety z jego rodziny, a on – ów czytelnik – będzie musiał na to patrzeć. Sami państwo znajdą słowa na określenie stanu emocjonalnego i intelektualnego tego zbawcy Ziemi.

Te historie o obłąkańcach klimatycznych są tylko z pozoru wyjątkowe. Może się wydawać, że zaciemniają obraz szlachetnych działań, które podejmują aktywiści. Ale można sobie pooglądać filmiki ze zmaganiem londyńczyków, którzy sami ścigają ekoterrorystów z ulic, albo wspomnieć zdarzenie z Polski z Nadleśnictwa Lutowska, kiedy to ekobandyci chcieli zabić czy okaleczyć drwali, więc powbijali gwoździe w drzewa przeznaczone do wycinki. Nasi drwale mieli więcej szczęścia niż 23-letni George Alexander – jemu rozlatujące się części piły, która trafiła na stalowe kolce w drzewie, porozrywały twarz. Wtedy, w 1989 r., wielu drwali w amerykańskich lasach zostało okaleczonych. Tamte zdarzenia są warte przywołania, bo oto 33 lata później jedna z organizatorek zamachów – Tracy Stone-Manning, została powołana przez prezydenta Bidena na szefową BLM – Bureau of Land Management (Biura Zarządzania Gruntami) – agencji, która zarządza federalnymi terenami USA. Jej władztwu podlega 1,07 mln km² gruntów, czyli ponad trzy razy więcej, niż wynosi powierzchnia Polski. Przed laty udało jej się uniknąć więzienia, bo poszła na

współpracę i wyspała swojego współnika i kochanka. Jako okoliczność łagodzącą uznano też to, iż napisała list do władz, że jeśli dojdzie do wycinek, to życie może stracić wielu drwali. Prokuratura potraktowała szantaż jako ostrzeżenie i przyznała jej immunitet, by zeznawała przeciwko członkom bandy. Wtedy też wspierała terrorystę Unabombera – Teda Kaczynskiego, który przez lata w listach i paczkach wysyłał bomby do różnych osób. Trzy z nich zabił, a dziećmi ranił.

APOKALIPSA KROWICH BĄKÓW

Stone-Manning porzuciła drogę przemocy, ale dawne poglądy nie zardzewiały. Ba, nabrały nawet szlifu, postępowego blasku. Otóż szefowa BLM chciałaby depopulacji Ziemi i zaprowadzenia w Ameryce jak w Chinach kontroli urodzeń, tak by małżeństwo mogło mieć najwyżej dwoje dzieci. Stone-Manning chce też zakazu wypasu bydła na terenach federalnych, co może doprowadzić farmerów do ruiny. Bydło bowiem popierduje i czka metanem – gazem cieplarnianym, a to teraz ostatni krzyk mody w dziele niszczenia Ziemi. To może i dobrze, że w XIX w. Amerykanie wyrznęli 100 mln bizonów. Jakaż to była ulga dla planety! W Nowej Zelandii władze nałożyły specjalny podatek na odzwierzęce gazy. Taka tam ichnia opłata w rodzaju unijnych ETS – zezwoleń na emisję CO₂. Farmerzy z Nowej Zelandii protestują, ale kto by się przejmował problemami jakiegos ciemnego chłopstwa, skoro chodzi o ratowanie Ziemi. Ekofanatyzm, skrajne poglądy stają się dziś częścią głównego nurtu polityki.

ATLANTYK SIĘ OBAMIE DO SALONU WLEWA

A może opowieść o klimatycznej grozie to wielkie oszustwo? Może chodzi o interesy korporacji, a nawet państw, jak np. Rosji, które wspierają ekoterrorystów? Może chodzi o władztwo elit, które chcą kontrolować ludzkość i którym przeszkadza obecność holoty na alpejskich stokach, plażach Saint-Tropez, a nawet Jastarni, bo motłoch od 500+ na nich zaległ i jeszcze przywłókl z sobą wrzeszczącą dzieciarnię?

Wątpliwości, że to blaga, nie ma jeden z założycieli Greenpeace. Kanadyjczyk Patrick Moore twierdzi, że organizacja zdegenerowała się, jest siewcą strachu i reprezentuje tylko interesy władców i właścicieli świata. Podobnego zdania jest John Coleman, założyciel Weather Channel. Teraz jego dawna stacja jest częścią inwentarza Entertainment Studios – molocha od telewizji i rozrywki.

93-letni fizyk noblista Ivar Giaever mówi, że jest tak stary, że nic mu nie można zrobić, zniszczyć kariery naukowej, odebrać nagród i pieniędzy, więc może głosić, że globalne ocieplenie to brednie, a zmiany klimatu to normalny porządek rzeczy i człowiek nie ma na to wpływu. Mowa o skali planety, a nie pojedynczego placu, na którym drzewa wyróżniło i wszystko zabetonowano. Na jednym z wykładów wykazał, że spalanie zapalki w wielkiej auli ma większy wpływ na powietrze w niej niż trzy lata bezustannego jeżdżenia wszystkich spalinowych samochodów świata na ziemską atmosferę. Dan Peña, potentat w nieruchomościach, twierdzi, że te opowieści o topnieniu lodów, wielkim podniesieniu poziomu mórz to tylko oszustwo, bo inaczej żadne banki, żadni deweloperzy nie inwestowaliby bilionów w nadmorskie hotele, rezydencje. Wierzą mu z pewnością państwo Obama, którzy za 11 mln dol. kupili posiadłość z prywatną plażą na wyspie Martha's Vineyard i nijak się nie boją, że za parę lat Ocean Atlantycki wleje im się do salonu rezydencji i zagasi ogień w kominku.

Te coraz częściej podnoszone wątpliwości to temat na oddzielną opowieść, ale niezależnie od tego, czy wierzymy w globalne ocieplenie, to z pewnością wiemy, że obłąkańcze pomysły Timmermansa czy ekoterrorystów jak Just Stop Oil nie tylko nie zapobiegają apokalipsie, ale wręcz ją sprowadzą. Wyobraźmy sobie świat urządzony przez opętanców, którzy chcą zaraz zakazać używania paliw kopalnych i mniemają, że będą kontrolować temperaturę w skali całej planety. Żaden samolot nie wzlatuje, statki nie wypływają, traktory i kombajny nie wyjeżdżają na pola, więc nie ma żywności. Jak takie zjawisko nazwać: apokalipsą, katastrofą, zagładą ludzkości?



18–20 PAŹDZIERNIKA – ZAKOPANE

**I EUROPEJSKI
KONGRES SPORTU
I TURYSTYKI**

Fot. Materiały Prasowe

Partner
dodatku:**ORLEN**

eprasa.pl bc75d718b2

Sportowa stolica Polski

O czym debatorowano na EKSiT?

Dyskusje o sporcie jako narzędziu geopolityki. Debaty poświęcone wydarzeniom sportowym i zmieniającej się roli telewizji, która relacjonuje zmagania zawodników na wszystkich arenach świata. Połączenie kwestii dotyczących zdrowia Polaków z rozmowami o świadomym budowaniu, również za pomocą sportu, wizerunku Rzeczypospolitej na arenie międzynarodowej. Wreszcie liczne panele dyskusyjne o roli sponsorów, bez których nie ma dziś profesjonalnego sportu. O tym wszystkim debatorowano przez trzy dni na I Europejskim Kongresie Sportu i Turystyki w Zakopanem

Kongres honorowym patronatem objął prezydent Rzeczypospolitej Polskiej Andrzej Duda, który zauważył w swoim przemówieniu, że między 18 i 21 października br. Zakopane stało się stolicą polskiego sportu. Podczas spotkania setki ekspertów, dziennikarzy, sportowców, polityków i przedstawicieli biznesu przez trzy dni debatowało o wyzwaniach, które stoją przed wskazanymi przez nazwę kongresu sektorami gospodarki.

MAŁOPOLSKIE LAURY SPORTU

Uczestnicy EKSiT zgodnie podkreślali, że zorganizowane w Zakopanem wydarzenie jest także szansą na integrację przedstawicieli związków sportowych i sportowców, którzy na co dzień wywodzą się z różnych środowisk. Sport od wieków przyzwyczaił nas do tego, że na najlepszych czeka nie tylko nieśmiertelna chwała, ale także doczesne wyróżnienia i nagrody. Podobnie było w trakcie zakopiańskiego kongresu, na którym nagrodzono i uhonorowano działaczy na co dzień przyczyniających się swoją

pracą do sukcesów sportowców i do rozwoju infrastruktury sportowej.

Nagrody dla osób zasłużonych w sporcie, czyli Małopolskie Laury Sportu, przyznano m.in. Joannie Mazur, rekordzistce Europy w biegu na dystansie 1500 m, a także złotym, srebrnym i brązowym medalistom imprez rangi mistrzostw Europy i świata oraz ich trenerom. Nagrodzono także telewizję Polsat w kategorii ambasador sportu, Grupę Maspex w kategorii innowator sportu i PKN Orlen w kategorii mecenas sportu.

W czasie oficjalnej gali prezydent Andrzej Duda zwrócił się do nagrodzonych i dziękował uczestnikom kongresu. Mówił także o tym, że po arcytrudnych latach pandemii i kryzysie wywołanym przez rosyjską agresję na Ukrainę rola sponsorów jest szczególnie istotna. – Wszyscy na tej sali wiedzą, że wynik indywidualny sportowców to tylko jeden

z aspektów tego, co obserwujemy w telewizji, ten sukces oznacza pracę mnóstwa osób, trenerów i organizatorów zawodów. To długie procesy planowania, żmudna logistyka, praca terapeutów, psychologów po to, żeby można było na samym końcu na tym wielkim torcie postawić tę wisienkę w postaci sportowego sukcesu. To wszystko musi być wcześniej zaplanowane i zaprojektowane mądrze, także w oparciu o osiągnięcia nauki i technologii. A także o coś, o czym można mówić głośno, bo przecież wszyscy o tym doskonale wiedzą – te sukcesy nie byłyby możliwe bez finansów, bo te pozwalają, by zawodnik mógł w miarę komfortowych warunkach odnosić sukces. Z całego serca za to wsparcie i za te rozmowy dziękuję – mówił prezydent Duda.

ROSNĄCE NAKŁADY NA SPORT

O tym, iż nie ma dziś profesjonalnego sportu bez wsparcia finansowego, przypominał także Andrzej Gut-Mostowy, sekretarz stanu w Ministerstwie Sportu i Turystyki, który zauważył, że od 1989 r. nie było w historii Polski tak wielkiego wzrostu



nakładów na sport w ujęciu rok do roku. – Na 2022 r. przeznaczaliśmy w budżecie państwa kwotę 1,6 mld zł. Tymczasem plan budżetowy na 2023 r. przewiduje na ten sam cel wydatki rzędu 3,5 mld zł. Nie trzeba nikogo przekonywać do tego, że bez długofalowego planu i finansowania nie da się w sporcie dziś osiągnąć żadnych sukcesów – mówił Gut-Mostowy.

To ogromne zaangażowanie w sponsoring sportu widać nie tylko w budżecie państwa, o czym mówiła m.in. Agata Pniewska, dyrektor Biura Marketingu Sportowego, Sponsoringu i Eventów grupy PKN Orlen. – Realizujemy tylko takie inwestycje, które są długofalowe i przemyślane. Nie ma takich sytuacji, w których nie przedyskutowalibyśmy i nie zaplanowalibyśmy dokładnie jakiegoś procesu sponsorskiego. Mamy świadomość, że nie wystarczy powiedzieć „a”, dlatego zawsze mówimy także „b” i „c”. Z naszymi sportowcami jesteśmy zawsze na dobre i na złe. Nieustannie się rozwijamy jako firma, dokonujemy kolejnych przejęć, a to wszystko sprawia także, że nasze zaangażowanie w sponsoring sportu i wydarzeń sportowych jest coraz większy – mówiła przedstawicielka PKN Orlen.

Skalę wsparcia udzielanego sportowcom przez grupę PKN Orlen widać także po ostatnich przejęciach biznesowych. Obecnie sponsoringiem PKN Orlen jest objętych 90 zawodników, ponad 70 klubów, 10 związków sportowych i 2 komitety. Programy sportowe, które prowadzi koncern w ramach wspierania najmłodszych talentów, w 2021 r. objęły ponad 62 tys. najmłodszych adeptów sportu. To właśnie te nakłady sprawiły, że jurorzy Europejskiego Kongresu Sportu i Turystyki przyznali PKN Orlen nagrodę w kategorii sponsor sportu.





Co warto zaznaczyć, wszyscy przedstawiciele grupy podkreślali w czasie zakopiańskiego kongresu, że ich działanie ma charakter *stricte* biznesowy. – Z naszych badań wynika wprost, że klienci chętniej sięgają po takie produkty, których dostawcy są zaangażowani w sponsorowanie sportu – mówił Grzegorz Balkowiec, zastępca dyrektora w Biurze Marketingu Sportowego, Sponsoringu i Eventów PKN Orlen.

Przedstawiciele PKN Orlen wspominali także o roli sportu w budowaniu wizerunku Polski i rodzimej gospodarki. – Jesteśmy obecnie największym sponsorem sportu w Polsce. Komercjalizujemy sport i pokazujemy, że potrafimy rywalizować na tym polu z największymi. Świetnym przykładem takiego podejścia jest choćby współpraca z F1, gdzie są obecne tylko największe i najlepsze marki świata. Z jednej strony ta współpraca jest dla nas promocją firmy, ale także okazją do jak najlepszego reprezentowania naszego kraju. Z biznesowych raportów wynika wprost, że każda złotówka zainwestowana w sport generuje zyski w innych sektorach gospodarki. I właśnie dlatego w naszych planach kładziemy tak ogromny nacisk na rozwój sportu, bo to wspiera nasze działania biznesowe. Sukces biznesowy i sportowy przyciągają tych, którzy chcą być częścią tej historii, którą wspólnie opowiadamy – mówiła Agata Pniewska.

Przedstawicielka Orlenu opowiadała, że dziś sport nie potrzebuje mecenatu, ale właśnie sponsoringu. – Współpra-

cujemy z 10 związkami sportowymi, dziś one inaczej patrzą na komercjalizację sportu i mają świadomość, że sponsoring to zakup usługi promocyjnej i tym się on różni od mecenatu. Sponsor musi pamiętać o tym, że w sporcie sukces nie przychodzi od razu, wymaga długotrwałej współpracy, wymyślania projektów, stosowania nowoczesnych mediów, digitalizacji marketingu, a przede wszystkim mozolnej i konsekwentnej pracy bez oczekiwania natychmiastowego

Obecnie sponsoringiem PKN Orlen jest objętych 90 zawodników, ponad 70 klubów, 10 związków sportowych i 2 komitety. Programy sportowe, które prowadzi koncern w ramach wspierania najmłodszych talentów, w 2021 r. objęły ponad 62 tys. najmłodszych adeptów sportu

zwrotu. Staramy się to robić i pokazywać. Ale też chcemy to robić, bo lubimy pokazywać inne oblicze sportu i jego wpływ na gospodarkę – dodawała przedstawicielka PKN Orlen.

Barbara Mróz-Gorgoń, specjalistka ds. marketingu, profesor Uniwersytetu Ekonomicznego we Wrocławiu, dodawała, że dziś sport wymaga zawodowego i holistycznego podejścia zarówno od zawodników, jak i sportowców. – Jeśli mamy talenty, to nie



możemy czekać, że one same zmieniają wizerunek Polski, ta synergia musi być wypracowywana – mówiła Barbara Mróz-Gorgoń.

O tym, jak tego typu synergię budować, wspominała Agata Pniewska. – Dla nas niezwykle istotne jest to, żeby wspierać naszych sportowców także w momentach kryzysowych. Nie opuściliśmy ich w czasie pandemii, nie opuścimy ich teraz, w czasie kryzysu związanego z wojną. Z czasem pandemii sobie poradziliśmy, choć z pewnością dla zawodników granie przy pustych trybunach było demotywujące. Zyskała za to strona marketingowa, która przeszła ogromnie szybką rewolucję, dostosowując się do turbulencji, które są za nami. Dziś nasz biznes niezwykle prężnie się rozwija, kolejne przejęcia firm doprowadzają do tego, że konstruujemy duży, stabilny, rynkowy koncern, który nie zejdzie z drogi obranej wcześniej – mówiła przedstawicielka PKN Orlen.

Inną kwestię na jednym z paneli dyskusyjnych poruszył Grzegorz Bałkowiec, który wspominał o tym, jak istotna jest selekcja, której dokonuje PKN Orlen, wybierając tych, z którymi firma decyduje się współpracować. – Sport budzi ogromne emocje, zarówno te pozytywne, bo przecież łączy się z sukcesami, jak i negatywne, bo jest związany z traumami, np. kontuzjami i przerwami w treningach. Wszyscy współpracujący z nami sportowcy są przykładem tego, że bardzo dokładnie i świadomie wybieramy tych, których wspieramy. Nawet w czasie trudnym dla siebie, po kontuzjach, czy w czasie pandemii nasi sportowcy pokazywali publicznie właśnie te wartości, które chcemy promować. Nie tylko aktywizowali innych i zachęcali do działania, ale pokazywali, że po każdej traumie trzeba wstawać mocniejszym, dojrzalszym i każde niepowodzenie trzeba przekuć w przyszły

sukces. Dla nich to element budowania marki osobistej, a dla nas dowód na to, że wspieramy tylko najlepszych. Dlatego też jestem przekonany, że każdy z nich poradzi sobie nawet wówczas, kiedy ich kariera się już zakończy – mówił przedstawiciel Orlenu.

WALKA Z HEJTEM, ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ I SAMYM SOBĄ

Drugą stronę tego samego medalu opisywali sportowcy, którzy nie ukrywali, że budowanie własnej marki jest elementem, o którym dziś myśleć muszą świadomi sportsmeni. – Media społecznościowe stanowią oczywiście znakomitą platformę do kontaktu z kibicami, ale także potencjalnymi sponsorami. Z jednej strony pokazujemy w nich siebie, prezentujemy swoje prywatne życie, jednak narażamy się też na hejt. To wymaga nie tylko współpracy ze sponsorem, ale także wiedzy i nauki tego, jak należy reagować na takie zachowania naszych fanów – opisywała Maria Andrejczyk, wicemistrzyni olimpijska w rzucie oszczepem.

W podobnym duchu wypowiadała się Sofia Ennaoui, biegaczka i medalistka mistrzostw Europy, która dodawała, że to, jak wygląda wizerunek sportowca w mediach społecznościowych, musi być spójne z tym, jak wygląda jego zachowanie na arenach sportowych.

Po trzech dniach rozmów, w których udział brali sportowcy, działacze, trenerzy, dziennikarze i przedstawiciele biznesu, a przede wszystkim krajowi i europejscy decydenci, pewne jest to, że w podobnym gronie większość prelegentów i uczestników EKSiT spotka się za rok w Zakopanem.



Prezydenci wracają do Polski



MACIEJ WALASZCZYK

12 listopada odbędzie się uroczysty, państwowy pogrzeb trzech prezydentów RP na uchodźstwie: Władysława Raczkiewicza, Augusta Zaleskiego i Stanisława Ostrowskiego. Ich pochówek w nowo utworzonym Mauzoleum Prezydentów RP na Uchodźstwie w Warszawie będzie symboliczną klamrą spinającą nieprzerwane trwanie legalnych instytucji państwowych między II Rzeczpospolitą a wolną i niepodległą Polską

Sprowadzenie prochów Władysława Raczkiewicza, Augusta Zaleskiego i Stanisława Ostrowskiego będzie zwieńczeniem trwających od 2018 r. obchodów 100-lecia odzyskania przez Polskę niepodległości.

Uroczystości rozpoczną się już 6 listopada. Najpierw na Cmentarzu Lotników Polskich w Newark-on-Trent zostaną złożone kwiaty przez polską delegację, którą reprezentować będą m.in. Jan Dziedziczak, sekretarz stanu w kancelarii premiera oraz pełnomocnik rządu ds. Polonii i Polaków za granicą, przedstawiciele prezydium Sejmu i Senatu, MON i MSZ oraz asysta wojskowa. Wszyscy trzej prezydenci spoczęli przed laty na tej właśnie nekropolii. W ich intencji zostanie również odprawiona msza św. w kościele św. Marii Magdaleny. Z kolei w ratuszu miasta Newark odbędą się uroczystości z udziałem polskiej delegacji rządowej. Szczątki prezydentów przylecą do Warszawy w dzień uroczystości o godz. 13.00 na pokładzie samolotu wojskowego w asyście honorowej Wojska Polskiego. A stamtąd zostaną przewiezione do Wilanowa, gdzie dwie godziny później rozpocznie się uroczystość ich pożegnania.

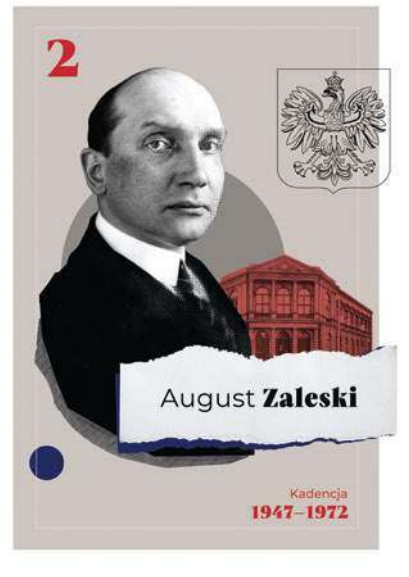
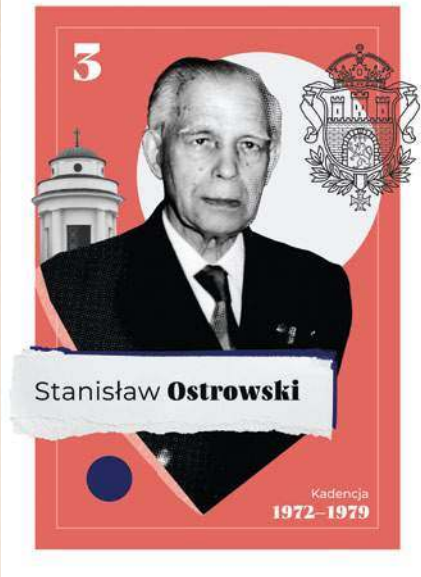
Szczątki prezydentów zostaną złożone w nowo powstałym Mauzoleum Prezydentów RP na Uchodźstwie w podziemiach Świątyni Opatrzności Bożej. W uroczystości wezmą udział

władze państwowe i kościelne, rodziny, przedstawiciele Polonii z Wielkiej Brytanii i całego świata. Pojawi się także Tadeusz Musioł, sekretarz stanu w drugim rządzie Kazimierza Sabbata. Prawdopodobnie jeden z ostatnich żyjących urzędników emigracyjnych gabinetów.

MAUZOLEUM W ŚWIĄTYNI OPATRZNOŚCI

Sarkofagów w mauzoleum jest sześć. Po listopadowych uroczystościach będą w nich spoczywać szczątki czterech z sześciu prezydentów emigracyjnych. Ostatni prezydent na uchodźstwie Ryszard Kaczorowski, który w 2010 r. zginął w katastrofie smoleńskiej, wraz ze zmarłą w tym roku małżonką Karoliną Kaczorowską, spoczywają już w Panteonie Wielkich Polaków w krypcie Świątyni Opatrzności Bożej. Ich trumny zostaną przeniesione do sarkofagu zbudowanego w mauzoleum. Z kolei prezydent Edward Raczyński został pochowany na terenie swojego majątku w Rogalinie w Wielkopolsce, a prezydent Kazimierz Sabbat na cmentarzu Gunnersbury w Londynie, nieopodal pomnika Katyńskiego. Izgodnie z wolą ich rodzin tam pozostaną. Puste sarkofagi w Świątyni Opatrzności Bożej będą odgrywały rolę symboliczną.

– W Londynie żyją córki prezydenta Kazimierza Sabbata i wyraziły one wolę pozostawienia jego grobu na miejscu,



który chcą odwiedzać. I tę wolę oczywiście szanujemy – tłumaczy minister Dziedziczak. Być może w pewnym momencie rodziny zmienia zdanie i pozostali dwaj prezydenci również spoczną w miejscu, które z pewnością stanie się jednym z ważnych punktów odniesienia w polskiej pamięci historycznej.

POWROTY PROCHÓW WIELKICH POLAKÓW

Oczywiście są różne opinie na temat przenosin szczątków znaczących postaci naszych dziejów i kultury narodowej do Polski. Z jednej strony są podnoszone argumenty, że ich groby, znajdujące się poza granicami ojczyzny, są szczególnym świadectwem burzliwej historii naszego narodu dla kolejnych pokoleń emigrantów. I powinny przypominać o jego dziejach również tam, gdzie rzucał ich los. Być miejscem podtrzymania tożsamości i pamięci historycznej.

– Na cmentarzu w Newark pozostaną groby symboliczne, a w Londynie liczne pamiątki po władzach na uchodźstwie. Dzisiaj jednak Polska jest niepodległym państwem, zmaterializowało się zatem to, o czym marzyli oni i ich pokolenie. Dlatego dzisiaj zależy nam na tym, by jednoznacznie podkreślić, że są to prezydenci Rzeczypospolitej, reprezentanci jej legalnych władz i ich miejsce spoczynku jest w Warszawie, stolicy kraju – tłumaczy Jan Dziedziczak.

W końcu w ciągu ostatnich ponad 100 lat do kraju wracały prochy wielu znanych Polaków. W lipcu 1890 r. z Paryża sprowadzono prochy Adama Mickiewicza, które spoczęły na Wawelu, mieście, którego wieszcz nigdy nie od-

wiedził. W 1927 r. z paryskiego cmentarza Montmartre sprowadzono szczątki Juliusza Słowackiego, o co zabiegano od bardzo wielu lat. On także spoczął w wawelskich kryptach, choć był pomysły, by sarkofag z jego szczątkami stanął w Tatrach, na wysepce Czarnego Stawu Gąsienicowego. W 1929 r. ekipa archeologiczna dokonała ekshumacji prochów gen. Józefa Bema aż w syryjskim Aleppo. Stamtąd zostały przewiezione najpierw do Budapesztu, gdzie jest czczony jako bohater narodowy, a potem do Krakowa, by w czasie wielkiej uroczystości państwowej złożyć je w mauzoleum w parku Strzeleckim w Tarnowie. Po przełomie ustrojowym, w czerwcu 1992 r., do Polski sprowadzono trumnę z prochami Ignacego Jana Paderewskiego, która spoczęła w krypcie archikatedry św. Jana w Warszawie. Przed rokiem do kraju wróciły szczątki Maurycego Mochnackiego.

Inicjatorem przeniesienia prochów prezydentów RP na uchodźstwie był premier Mateusz Morawiecki, historyk z wykształcenia. Projekt jest realizowany przez Fundację Pomoc Polakom na Wschodzie, Instytut Pamięci Narodowej, Centrum Opatrzności Bożej, MON, MSZ oraz Biuro Programu „Niepodległa”.

– Ta decyzja ma wymiar tożsamościowy i edukacyjny. Polityka symboliczna jest dla każdego państwa bardzo ważna, a jej głównym reprezentantem jest głowa państwa, która symbolizuje ciągłość instytucjonalną – tłumaczy minister Dziedziczak. Przypomina, że właśnie polscy prezydenci na uchodźstwie reprezentowali legalne władze państwowe, które miały swoje umo-

cowanie w konstytucji kwietniowej z 1935 r. uchwalonej przez parlament posiadający legitymację społeczną.

– Władze, które rządziły Polską po 1944 r., tej legitymacji nie miały. I przez cały czas istnienia PRL nie poddał się żadnej weryfikacji demokratycznej – przypomina. Zarówno referendum z 1946 r., tzw. trzy razy „tak!”, jak i zorganizowane rok później sfałszowane wybory jednoznacznie pokazywały brak jakiegokolwiek legitymacji demokratycznej. A częściowo wolne wybory z 1989 r. okazały się totalną klęską komunistów, a sukcesem Solidarności.

PONURY CIEŃ UGODY

Warto wrócić do tego czasu. Tego samego dnia, a więc 19 lipca 1989 r., kiedy sejm kontraktowy wybrał Wojciecha Jaruzelskiego na ostatniego prezydenta PRL, w Londynie zmarł prezydent Kazimierz Sabbat. Pełnił ten urząd od 8 kwietnia 1986 r., kiedy jako premier rządu polskiego przejął go po zakończeniu siedmioletniej kadencji Edwarda Raczyńskiego. – Na wieść o tym, co wydarzyło się w Warszawie, Kazimierz Sabbat doznał zawału serca. Jak opowiadał mi prezydent Kaczorowski, który ten wieczór wraz z małżonką spędzał w operze londyńskiej, oto w przerwie spektaklu przybyli emisariusze, którzy poinformowali go o śmierci Sabbata i konieczności odebrania od niego przysięgi, co z punktu widzenia konstytucji kwietniowej było bardzo ważne – przypomina Jan Józef Kasprzyk, szef Urzędu ds. Kombatantów i Osób Represjonowanych. Emisariusze przybyli od razu do Kaczorowskiego, gdyż już kilka

miesiące wcześniej prezydent Sabbat wyznaczył go na swojego następcę.

W lutym 1990 r. nowy, tzw. niekomunistyczny premier Tadeusz Mazowiecki przyjechał do Londynu. I tutaj doszło do koszmarnej sytuacji. Z ujawnionego kilka lat temu przez historyka Sławomira Cenckiewicza dokumentu wynika, że Ryszard Kaczorowski wraz ze swoim rządem zaproponowali spotkanie z delegacją z Warszawy w Polskim Ośrodku Społeczno-Kulturalnym, z zachowaniem ceremoniału wejścia prezydenta RP, co jednak premier Mazowiecki uznał „za poniżające wobec prezydenta Jaruzelskiego, swojego rządu i państwa”. Dopiero 22 grudnia 1990 r. Kaczorowski, po wyborze Lecha Wałęsy na prezydenta, przyjechał do Polski i przekazał na jego ręce pieczęć strzeżoną przez lata insygnia prezydenckie: chorągiew RP, pieczęć Kancelarii Prezydenta, oryginał konstytucji z 1935 r., a także Order Orla Białego i Polonia Restituta. Co ważne, władze emigracyjne podpisały wówczas dokument „zachowania działalności Rady Narodowej na uchodźstwie do czasu demokratycznych wyborów parlamentarnych w Polsce”. A te odbyły się dopiero 10 miesięcy później.

SYMBOL TRWANIA W OCEANIE BEZNADZIEI

– Rząd emigracyjny na uchodźstwie był jasnym punktem odniesienia dla Polaków, którzy po II wojnie światowej znaleźli się na terenie wolnego świata. Było to wiele milionów naszych rodaków, którzy nie powrócili do rządzonej przez komunistów Polski. Były to ich legalne władze, które od 1939 r., najpierw we Francji, a potem wielkiej Brytanii znalazły swoją siedzibę. Dla nich żaden akt nie zniósł ustawy zasadniczej z kwietnia 1935 r. – przypomina Jan Józef Kasprzyk.

Ważnym wymiarem pochówków, które odbędą się 12 listopada, jest również wymiar edukacyjny. Dzisiaj załedwie co 10. Polak potrafi poprawnie wskazać, ilu było prezydentów RP na uchodźstwie. Świadomość o istnieniu emigracyjnych władz państwa pol-

skiego zaciera się w świadomości ludzi. Badania pokazują, że im młodszy respondent, tym mniejsza jest wiedza na ten temat. Najbardziej rozpoznawalnym jest Ryszard Kaczorowski, na którego pada nieco ponad 60 proc. poprawnych wskazań. Z kolei tylko 23 proc. respondentów prawidłowo wskazało pierwszego prezydenta RP na uchodźstwie – Władysława Raczkiewicza. Co ciekawe, ponad 70 proc. ankietowanych nie potrafiło powiedzieć, kto był pierwszym prezydentem RP na uchodźstwie. Urząd sprawowali kolejno: Władysław Raczkiewicz, August Zaleski, Stanisław Ostrowski, Edward Raczyński, Kazimierz Sabbat i Ryszard Kaczorowski.

Sarkofagów w mauzoleum jest sześć. Po listopadowych uroczystościach będą w nich spoczywać szczątki czterech z sześciu prezydentów emigracyjnych

– Polski Londyn jako ośrodek emigracyjny był jednym z największych skupisk diaspory polskiej na świecie obok Chicago, Nowego Jorku czy Paryża – wyjaśnia Karol Polejowski, zastępca prezesa Instytutu Pamięci Narodowej. W Londynie działały emigracyjne wydawnictwa, księgarnie i biblioteki. Wychodziła polskojęzyczna prasa, np. „Wiadomości” redagowane przez Mieczysława Grydzewskiego. Dlatego w Świątyni Opatrzności Bożej obok mauzoleum powstanie również izba pamięci, która poza symbolicznym uhonorowaniem bohaterów, którzy po wojnie gwarantowali ciągłość polskiego państwa, ma pokazać ich historię. – Tę izbę w specjalnie wyznaczonym miejscu przygotowuje IPN. Zależy nam na tym, by była to nowoczesna informacja, opowieść o tym, jakie znaczenie miały dla wolnej Polski władze emigracyjne – tłumaczy Jan Dziedziczak.

Historia emigracyjnych władz jest również pełna wielu dramatycznych chwil, które odzwierciedlały tragiczną sytuację, w której znalazła się Polska po katastrofie wrześniowej w 1939 r. Konstytucja z 1935 r. gwarantowała ciągłość władzy nawet w warunkach wojny. W przypadku niemożności sprawowania urzędu prezydent RP mógł wyznaczyć swojego następcę. Tak też się stało 25 września 1939 r., kiedy internowany wraz z rządem prezydent Ignacy Mościcki powierzył swoje obowiązki Bolesławowi Wieniawie-Długosowskiemu, bliskiemu współpracownikowi Józefa Piłsudskiego i dotychczasowemu ambasadorowi RP w Rzymie.

Jednak francuski rząd Édouarda Daladiera nie zaakceptował tej decyzji, a działająca na potrzeby polskich władz paryska drukarnia została otoczona przez francuską policję, która skonfiskowała nakład „Monitora Polskiego” zawierającego dekret z tą decyzją. I tak w wyniku francuskich nacisków prezydentem został Władysław Raczkiewicz.

Najgorsze nadeszło w 1945 r., wkrótce po ukonstytuowaniu się komunistycznego Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej (TRJN), gdy najpierw Francja, a zaraz po niej Wielka Brytania i Stany Zjednoczone cofnęły uznanie władzom emigracyjnym. Jednak dla Polaków mieszkających w kraju, gdzie słuchano np. Radia Wolna Europa, w którym wiadomość, że w Londynie rezyduje prawdziwy, legalny prezydent RP, być może reprezentujący władzę, która kiedyś powróci po odzyskaniu niepodległości, miała ważne znaczenie symboliczne.

– Prezydenci byli symbolem trwania. Szczególnie dla środowisk związanych z Ruchem Obrony Praw Człowieka i Obywatela i KPN, która we wszystkich swoich dokumentach podkreślała, że legalne polskie władze trwają w Londynie. W latach 80. XX w. śpiewano w podziemiu piosenkę „A kiedyś powróci prezydent z Londynu, a Polska stanie wolna od tych skur...synów”, czyli tych namiestników Kremla, którzy rządzą wtedy Polską – przypomina Jan Józef Kasprzyk.

K

ULTIMITY

*Marcin Dorociński
zagrał w „Mission
Impossible”!*

*Ta wiadomość
zelektryzowała
media. W jej
cieniu znalazły się
informacje o długo
wyczekiwanej
premierze
serialu „Erynie”.*

*A także o nagrodzie
dla filmu
„Niebezpieczni
dżentelmeni”*

Misja w końcu możliwa

Fot. Fred Duval/Shutterstock.com, AKPA



JOLANTA GAJDA-ZADWORNA

Gdyby 26 lat temu ktoś mi powiedział, że będę grał w ostatnich dwóch częściach sagi o Ethanie Huncie, u reżysera, który napisał scenariusz filmu »Podejrzani« i »Top Gun: Maverick«, to powiedziała-bym: »Nie, to niemożliwe«, popukałbym się po głowie i czym prędzej się oddalił» – napisał aktor na swoim koncie na FB.

Chwilę wcześniej zdradził, że jest w Londynie. Poinformował też o tym, czego od kilku miesięcy domyślali się fani i czego bardzo aktorowi życzyli: „...dzięki uprzejmości producentów filmu »Mission Impossible« [...] – po miesiącach spekulacji, mogę z radością i niemalym wzruszeniem potwierdzić swój udział w tej legendarnej serii”.

SPRÓBOWAĆ ZA GRANICĄ

W 1996 r., kiedy pojawiła się pierwsza część przebojowego cyklu „MI”, był studentem warszawskiej Akademii Teatralnej. Toma Cruise’a, jak wspomina, widział w filmie „Top Gun” i na plakatach u koleżanek. Plan filmowy był dla niego odległą perspektywą. A spotkanie z hollywoodzką ikoną nawet nie przychodziło mu do głowy.

A jednak... Misja niemożliwa stała się realną, choć – co Dorociński mocno podkreśla – sporo go kosztowała. „Sukcesy nie przychodzą same, mają to do siebie, że długa droga do nich najczęściej jest okupiona wyrzeczeniami, porażkami, upadkami, rozczarowaniami” – napisał na FB. Wspomina tam m.in., jak przed laty, zapytany o plany zawodowe, cicho i nieśmiało powiedział: „Chciałbym spróbować za granicą”.

„Pamiętam kąśliwe uwagi i lekcwowzące spojrzenia, ale pamiętam również dobrze, że byli wokół mnie ludzie, którzy uwierzyli w moje marzenie chyba bardziej niż ja sam. Bo ja Marcin z Kłudzienka zawsze miałem z tym problem” – dodaje we wpisie.

Zdradza tam również, że od pierwszego castingu, na który zaproszenie otrzymał od londyńskiej agencji – a miał to być udział w „MI: Ghost Protocol” (czwartej części „MI” z 2011 r.) – wysłał ponad 1200 self tape’ów (czyli filmowych aktorskich wizytówek). Wszystkie castingi przegrał. Dopiero w ub.r. coś zaskoczyło. „Po ponad 10 latach żmudnych nagrań, wielkich nadziei i starań. Po 1200 wcześniejszych bolesnych i dotkliwych porażkach – jak pisze aktor – trafił w końcu na plany: serialu Netfiksa »Wikingowie: Walhalla« oraz »MI: Dead Reckoning«”.

ODWAGI I SZEROKOŚCI

Co ciekawe, Dorociński nie przywołuje tu swoich doświadczeń z innych zagranicznych produkcji, zwłaszcza z głośnego serialowego hitu „Gambit królowej”, a także duńskiej „Kobiety, która pragnęła mężczyzny” czy brytyjskich filmów wojennych „Operacja Anthropoid” i „303. Bitwa o Anglię”.

Pierwszym zewnętrznym planem, w którym wziął udział, był południowoafrykański serial „Cape Town” z 2016 r. Mówił wtedy: „Kariera za granicą jest możliwa, ale trzeba wykonać tytaniczną pracę, żeby tam zaistnieć”. Najwyraźniej tę tytaniczną pracę wykonał.

Dziś pisze na FB: „Wiercie w swoje marzenia i nie poddawajcie się. Wasz wielki sen, wyczekane marzenia mogą czekać za rogiem. Cierpliwości i odwagi. Szerokości!”.

KONIEC MILCZENIA

„Mission: Impossible – Dead Reckoning Part 1” będzie miał premierę w lipcu 2023 r. Druga część pojawi się w kinach rok później, w czerwcu 2024 r. Tymczasem na platformę TVP VOD trafił już, planowany od dekady, serial „Erynie” (to pierwsza premiera w modelu „digital first” nadawcy).

12-odcinkową ekranizację czterech powieści Marka Krajewskiego („Erynie”, „Liczb Charona”, „Rzek Hadesu” i „W otchłani mroku”) wyreżyserował



Marcin Dorociński i Marek Krajewski

Borys Lankosz. Ten sam, który w klimatycznym, czarno-białym „Rewersie” (2009) w głównej roli męskiej obsadził Marcina Dorocińskiego.

Tamta historia rozgrywała się na początku lat 50. ub.w. w Warszawie. Tym razem panowie przenieśli się do przedwojennego Lwowa i Wrocławia. Poza Lwowem (do którego ekipa trafiła, nie przewidując, że niedługo znów dotrze do tego miasta wojna) zdjęcia kręcono również w Przemyśle, Legnicy, Jeleniej Górze, Wałbrzychu, Lublinie, Białowieży, Krakowie, Brzesku i we Wrocławiu.

Pierwszym recenzentem produkcji został Marek Krajewski. Tak zapowiedział telewizyjną premierę na swoim koncie na FB: „Z wielką ulgą oznajmiam: koniec milczenia w sprawie serialu »Erynie«! Kiedy [...] ujrzałem w Warszawie przy ul. Kruczej ogromny mural z podobizną wybitnego aktora Marcina Dorocińskiego – ogolonego na łyso, w ciemnych binoklach – załapa mnie fala radości. Kiedy przeczytałem: »Marcin Dorociński w ekranizacji książek Marka Krajewskiego« – do owego uczucia doszło drugie: spokojna satysfakcja”.

WCISNIĘTY W FOTEL

– Ileż to lat, ileż sekretów, ileż nieudanych prób finalizacji tego projektu filmowego! – wspomina autor, przywołując też inne, liczne podejścia do ekranizowania jego powieści (fil-



Marcin Dorociński jako Witkacy i Wojciech Meczwaldowski jako Bronisław Malinowski w filmie „Niebezpieczni dżentelmeni”



Kadr z serialu „Erynie”

Fot. Jacek Sosniński/TVP

NIEBEZPIECZNY DŻENTELMEN

Wydawnictwo Znak, w którym ukazują się kolejne powieści Marka Krajewskiego (w połowie października wyszła ostatnia, 13. część bestsellerowej serii z Eberhardem Mockiem – „Błaganie o śmierć”) wznowiło właśnie „Erynie” w wydaniu „serialowym”, czyli z Marcinem Dorocińskim jako Popielskim na okładce. Tymczasem odtwórca głównej roli telewizyjnych historii o lwowskim komisarzu, nazywanym w półświatku Łyssym, na swoim profilu FB przedstawił już kolejne ekranowe wcielenie.

Napisał: „Miałem wielką przyjemność wcielić się w Witkacego w debiucie fabularnym Maćka Kawalskiego pt. »Niebezpieczni dżentelmeni«. [...] Bardzo się cieszę, że wkrótce będziemy mogli podzielić się naszym filmem z publicznością”.

Co prawda „Niebezpieczni dżentelmeni” trafią do kin dopiero w styczniu 2023 r., ale już zrobiło się o nich głośno. Najpierw produkcja otworzyła 38. Warszawski Festiwal Filmowy (uroczysty pokaz odbył się 14 października). 10 dni później, po podliczeniu głosów, ogłoszono, że „Niebezpieczni dżentelmeni” otrzymali Nagrodę Publiczności.

Co tak spodobalo się widzom w reżyserskim debiucie fabularnym Macieja Kawalskiego? To znakomicie obsadzona, kostiumowa, komediowa i ponoć smakowicie przewrotna opo-

wieść o czterech znakomitościach zakopiańskiej bohemy – Tadeuszu Boyu-Zeleńskim (Tomasz Kot), Stanisławie Ignacym Witkiewicz, Witkacym (Marcin Dorociński), Józefie Conradzie (Andrzej Seweryn) i Bronisławie Malinowskim (Wojciech Meczwaldowski) – wpłątanych w sensacyjną intrygę, rozgrywaną się w tętniącym kulturalnym życiem Zakopanem. Na drodze bohaterów stają w filmie nie tylko gangsterzy, ale też artyści i politycy, w tym Zofia Nałkowska czy Józef Piłsudski. W tle pojawia się również... Lenin, który akurat zawitał do Poronina.

NA PLANIE Z JOKEREM

Silą filmu Macieja Kawalskiego poza innymi atutami są z pewnością aktorzy. Wśród nich – Tomasz Kot, który realizację marzeń o zagranicznych produkcjach zawdzięcza w dużej mierze Pawłowi Pawlikowskiemu.

Informacja o udziale Marcina Dorocińskiego w serii „MI” rozpoczęła – miejmy nadzieję – serię dobrych kinowych wieści. Jedną z nich dotyczy rozpoczęcia w 2023 r. zdjęć do obrazu „The Island” w reżyserii Pawła Pawlikowskiego (Oscar za „Idę”, nagrody w Cannes za „Zimną wojnę”), z udziałem Joaquina Phoenixa (Oscar za rolę w filmie „Joker”) i Rooney Mary. Będzie to pierwszy od 11 lat film Pawlikowskiego zrealizowany w języku angielskim (poprzednim była „Kobieta z piątej dzielnicy” z Ethanem Hawkiem).

mowców interesował przede wszystkim Eberhard Mock, bohater kryminalnego cyklu, którego akcja toczy się w pierwszej połowie XX w. we Wrocławiu). Koncepcja pokazania na ekranie lwowianina Edwarda Popielskiego została przypieczętowana umową w 2012 r. Dalsze działania zostały objęte tajemnicą, ale też przedłużały się okresy zawieszenia działań.

„Minęło 10 lat. I zrealizowało się moje marzenie” – mógł w końcu napisać na FB Marek Krajewski. „Obejrzałem znakomity, 12-odcinkowy serial »Erynie« [...]. To filmowe dzieło w reżyserii Borysa Lankosza, na podstawie scenariusza Magdaleny Lankosz, Borysa Lankosza i Igora Brejdyganta, jest znakomite. Gra aktorska najwyższej próby (Marcin Dorociński jako Popielski, Wiktoria Gorodeckaja jako Leokadia Tchórznička, Wojciech Meczwaldowski jako Wilhelm Zaremba, Eryk Lubos jako Zygmunt Hanas, Marcin Bosak jako Józef Bekierski, Christian Berkel jako Mock i wielu znakomitych aktorów [...]); zdjęcia Marcina Koszałki – genialne, nastrojowe i niepokojące, muzyka L.U.C.-a – wspaniała, pełna ekspresji, a sama opowieść – wciska w fotel. Oglądając serial, nie wierzyłem, że to na podstawie moich powieści” – dodaje.

Sakralizacja celebrytów

Prawo zawsze bierze stronę tego, kto dzierży władzę. Oburzanie się więc na bezkarność polskich alkocelebrytów jest ze wszech miar słuszne, ale nieskuteczne. Dopóki służą systemowi, mogą być pewni swojej bezkarności.

By być chronionymi, celebryci niekoniecznie muszą walczyć na froncie wojny kulturowej. Wystarczy, że są traktowani przez masy jako członkowie nowej, demokratycznej arystokracji. Nie słyszałem nic o skazaniu Woody'ego Allena, zaburzonego seksualnie mężczyzny, współżyjącego ze swoją nieletnią, adoptowaną córką oraz molestującego seksualnie miesięcznego noworodka. Proceder trwał siedem lat aż do odkrycia pornograficznych zdjęć nieletniej. Na dowód tej ohydy mamy opinie biegłych i zeznania świadków, orzeczenia z rozpraw sądowych i policyjnych dochodzeń. I co? I nic. Do dziś bezkarny jest Roman Polański, który odurzył narkotykami 13-letnią dziewczynkę i zgwałcił. Tak samo Daniel Cohn-Bendit, który we francuskiej telewizji publicznej chwalił się innymi czynnościami seksualnymi wobec półtorarocznych i pięcioletnich dzieci.

Zjawisko bezkarności celebrytów jest coraz częstsze za sprawą walki ideologicznej. Trwa bój o legalizację pedofilii. W Unii Europejskiej holenderscy amatorzy seksu z dziećmi założyli partię. Teraz demokratycznie będą walczyć o legalność pornografii dziecięcej. Niderlandzka partia PNVD (Partij voor Naastenliefde, Vrijheid en Diversiteit) domaga się, żeby „prywatne posiadanie wszelkiej pornografii, w tym pornografii dziecięcej, było dozwolone”. W Kalifornii trwa batalia o prawa gwałcicieli i pedofilów. Uchwalona kilka lat temu ustawa SB

145 pozwala unikać odpowiedzialności homoseksualistom w przypadku stosunków seksualnych z nieletnimi. Dziś w przypadku dzieci 14-letnich, lecz praktyka sądownicza mówi, że prawo będzie słabiej chronić także dzieci 12- czy nawet 8-letnie.

Ideologia niszczy tabu. Bez tabu degeneruje się kultura. Rozpadają się podstawy cywilizacji. Ale wpływ na stosunek społeczeństw do patologii ma również świadomość istnienia politycznego parasola ochronnego rozciągnię-

Zjawisko bezkarności celebrytów jest coraz częstsze za sprawą walki ideologicznej. Trwa bój o legalizację pedofilii. W Unii Europejskiej holenderscy amatorzy seksu z dziećmi założyli partię. Teraz demokratycznie będą walczyć o legalność pornografii dziecięcej

tego nad przestępcami. Marc Dutroux, belgijski seryjny morderca i pedofil, był chroniony przez dekady. Trafił do więzienia dopiero wtedy, gdy nagłośniono, że w trakcie jego zatrzymania zmarły z głodu dwie ośmiolatki uwięzione przez niego w jego domu w skrytce. Pedofilia nie jest efektywnie ścigana „na polecenie góry”. To cytat z wypowiedzi policjantki z warszawskiej jednostki do walki z pedofilią. Gwałtowną śmiercią



ROBERT TEKIELI

zmarła Ewa Żarska, dziennikarka, autorka reportażu „Mała prosila, by jej nie zabijać”. Warszawski Sąd Okręgowy zakazał dziennikarzowi Mariuszowi Zielkemu pisać o aktach pedofilii, której miał się dopuszczać znany muzyk Krzysztof Sadowski.

Przestępczość była, jest i będzie, prawo musi być bezwzględne. Ale jego ostrze jest tępione w wyniku celowych zabiegów. Kasa i ideologia. Neomarksistowski potwór już zagląda do pokoi-ków naszych dzieci. Czas na adopcję małych chłopczyków przez parę homoseksualnych mężczyzn. Czas na werbunek w przedszkolach...

I dla porządku: kapłan, który skrzywdzi dziecko, ściąga sobie na głowę żarzące węgle i lepiej, by sobie kamień do szyi przyczepił i rzucił się do rzeki. Nie może być litości dla osób wykorzystujących duchową władzę, by krzywdzić.

Zwykli ludzie relatywizują czyny wstrętne i przestępstwa celebrytów. Trwa proces owijania ludzi ze świecznika kokonem „wielkich osiągnięć”. Mają immunitet. Należą do bezkarnej kasty. Koterie i koteryjki, fałszywe salony pełne patologii w miejsce elit.

Nam pozostaje obrona własnych dzieci, instytucji, prawa, szkoły, mediów, kultury. Walka bez nienawiści, bo ta krzywdzi. Nie ma co żywić złych emocji, niech zdechną.

Warte Ogłoszono właśnie, że została rozpoczęta produkcja drugiego sezonu serialu „*Peryferia*”. Pierwszą odsłonę krytycy obdarzali komplementami w rodzaju „najbardziej intrygujący serial roku”. To przesada, choć wcale nie tak duża.

Sytuacja wyjściowa jest niby standardowa. Wyoming, rodeo, przeganianie bydła, strzelaniny, rywalizujący z sobą ranczerzy: ci dobrzy – Abbottowie, oraz ci źli – Tillersonowie i podstępna próba przejścia ziemi dobrych przez tych złych. Jak w westernie. Ale to „dobra” rodzina kryje zabójcę. A Royal Abbott, grany przez Josha Brolina („To nie jest kraj dla starych ludzi”, ostatnio „Diuna”) – mrukliwy, twardy człowiek niewiele słów przywiązany do ziemi i rodziny, wyglądający na gotowego zrobić wiele, by je chronić, i na trzymającego się zasad – wcale ich nie zachowuje. Jego modlitwą w kryzysowym momencie jest bluzg przeciwko nieistniejącemu Bogu. Serce głowy rodziny Abbotów wypełnia bowiem pustka. Sama rodzina też jest doświadczona tragedią – zaginięciem żony jednego z synów głównego bohatera. Namacalnie czuć niewidzialny ciężar, który spoczywa na barkach wszystkich domowników, od pozbawionej matki małej Amy (Olive Abercrombie, „Nawiedzony dom na wzgórzu”), po żonę Roya – Cecilę (Lili Taylor, „Perry Mason”).

Mocną stroną serialu jest klarownie zarysowana intryga i śledztwo policji w sprawie śmierci młodego Tillersona – świetna Tamara Podemski! Ale „Peryferia” wygrywa zasadniczo klimatem i napięciem kluczowych scen.

Oglądamy zatem psychologizujący western z elementami kryminału? Nic z tego. Osią fabuły jest bowiem niezmierna tajemnica odkryta przez Roya. Czarna dziura, dosłownie, portal do innego wymiaru czasu. Nie przez przypadek serial otwiera odwołanie do greckiego boga z sierpem, którym oddzielił niebo od ziemi. Scenarzyście co prawda ojciec Zeusa, Kronos, pomylił się z Chronosem, ale nie zmienia to istoty: na skraju pustkowia Wyoming w centrum intrygi westernu science fiction został umieszczony czas.

Dwie dygresje. Jedna z bohaterów, wspominając próbę gwałtu na ośmiolatce, mówi: „Moi rodzice nie mogli nic zrobić, bo nikt nie ścigał białych mężczyzn za gwałcenie małych Indianek z rezerwatu”. To opis nie tak dawnej przeszłości. W głównym budynku NASA do dziś jest dwa razy za dużo łazienek. W czasach, kiedy ludzkość latała na Księżyc, w USA kolorowi nie mogli korzystać z toalet dla białych. Amerykanie byli i są rasistami. Drażni mnie, gdy ktoś udowadnia, że tak nie jest tylko dlatego, iż antyrasizmem posługują się nienawidzący świata neomarksści.

Irzecz druga. W pewnym momencie szeryf mierzy się z problemem nie do rozwiązania: jeden element układanki nie pasuje do hipotezy wyjaśniającej zabójstwo. Jest to podważający całą konstrukcję dowód naukowy, choć pochodzi ze świata nadprzyrodzonego. Zatem: gdyby Bóg nie stworzył uniwersum z zasadą następstwa skutku i przyczyny, od której cudowne sytuacje są tylko marginalnymi wyjątkami, niemożliwa byłaby sprawiedliwość, prawo byłoby narzędziem skrajnie kalekim, nie mówiąc o nauce. Żyjemy w najlepszym z możliwych światów. To na marginesie głównego nurtu fabuły.

Zalet serialu: jest on wielką pochwałą małżeństwa, w jednym z odcinków widzimy zadziwiającą sekwencję krótkiej wizyty



w barze, w którym kowboje tańczą pogo do dźwięków heavy metalu, no i co dla mnie ważne: marginalny wątek lesbijski pojawia się dopiero w szóstym odcinku.

Twórcę „Peryferiów” Briana Watkina w drugim sezonie zastąpi Charles Murray („Synowie Anarchii”, „Luke Cage”). Wiele się może w związku z tym zmienić, ale wiem, że obejrzę przynajmniej dwa lub trzy odcinki drugiego sezonu, by przekonać się, czy nowym twórcom uda się utrzymać klimat nieoczywistości. Najpotężniejszą bronią Briana Watkina jest bowiem ambiwalencja. Ale ambiwalencja to tylko przyprawa, potrawa musi być pożywna, inaczej wychodzimy z restauracji z uczuciem zawodu. W przypadku „Peryferiów” jest zupełnie inaczej. Mamy tu bowiem rozważania na temat spraw zasadniczych: odpłaty za zło, sprawiedliwości, zemsty i Bożego osądu. Jest też swego rodzaju rozliczenie z grzechów i przemocy czasów kolonizowania zachodnich stanów USA, jest też wiara w oczyszczającą moc prawdy oraz rozważania o naturze ludzkiej i naturze wyrządzonego przez nas zła. I przesłanie płynące z sceny finałowej: nie może udać się próba stworzenia świata z fałszywym obrazem Boga, świata, którego centrum jest to, co stworzone, choćby było wielką wartością, jak np. rodzina. Twórcy popkulturowego serialu mówią nam: nigdy nie uda się próba zbudowania sensu na naturze pozbawionej łaski.

Robert Tekieli
Polskie Radio



W momencie, gdy przez polskie kina triumfalnie kroczy „Johnny” Daniela Jaroszka (prawie 600 tys. widzów po trzech tygodniach wyświetlania), na platformach VOD po cichu pojawia się inny film o śmiertelnie chorym katolickim księdzu, który wbrew przeciwnościom losu niósł Dobrą Nowinę ludziom dalekim od Kościoła. Warto ten film odszukać. Nie tylko dlatego, że grają w nim dwie wielkie gwiazdy Hollywood.

Gdyby w młodości Stuart Long dowiedział się, że w Hollywood powstanie o nim film, uznałby pewnie, że odniósł sportowy sukces na miarę Rocky’ego Balboa. Long próbował sił w boksie i aktorstwie. W 1986 r. zdobył nawet Złote Rękawice stanu Montana w wadzie ciężkiej. Z ringu wyeliminowała go kontuzja, a w Hollywood znalazło się dla niego miejsce tylko w głupawych reklamach. Choć uczył się na katolickim uniwersytecie Carroll College, to w młodości nie był blisko wiary. Do katolickich kręgów trafił tylko dlatego, że zakochał się w głęboko wierzącej katoliczce i chciał ją najzwyczajniej w świecie poderwać. Ostatecznie poderwało go ku niebu coś innego. W 1992 r. Stu doświadczył koszmarnego wypadku na motocyklu, podczas którego – jak przekonywał – objawiła mu się Maryja. Tak rozpoczęła się droga Longa do przeistoczenia się w ojca Stu. „Jego nawrócenie jest fenomenalne – od bycia sprawiającym kłopoty agnostykiem do mistycznego spotkania z Bogiem” – uważa jego przyjaciel ks. Bart Tolleson.

Long wymarzył sobie karierę w Hollywood i jego życie zostało naznaczone hollywoodzko melodramatycznym znakiem. Stu wstąpił do seminarium w 2003 r., ale szybko zdiagnozowano u niego zanik mięśni, który nieuchronnie miał go doprowadzić do śmierci. Ojciec Stu przyjął krzyż choroby i przez siedem lat od przyjęcia święceń kapłańskich służył wiernym. Szczególnie tym w zakładach karnych i na ulicy, skąd sam przecież pochodził. Zmarł w 2014 r. w wieku 50 lat. Bokser w koloratce ostatnią bitwę stoczył ze śmiertelną chorobą. Jak Rocky Balboa



w wybitnym spin-offie „Creed”. Tyle że Rocky przegonił chorobę.

„Ojca Stu” miał nakręcić jeden z najciekawszych hollywoodzkich reżyserów David O. Russell. Nominowany do Oscara za „Poradnik pozytywnego myślenia” i „American Hustle” błyskotliwy amerykański filmowiec (w kinach obecnie możemy oglądać jego średnio udany „Amsterdam”) nakręcił już film o bokserach, za którego Christian Bale dostał nawet Oscara. W „Fighterze” Mark Wahlberg wcielił się w jego brata boksera robiącego zawrotną karierę na ringu. W 2016 r. Wahlberg, który od lat mówi publicznie o swoim głębokim nawróceniu, wyłożył ze swojej kieszeni kilka milionów dolarów na projekt, który Russell przez inne zobowiązania musiał porzucić. Napisanie scenariusza przejęła ostatecznie aktorka Rosalind Ross, która z kolei jest związana od 2014 r. z innym czołowym katolikiem w Hollywood, Melem Gibsonem.

Mark Wahlberg, którego kariera jest również pełna zakrętów i upadków (od gwiazdy pop pod pseudonimem Marky Mark, modelingu, przez uzależnienia od narkotyków, aż do przełomowej roli gwiazdy porno w „Boogie Nights” Paula Thomasa Andersona), czuł się predestynowany do roli ojca Stu. Przytył do niej 14 kg i zaangażował się w nią emocjonalnie, określając ją najważniejszą w swojej karierze. „Mam nadzieję, że film przyciągnie wielu ludzi do Kościoła i wzmocni powoła-

nia kapłańskie. To jest film o odkupieniu, które jest dostępne dla każdego” – mówił w wywiadzie dla katolickiego „Crux”.

Armond White, wiecznie niepokorny krytyk filmowy z konserwatywnego „National Review”, zarzucał lewicowym mediom celowe ostemplowanie filmu określeniem „religijny”. „Czy »Ojciec Stu« to religijny, czy amerykański film?” – pyta w swoim tekście White i prowokacyjnie oznajmia, że lewica nie określiła „Nie patrz w górę” Adama McKaya filmem religijnym, chociaż ta „apokaliptyczna komedia wykielkowała z religii zmiany klimatu, która przewiduje zagładę Amerykanów”. Rzeczywiście „Ojciec Stu” jest opowieścią nie tylko religijną, ale i wpisującą w amerykańskiego ducha. To opowieść o upadku, powstaniu i sięgnięciu po marzenia wbrew nieprzyjaznym warunkom. Jednocześnie jest to historia poruszająca wszystko, co ważne dla Amerykanów – tożsamości, duchowości i multikulturowości. Stu – chłopak ze Środkowego Zachodu, które jest często przedstawiane karykaturalnie jako siedlisko bigoterii i zacofania – zakochuje się w imigrantce z Meksyku Carmen (Teresa Ruiz) i z pełnym oddaniem asymiluje się z jej głęboko katolicką rodziną. Bardzo ważna i symboliczna jest scena, w której Stu i Carmen śpiewają razem „Jackson” Johnny’ego Casha i June Carter, czyli absolutnych ikon amerykańskości. White zauważa, że również Clint Eastwood nie przez przypadek pokazał miłość białego

poleca

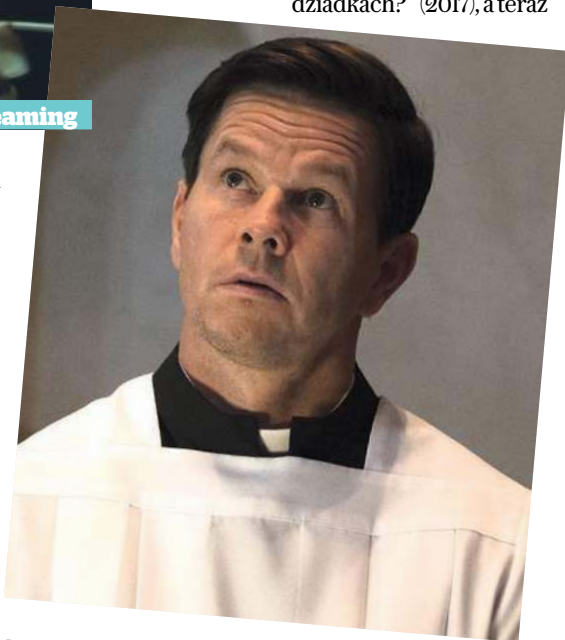
**Streaming**

kowboja i Meksykanki w swoim ostatnim filmie „Cry Macho”. Tam również katolicyzm odgrywał ważną rolę, co jest notabene zaskakujące dla wiecznego agnostyka Eastwooda.

Chciałbym zobaczyć „Ojca Stu” w wersji Davida O. Russella, który jest jednym z moich ulubionych reżyserów, od kiedy zobaczyłem beczelnie hultajskie „Złoto pustyni” z 1999 r. Russell naszpikowałby film większą ilością ironii, bawiłby się formą i pewnie obsadziłby obraz jeszcze większą liczbą gwiazd, choć grający tutaj biskupa Malcolm McDowell, znany z szokującej do dziś „Mechanicznej pomarańczy” Stanleya Kubricka, jest mrugnięciem okiem do widza. W końcu McDowell zagrał również samego szatana w zdumiewająco złej chrześcijańskiej komedii „Pozywając diabła” z 2011 r. Debiutująca na reżyserskim stolku Ross nie ma tak pewnej ręki jak Russell (co widać w zbyt prostoliniowych i przez to kiczowatych scenach sugerujących spotkanie Jezusa i Maryi), choć podejrzewam, że dostała nie tylko duchowe wsparcie od znakomitego przecież reżysera Mela Gibsona. Na korzyść filmu przemawia z kolei jej kobieca empatia i matriarchalne ciepło, które widać w scenach cierpienia Stuarta, a także w bardzo dobrze nakreślonej

roli jego matki (Jacki Weaver), która do końca była jego podporą i fundamentem rodzinnym.

Mimo że jest to film ciągnięty na ramionach przez Wahlberga, trudno nie zauważyć, że temperatura podnosi się o kilka stopni dopiero, gdy na ekranie pojawia się Gibson. Reżyser „Pasji” i jeden z ostatnich stuprocentowych hollywoodzkich gwiazdorów pokazuje, jak wielka drzemie w nim wciąż charyzma i magnetyzm. To zabawne, że Gibson i Wahlberg zagrali ojca i syna w głupiotkiej, ale uroczej świątecznej komedynie „Co wiecie o swoich dziadkach?” (2017), a teraz



tworzą przejmujący obraz rodziny trawionej przez tragedię. Wyjątkowo poobijany w życiu osobistym Mel Gibson wciela się w alkoholika niemogącego się pogodzić ze śmiercią dziecka. Również Stu jest przez całe życie naznaczony przez stratę brata, którą może zrozumieć tylko przez własne cierpienie. Ich pełne napięcia wspólne sceny są najmocniejszą częścią filmu. Konflikt ojca i syna to również jeden z wielkich tematów amerykańskiego kina, co jeszcze bardziej wzmacnia tezę, że „Ojciec Stu” jest czymś więcej niż kinem religijnym.

Jeżeli jednak miałbym traktować ten film głównie w kategorii kina religijnego, to jest on doskonałym chrześcijańskim kinem środka, którego brakuje dziś w Hollywood. Nie jest to artystycznie

wzniosłe i poetycko-metafizyczne kino Terence’a Malicka ani nie ma w sobie osobistego i szukającego odkupienia tonu późnych religijnych traktatów Martina Scorsese („Milczenie” i finał „Irlandczyka”) czy Paula Schradera („Ostatni reformowany”) niezłomnie parafrazującego Roberta Bressona. Nie czuć w nim duchowego rozedrgania kina Gibsona ani tym bardziej kiczowatych, protestanckich katechez spod znaku „christian movies”. „Ojciec Stu” to po prostu opowieść o zwykłym facecie z robotniczego środowiska, który na swojej drodze spotyka Jezusa. Jest to obraz księdza katolickiego, o którym kino – naznaczone marszem przez instytucje Antonio Gramsciego – dziś nie pamięta. Dziś katolicy duchowni są bohaterami jedynie horrorów z wątkiem egzorcyzmów, a przecież w dawnym Hollywood nie brakowało obrazów heroicznych kapłanów, kroczących obok zwykłych ludzi. Nie mam na myśli nawet kina religijnego. Elia Kazan w „Na nabrzeżach” czy Alfred Hitchcock w „Wyznaje” dali nam przecież najbardziej przejmujące obrazy kapłańskiego oddania w filmach z założenia niereligijnych. Nie porównuję artystycznie „Ojca Stu” do tych wielkich osiągnięć kina, ale jego twórcy idą w podobną stronę. Dostajemy na ekranie księdza z krwi i kości. Człowieka upadającego, błędzącego i grzeszącego, a nie pomnik ulepiony ze spiżu albo kremówki.

„Ojciec Stu” kosztował marne jak na Hollywood 4 mln dol. Zarobił ponad 20 mln, pokazując, że nie tylko sformatowane pod wyłącznie wierzących protestantów chrześcijańskie kino w stylu „Bóg nie umarł” czy „Chaty” jest pożądane przez widownię. Czy to tylko magia nazwiska Wahlberga, który wciąż jest jedną z gwiazd Hollywood i nie wycofał się z niego w imię swoich przekonań jak choćby Jim Caviezel i Mel Gibson? A czy tylko Dawid Ogrodnik na plakacie „Johnny’ego” przyciągnął do kin tak wielką (jak na czasy postpandemiczne) widownię? Nie. Widownia po prostu chce oglądać katolickiego kapłana, który mimo własnych słabości będzie przewodnikiem duchowym i pasterzem. A może właśnie dzięki swoim słabościom jest on na ekranie tak wiarygodny?

**„OJCIEC STU” DOSTĘPNY
W SERWISACH VOD**



Wielkie Polki
Krystyna
Skarbek

O d dziecka wiedziała, że życie ma być przygodą. Nauczył ją tego ojciec, hr. Jerzy Skarbek – typowy arystokrata tamtych czasów: dobrze wżeniony w zamożną rodzinę żydowskich bankierów, lekkoduch, a trochę też awanturnik.

W jego towarzystwie, urodzona w 1908 r. Krystyna spędziła beztrudnie dzieciństwo w majątku Trzepnica, włócząc się po polach, ujeżdżając konie i zachwycając się powoli, ale bardzo wyraźnie swoją rozkwitającą urodą. Z pewnością była jej bardzo świadoma, skoro mając 19 lat, wystartowała w konkursie Miss Polonia i zajęła w nim drugie miejsce. Rok wcześniej zdążyła także wyjść za mąż, ale małżeństwo przetrwało zaledwie kilka miesięcy.

Dla jej dalszych losów wszystko to będzie bardzo ważne – i nie chodzi tu o narcyzm. Już w tym wieku Krystyna nauczyła się, jak manipulować mężczyznami, a to dla przyszłej agentki brytyjskiego wywiadu będzie umiejętnością bezcenną w męskim świecie II wojny światowej.

W fabryce agentów

W tym wieku nie miała jeszcze pojęcia, czego chce od życia. Ojciec nauczył ją korzystania z wolnego czasu i sporych środków finansowych. Ale nie był dobrym pedagogiem – nie wzbudził w niej żadnych poważniejszych zainteresowań ani ambicji. Najpierw Krysia, później Krystyna żyła więc sobie beztrudnie – bawiąc się, flirtując, dobrze czując się w roli ozdoby ekskluzywnych klubów i kurortów. Uwikła się co prawda w jeszcze jedno małżeństwo, ale po pierwsze – z postacią godną jej temperamentu, malarzem i podróżnikiem Jerzym Giżyckim, po drugie zaś – rozwiedzie się już po roku. Gdyby nie wybuch wojny, dożyłaby zapewne starości jako bogata wdowa po kolejnym mężu, żyjąca swobodnie z odziedziczonego majątku.

Wojna jednak wybuchła i zastała ją w Afryce. Stamtąd przetrwała się najpierw do Francji, a później do Anglii i tu właśnie znajdzie swój życiowy cel. W 1940 r. Winston Churchill decyduje się powołać do życia SOE – Kierownictwo Operacji Specjalnych. W tym momencie Wehrmacht panuje całkowicie

V jak Vesper

Była ulubioną agentką Winstona Churchilla i pierwowzorem wielkiej miłości Jamesa Bonda. Żadna polska kobieta szpieg nie stała się taką legendą jak Krystyna Skarbek

na polach bitew, zmiatając armię za armią i podbijając kolejne terytoria. W tym momencie jedyną sensowną metodą walki wydaje się dywersja – małe, ale precyzyjne akcje dokonywane grupkami doskonale przeszkolonych komandosów. Czasem też siłami pojedynczych agentów, którzy oprócz wprowadzania chaosu na zapleczech frontów mogą też organizować na podbitych ziemiach ruch oporu i – co może najważniejsze – zbierać informacje i dostarczać je do Londynu.

Nie wiadomo, co konkretnie ją do tego popchnęło, ale natychmiast po przybyciu do Anglii Skarbek zgłasza się do ministerstwa spraw wewnętrznych i zostaje przyjęta. Piękna, wciąż

młoda i sprawna fizycznie kobieta wydaje się doskonałym materiałem na szpiega. Urzędnicy z miejsca wysyłają ją więc do New Forest, gdzie założony został ściśle utajniony obóz szkoleniowy dla przyszłych agentów. Przedsięwzięcie jest wręcz filmowe. Władze ściągają tu najlepszych ekspertów od sztuk walki, posługiwania się materiałami dywersyjnymi i bronią, kamuflażu, radzenia sobie z bólem. Mało tego. Z więzień całej Wielkiej Brytanii są tu przewożeni specjaliści od mniej oficjalnych profesji: włamywacze, oszuści, szulerzy, którzy przekazą agentom wiedzę również w tych dziedzinach. Dywersja to wszak działalność przestępcza, tyle że w słusznej sprawie.

W połowie 1941 r. Krystyna Skarbek jest już doskonale przeszkolonym komandosem i dowództwo uznaje, że czas rzucić ją na pole walki. Tyle tylko, że teraz nazywa się już Christine Granville „Pauline”.

Liczy się skuteczność

Jej pierwszym terenem działania są Węgry – w tym momencie sojusznik nazistowskich Niemiec. Głównym jej zadaniem jest zbieranie informacji i przekazywanie ich do okupowanej Polski, skąd inny agent dostarczy je do Londynu. Przy okazji jednak ma wydostawać z węgierskich obozów jenieckich polskich oficerów. W metody dowództwo nie ingeruje: łapówka, łóżko, akcja zbrojna – ważna jest skuteczność. I właśnie w tej kwestii Skarbek zabłysnęła po raz pierwszy. Opracowała karkołomną trasę przerzutową, wiodącą przez słowackie Tatry i wyruszyła nią wraz z grupą uwolnionych żołnierzy. Przedsięwzięcie było szalone, tym bardziej że odbywało się zimą, po niemal pionowych stokach. Nie wszyscy przeżyli tę drogę, ci jednak, którym się udało – dotarli bezpiecznie na miejsce.

W New Forest nauczyła się jednak również tego, że być szpiegiem oznacza też być aktorem. I to właśnie jej się przydało, gdy w dość niejasnych okolicznościach wpadła w ręce gestapo. Zdaje sobie sprawę, że ma początki gruźlicy – wykazało to prześwietlenie jeszcze w Londynie. Niewiele myśląc, podczas przesłuchania rozgryza sobie język, zaczyna kaszleć, rzecz jasna efektownie plując krwią. Zostaje zwolniona – raz, że nie znaleziono przy niej żadnych obciążających dowodów, dwa – nikt nie ma ochoty być blisko gruźlika, choćby tak pięknego.

Paradoksalnie jednak jej sukces wzbudził nieufność dowództwa. „Według niektórych historyków winny jest polski wywiad, który usilnie stara się przekonać Brytyjczyków, że wyjście z aresztu gestapo ze względu na zły stan zdrowia jest po prostu niemożliwe. Polacy przekonują Brytyjczyków o tym, że Skarbek została najprawdopodobniej »odwrócona«, straciła wiarygodność, stała się podwójnym agentem” – pisał Marek Łuszczyn. Sprawa jest delikatna – dowództwo musi to sprawdzić. Skarbek zostaje chwilowo zawieszona.

Drugie życie Vesper

Brzmi to może dziwnie, zważywszy na czas wojny, ale nie mając nowych zleceń, Skarbek wraz z poznanym na Węgrzech innym agentem, Andrzejem Kowerskim, udaje się w podróż po Bliskim Wschodzie. Nie na długo jednak. Kiedy dotarli do niej wieści, że jej matka przebywa w warszawskim getcie, przedostaje się do kraju i podejmuje próbę jej wyciągnięcia.

Bezskutecznie jednak – choć próbuje i łóżka, i dużych pieniędzy. W Warszawie nie ma żadnych kontaktów, pomoc AK nie wychodzi w grę – Polacy jej nie ufają. Pozostaje czekać na sygnał z Londynu.

Ten nadchodzi na początku 1944 roku. Skarbek ma zostać przerzucona do Francji i zająć się odpowiednimi działaniami dywersyjnymi dla planowanej inwazji w Normandii. I tu dokonała rzeczy wręcz nieprawdopodobnej, za którą otrzymała od Churchilla Order Imperium Brytyjskiego. Otóż po wylądowaniu w okolicach Grenoble okazało się, że kluczowa dla terenu siatka szpiegowska Jockey została praktycznie unieruchomiona przez aresztowania, m.in. jej szefa Francisca Cammaerts. Po zbadaniu sytuacji Skarbek decyduje się na ruch niosący z sobą skrajne ryzyko. Po prostu odpowiednio ubiera się i bez żadnej broni i wsparcia udaje się na posterunek gestapo w miejscowości Digne-les-Bains, gdzie są przetrzymywani aresztanci. Podobno weszła na posterunek i niezatrzymywana przez funkcjonariuszy, zgrabnie kołysząc biodrami, weszła bez pukania do gabinetu oficera i niewiele kombinując, zaproponowała mu dużą łapówkę. Trochę właściwie jednak kombinując, bo przedstawiła się jako siostrzenica generała Montgomery’ego.

Poskutkowało. Churchill był zachwycony, a Skarbek stała się prawdziwą legendą SOE. Do końca wojny pozostała czynną agentką, której zasługi na pozór trudno byłoby przecenić. Na pozór, bo Wielka Brytania wyceniła je równo na 100 funtów – to maksymalna kwota, jaką mógł otrzymać cudzoziemiec. Była to kwota, która mogła wystarczyć jedynie na bieżące wydatki. W 1945 r. czołowa agentka Imperium Brytyjskiego, przeszkolona w elitarnym ośrodku New Forest i mająca na koncie cuda brawury, musiała szukać pracy.

Imała się różnych zajęć. Pracowała w centrali telefonicznej, w ekskluzywnym sklepie Harrods, bywała pokojówką w hotelach i na statkach pasażerskich. To i tak nie najgorzej, bo w zniszczonym, powojennym Londynie panowała okropna bieda. Kiedy jednak nadarzyła się okazja, Skarbek zatrudniła się na eleganckim transatlantyku Ruahine, pływającym z Anglii do Nowej Zelandii. Jej praca była lżejsza – musiała tylko być, kim była, i umilać czas pasażerom pierwszej klasy opowieściami o życiu agentki. Tak reklamowano ją nawet w folderze. I to właśnie na pokładzie Ruahine poznała Iana Fleminga – przyszłego twórcę postaci Jamesa Bonda – z którym połączył ją romans.

W jej przypadku nie było to nic szczególnego, miała ich wiele. Dla niego najwyraźniej okazał się jednak ważniejszy. Kiedy kilka miesięcy później, w czerwcu 1952 r. Krystyna Skarbek zostanie zamordowana przez innego zazdrosnego kochanka, Fleming kończy właśnie swoją pierwszą powieść „Casino Royale”. Kochanka Jamesa Bonda ma w niej na imię Vesper. Tak właśnie Krystynę Skarbek nazywał pieszczotliwie ojciec.

Wojciech Lada

Cykl powstał dzięki

LINK 4

POLSKIEJ FIRMIE UBEZPIECZENIOWEJ

Gorzki posmak cukru

Sprzedaż polskiego przemysłu cukrowniczego nie miała nic wspólnego z prywatyzacją. Była zorganizowanym przejęciem i sprzedażą całego rynku na rzecz niemieckich potentatów. W czasie wakacji byliśmy świadkami operacji marketingowo-handlowej mającej na celu wywołanie paniki wśród konsumentów. Obie sprawy są z sobą związane



MACIEJ WALASZCZYK

To była niedziela 16 stycznia 2000 r. Dzień wcześniej sąd koleżeński Ruchu Społecznego AWS postanowił jednogłośnie wyrzucić Gabriela Janowskiego z partii. Rok wcześniej kierowane przez niego ugrupowanie PSL-Porozumienie Ludowe podjęło decyzję o przystąpieniu do RS AWS, mającego ambicję stać się centroprawicowym równoważnikiem wpływów SLD. Ale już potem było tylko gorzej. Koalicja AWS-UW z rządem Jerzego Buzka funkcjonowała w stanie ciągłych konfliktów. Realizowano oprócz czterech reform forsowany przez Leszka Balcerowicza kurs schładzania gospodarki i prywatyzacji

majątku narodowego. Topniało poparcie wyborców rozczarowanych rządami pod dyktando koalicjanta. Polska gorączkowo zabiegała również o przyjęcie w struktury Unii Europejskiej, co rodziło pewne niepokoje, szczególnie wśród rolników skazanych na nierówną konkurencję z dotowaną przez UE żywnością z Francji, Niemiec czy Hiszpanii.

Wspomnianego dnia w Sejmie na Janowskiego oczekiwało kilkudziesięciu działaczy PSL-PL i NSZZ Rolników Indywidualnych „Solidarność”. Ok. 14 miała odbyć się konferencja prasowa na temat wniosku o wotum nieufności dla ministra skarbu Emila Wąsacza. Gabriel Janowski był wówczas jednym z liderów tzw. oczka, a więc grupy 21 posłów atakujących rząd za politykę prywatyzacyjną i inicjatorem odwołania kontrowersyjnego ministra.

Kulisy tego wydarzenia pokazano w interesującym wydaniu programu „Magazyn śledczy Anity Gargas”, którego premiera odbyła się 20 października br.

w TVP 1. Na wyciągniętych z telewizyjnego archiwum materiałach filmowych obecny w Sali Kolumnowej Sejmu Gabriel Janowski skacze, krzyczy, zachowuje się dziwnie, nienaturalnie, jest skrajnie pobudzony. Wszystko wskazuje na to, że źle się czuje. Rozmówcy wracają do tych chwil i nie mają wątpliwości, że Janowski został odurzony. I komuś szczególnie na tym zależało. W programie są rekonstruowane ostatnie godziny przed tym wydarzeniem. Wskazywani świadkowie i podejrzani.

Byłem również świadkiem tej sytuacji, a po dwóch tygodniach udało mi się przeprowadzić z nim rozmowę. Zarówno wtedy, jak i teraz Gabriel Janowski tłumaczy, że został odurzony, najprawdopodobniej amfetaminą. A potem podstępnie wprowadzony przed kamery i skompromitowany. W reportażu możemy posłuchać relacji świadków, obejrzeć archiwalne materiały telewizyjne, fragmenty ówczesnych wydań programów informa-

cyjnych TVP. Przede wszystkim poznać to tych wydarzeń, których konsekwencje odczuwamy po dzień dzisiejszy.

SPEKULACJA CUKREM

Pamiętamy zaburzenia na rynku cukru z lata br., gdy klienci w Polsce wpadli w sidła spekulantów. Ograniczono sprzedaż, podbito ceny, wywołano panikę. Jak tłumaczył w jednym z lipcowych numerów tygodnika „Sieci” Konrad Kołodziej-ski, cukru w br. wyprodukowano więcej niż w poprzednim i dla każdego powinno wystarczyć. Jednak wzrost kosztów produkcji, na co wpływ ma m.in. wywołany wojną wzrost cen paliw i nawozów sztucznych oraz istnienie sporych zapasów tańszego cukru z ubiegłorocznych zbiorów, niespecjalnie cieszyło hurtowników i sieci handlowe. Te już teraz chciały więcej zarobić. Wywołano więc sztuczny deficyt, celowo blokując sprzedaż i nakręcając panikę, by zeszłoroczny cukier szybko sprzedał się z zyskiem. Skok cen zmusił niewielkich producentów przetworów i słodczy do zaopatrywania się – w ilościach hurtowych – w zwykłych sklepach, które wprowadziły jego reglamentację. Główną rolę w tym procederze odegrały hurtownie i zagraniczne sieci handlowe dominujące na polskim rynku.

WYPRZEDAŻ ZAMIAST PRYWATYZACJI

Dziennikarze „Magazynu śledczego Anity Gargas” wrócili więc do historii prywatyzacji polskich cukrowni. Bo tam jest źródło problemu. Jak wyjaśnia Andrzej Sadowski, ekspert z Centrum im. Adama Smitha, to, co stało się 20 lat temu, nie miało nic wspólnego z prywatyzacją, lecz było zorganizowanym przejściem i sprzedażą całego rynku. Dzisiaj obserwujemy tego konsekwencje. – Sprzedawano całe rynki, a nie przedsiębiorstwa. Stąd w Polsce tzw. prywatyzacja prowadziła do deindustrializacji całego państwa. Mieliśmy wówczas do czynienia z prywatyzacją typu likwidacyjnego, gdy likwidowano nie tylko całe przedsiębiorstwa, ale całe branże – tłumaczy Sadowski, przyznając, że tak przeprowadzona prywatyzacja nie prowadziła do większej konkurencyjności i atrakcyjniejszych cen usług i towarów dla klientów. Było tak

choćby w przypadku Telekomunikacji Polskiej SA, sprzedanej francuskiemu potentatowi France Télécom. Ale to zupełnie inna i szokująca podziś dzień historia.

Wszystko to działo się za czasów rządów Jerzego Buzka i koalicji AWS-UW, a potem Leszka Millera i rządów koalicji SLD-PSL. W tle akcesja Polski do UE, której tzw. adwokatem w wielkiej polityce wspólnoty były Niemcy. Piętno polityki niemieckiej i jej biznesu jest tu najbardziej widoczne. Bo to niemieckie firmy przejęły polskie cukrownie. Sprzedawano również cementownie, papiernie, telekomunikację, sektor bankowy. O mały włos nie doprowadzono do sprzedaży narodowego giganta ubezpieczeniowego PZU.

– Walczyłem o cukrownie, ale przede wszystkim o niesprzedawanie polskiego majątku narodowego – tłumaczy Gabriel Janowski. Niemal natychmiast po sejmowej awanturze i spacyfikowaniu wewnętrznej opozycji w AWS przez stronników Mariana Krzaklewskiego i Jerzego Buzka nastąpiła fala pośpiesznej wyprzedaży polskiego przemysłu cukrowniczego. Zainteresowane nim były głównie niemieckie przedsiębiorstwa Südzucker, Pfeifer & Langen i Nordzucker. „Przykładem jest Śląska Spółka Cukrowa. W wyniku prywatyzacji 16 dolnośląskich cukrowni, które pracowały na dobrych terenach buraczanych, gdzie są wysokie plony, zostało sprzedanych za równowartość gruntów pod cukrownią Wrocław” – mówił w reportażu Stanisław Lubaś, przewodniczący Krajowej Sekcji Przemysłu Cukrowniczego NSZZ Solidarność. Dzisiaj po dolnośląskich cukrowniach nie ma śladu. W reportażu widzimy ruinę zakładu w Pastuchowie niedaleko Jaworzyny Śląskiej, gdzie w 2004 r. koncern Südzucker Polska SA zamknął fabrykę. Podobny los spotkał tamtejszy kombinat rolny. Rolnicy mówią do kamery, że nie mieli nawet możliwości skredytowania kupna gruntów, które po nim zostały. „Niemiec dostał kredyt z niemieckiego banku. A my nie” – relacjonują.

WALKA O RYNEK CUKRU TOCZY SIĘ NIEUSTANNIE

W wyniku prywatyzacji już na początku lat 2000. kapitał zagraniczny wszedł w posiadanie 49 na 76 cukrowni. Doprowadzono do sytuacji, w której rozpoczęły one między sobą ostrą konkurencję. Nowi

właściciele sprzedawali cukier poniżej ceny minimalnej, by doprowadzić rywali do bankructwa. Potem w Komisji Europejskiej stworzono prawo skrojone pod niemieckie firmy, dzięki któremu ze specjalnego funduszu wypłacano im potężne pieniądze za definitywne zlikwidowanie produkcji. A to dało zagranicznym spółkom dodatkowy zysk za przejęte, a potem zlikwidowane przedsiębiorstwa na terenie Polski. Wcześniej, dzięki kupionym za bezcen zakładom, zyskały wyższe kwoty produkcyjne dla swojej macierzystej produkcji, co uderzało w polski eksport.

Sytuacja poprawiła się dopiero w 2017 r., gdy ściśle regulacje unijne, w tym kwoty, zostały zniesione. Dziś nie ma już cen minimalnych ani opłaty produkcyjnej. Polska zajmuje w Unii trzecie miejsce pod względem produkcji cukru. Ale z 76 cukrowni pozostało 17, a aż 10 z nich jest w niemieckich rękach.

Ponad 20 lat temu Gabriel Janowski domagał się od rządu ochrony krajowego rolnictwa przez wprowadzenie cel ochronnych, cen minimalnych, dopłat wyrównujących. Pojawiało się też hasło rewizji układu stowarzyszeniowego z UE, który był od początku lat 90. XX w. powodem głównym nierównej konkurencji z unijnymi potentatami. Rok po wydarzeniach z Sali Kolumnowej Janowski okupował gabinet kolejnego ministra skarbu. Wielokrotnie również podejmowano próby odwołania go z funkcji przewodniczącego sejmowej komisji rolnictwa. Stawką było wstrzymanie wyprzedaży i konsolidacja resztek polskich cukrowni w narodowy holding – Polski Cukier SA (Krajowa Spółka Cukrowa) – który jest historią sukcesu rodzącego się przy wielkim oporze politycznym. W holdingu ponad 20 proc. akcji należy w szczególności do plantatorów buraka cukrowego i pracowników spółki. Ta przynosi zyski i wysokie dywidendy, także skarbowi państwa. Do dziś nie doszło do oczekiwanej prywatyzacji plantatorsko-pracowniczej. Ale 20 lat temu rząd Donalda Tuska próbował holding niekorzystnie sprywatyzować, umożliwiając wrogię przejęcie. Zrobiono też wszystko, by nowoczesna cukrownia w Głinojecku, wystawiona na sprzedaż przez British Sugar Overseas, także przeszła w niemieckie ręce, uniemożliwiając jej zakup przez Krajową Spółkę Cukrową.



JAKUB KUZA*

Od pomorskiej Atlantydy po wawelski czakram

Lato 1995 r. spędzałem pod namiotem na Pojezierzu Litewskim pod Augustowem. Miałem 14 lat i szczególnie intensywnie zapamiętałem z tych wakacji dwie rzeczy. Jedną z nich był wspaniały wieczór, kiedy kilkadziesiąt osób oglądało na małym czarno-białym telewizorze (ale pod gołym niebem!) zwycięski bój Legii Warszawa z IFK Göteborg o Ligę Mistrzów. Drugą była książka, którą w deszczowy dzień, chyba z sympatii, podarowała mi do namiotu o rok starsza koleżanka. Był to »Pan Samochodzik i zagadki Fromborka« – mój pierwszy, a przez to do dziś najważniejszy Pan Samochodzik. Nie będę oryginalny – kultowa seria Zbigniewa Nienackiego w jakiś sposób mnie ukształtowała. Wracam do tych odległych wzruszeń, bo pisząc tę książkę, czułem się czasem jak jej główny bohater» – wspomina we wstępie Jakub Kuza.

Już po ukończeniu książki – jak podkreśla – zauważył, że poznając historię i geografię naszego kraju od zupełnie innej strony, odkrył wspaniałą różnorodność kulturową i etniczną dawnych polskich ziem. Ślady, jak w historii Rzeczypospolitej wpisywali się też Żydzi, Niemcy, wikingowie, słowiańscy poganie, prawosławni Rusini czy protestanci arianie. Wędrował także ich szlakami.

W efekcie powstało 13 historii napisanych z reportażowym zacięciem. Prowadzących czytelnika do niezwykłych miejsc, na które autor stara się spojrzeć z jak najszerzej perspektywy, nie unikając własnych interpretacji. Przede wszystkim jednak czerpiąc informacje z różnych źródeł. Zarówno od naukowców, jak i poszukiwaczy przygód czy wyznawców pogańskich kultów, teoretyków i uczestników zdarzeń.

Z posągami Peruna na zboczu Ślęży



Niedźwiadek na szczycie Ślęży

W taki sposób opowiada o pogańskiej Ślęży, wawelskim czakramie, osadzie wikingów w Truso, chrzcielnej misie w Wiślicy, kaplicy w Chwarszczanach, gorące złota w Środzie Śląskiej, ariańskiej piramidzie w Krynicy, rabinówce w Kocku, panoptikonie w Toruniu, łaźni miejskiej w Zgierzu, Nowym Jeruzalem w Wierszalinie, nazistowskim mauzoleum w Wałbrzychu i gdyńskim basenie portowym numer IV.

O przywołanych w książce miejscach i drodze do nich tak pisze w zapowiedzi: „Jest heretycka piramida z ogromnymi żmijami, pomorska Atlantyda odnaleziona dzięki wskazówkom z podróży sprzed tysiąca lat i niedoszła stolica świata w podlaskiej puszczy. Rozmawiałem z rabusiami średzkiego skarbu tysiąclecia, słowiańskimi neopoganami i poszukiwaczami bogactw templariuszy. Do stałem się do najdziwniejszego więzienia na świecie,

izdebki zamurowanego żywcem na kilkadziesiąt lat kockiego cadyka i podziemi jedynej w Europie nazistowskiej świątyni. Pociągnąłem temat największego oszustwa w historii polskiej archeologii, odważnie rewidowałem swoje poglądy na temat UFO i narodowej ezoteryki, a na koniec zażywałem wodnych rozkoszy w przedwojennym spa, gdzie czas się zatrzymał. Włożyłem w tę książkę kilka miesięcy życia, całe serce, mnóstwo mrozących krew w żyłach przygód i fantastyczną zabawę”.

Jolanta Gajda-Zadworna

**Autor książki „Tajemnicza Polska. Niewyjaśnione historie, zapomniane skarby, sensacyjne odkrycia”*

Fot. Zuzanna Karmięczak, materiały prasowe





SŁODKO-SŁONY

Zamiłowanie do kwaśnego

ANNA MONICKA

Sezon na kapustę u mnie w domu jest zawsze. Od dziecka spacerując po bazarach z zieleniną, najbardziej byłam zainteresowana tym, co rolnicy mieli w beczkach. Zнали mnie, wiedzieli, że lubię taką z sokiem i dużą ilością marchewki. Kwas wlewali mi do słoika i robili sobie ze mnie żarty, że mała dziewczynka zanosí kwas tatusiowi, który pewnie nadużywa i potrzebuje czegoś na kaca. Złościłam się, że to nie dla tatusia, bo tatuś nie pije alkoholu, a oni rechotali i użalali się, że biedne dziecko. I zawsze dawali mi na pocieszenie jabłuszko w prezencie.

Moja córka odziedziczyła zamiłowanie do kwaśnego. Inne dzieciaki ciągnęły rodziców w stronę waty cukrowej, ona była najszczęśliwsza, gdy trzymała w garści kwaszonego ogórka albo woreczek z kapustą. Sprzedawcy byli wniebowzięci, że dziecko ma smaki jak stary. Zawsze też zaczynały się dyskusje o tym, że gdyby wszyscy się tak odżywiali, nie dźwigaliby przed sobą wielkich brzuchów, bo nic tak nie reguluje przemiany materii. Coś w tym jest – gdy moja mama miała po antybiotykach kłopoty z jelitami, lekarka kazała jej jeść dobrą kapustę i pić kwas, żeby odbudować florę bakteryjną. Była to doskonała i bardzo skuteczna terapia.

Od wczesnej wiosny robimy kiszonki z różnych warzyw, ale kapusta zawsze jest najważniejsza. Mamy i własną, do surówek i kanapek, bo odkąd zaczęłam do szkoły robić burgery przełożone serem, papryką i kapustą, córka innych nie chce, ale i kupujemy od sprawdzonego rolnika całymi wiadrami. Gdy odwiedzają nas dziadkowie, w prezencie dla wnuczki taszczą zazwyczaj garnek kapusty, który znika nie wiadomo kiedy, bo młoda wstaje nawet w nocy i wyjada na zimno.

Ostatnio trochę eksperymentujemy i kapustę robimy z owocami – oczywiście najpierw na oliwie podsmażamy dużo cukrowej cebuli, potem posiekaną kapustę (jeśli jest салатkowa, to nawet jej nie pluczemy), a potem dodajemy jabłka i suszone na słońcu morele.

Jak ukusić kapustę w domu? Nic prostszego – szatkujemy główkę do miski, przesypujemy kamienną niejodowaną solą (potrzeba ok. dwóch czubatych łyżek na dwa kilogramy kapusty), dodajemy łyżeczkę kminku i dobrze ugniatamy. Gdy postoi i puści sok, ubijamy ją warstwami w słoju lub kamiennym garnku, żeby wycisnąć pęcherzyki powietrza. Zalewamy sokiem i zakręcamy. W czasie kiszenia może się pienić i wylewać spod pokrywy, ale to normalne. Po tygodniu można już podjadać. 

Fot. Shutterstock



WILCZYM OKIEM

Perły w Sudetach

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Perły kojarzą się z morzami i oceanami gorących stref świata. Tymczasem małże wytwarzające perły żyją również w wodach słodkich strefy umiarkowanej. Niegdyś występowały także w Polsce.

Informacje o największych i najpiękniejszych perłach słodkowodnych pochodzą z USA. Wielka perła mająca średnicę aż 2,5 cm została znaleziona w 1902 r. w rzece Missisipi. 17-letni znalazca sprzedał ją za 2675 dol. W tym mniej więcej czasie i w tej samej rzece znaleziono perłę tak piękną, że została zakupiona za 5 tys. dol. (każdy, kto pamięta „Przypadki Tomka Sawyera”, wie, jak gigantyczne były to wówczas kwoty).

W Polsce, a konkretnie w potokach sudeckich, czystych i ubogich w węglan wapnia, występował kiedyś małż perloródka (*Margaritifera margaritifera*). Jeszcze na początku XX w. była tak liczna, że karmiono nią świnię, a z masy perłowej wyrabiano guziki – przy okazji znajdując niekiedy perłę. Jedna cenna perła trafiała się raz na kilkaset albo i kilka tysięcy małży.

Niestety, perloródka wyginęła w Polsce całkowicie. Przyczyną było przełowienie, a bardziej jeszcze zanieczyszczenie wód i zaburzenia ekosystemu – zanim małże wymarły, przestały wytwarzać perły. Żeby perła powstała, perloródka musiała być zainfekowana przez pasożyta. Antropogeniczne zmiany środowiska naturalnego (w tym wprowadzenie obcych pstrągów tęczowych i piżmaków) przerwały łańcuchy żywicieli, a gdy nie było infekcji, przestały powstawać perły. Później wyginęły małże.

Ponieważ zasięg występowania perloródki jest rozległy i obejmuje całą strefę umiarkowaną półkuli północnej, na świecie istnieją jeszcze populacje tego mięczaka. Najbliżej nas znajdują się one w Czechach i w południowych Niemczech, pochodzą jednak z introdukcji i reintrodukcji, nie mają więc w pełni naturalnego charakteru. Najbliższe populacje uważane za naturalne występują w Szkocji.

Czy perloródki przetrwały gdzieś w ustronnym, sudeckim potoku? Cóż, biorąc pod uwagę, że dożywały 100 lat (najstarsza perloródka ze Szwecji liczyła 217 lat), istnieje znikomy procent szans, że kiedyś uda się odtworzyć rodzimą populację i znów będą aktualne słowa XVII-wiecznej kroniki: „Pod Gryfibergą perły śliczne z rzeki Kwisy wyjmują, jak grochowe ziarna, tymi czasy”. 

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Ostatni dzwonek

Skoro ostatnie wybory parlamentarne odbyły się 13 października 2019 r., to pozostał nam mniej więcej rok do następnych.

O konkretnej dacie zdecyduje prezydent RP, który musi ustalić pełny kalendarz wyborczy. Jest tych czynności wiele, a każda z nich wymaga przestrzegania ścisłych prawnych procedur.

Szybkie i mądre wskazanie daty wyborów przez prezydenta jest więc niezwykle istotne nie tylko ze względu na konstytucyjny wymóg, ale również dlatego, że konkretyzują się niektóre postulaty dotyczące reformy kodeksu wyborczego, czyli ustawy regulującej całość prawa wyborczego w Polsce, a nawet pomysły zmiany ordynacji wyborczej, a więc zmiany konstytucji. Bo do tego prowadzi moim zdaniem bardzo wątpliwy prawnie pomysł procedowany obecnie w Parlamentarnym Zespole ds. Zmiany Ordynacji Wyborczej na Ordynację Mieszaną. Inicjatywa ta, firmowana przez Kukiz'15 i PiS, polega na zastosowaniu ordynacji proporcjonalnej tylko do połowy składu Sejmu, a do drugiej połowy ordynacji większościowej. Nie wybieralibyśmy 460 posłów (z 41 okręgów wyborczych), tylko 230, przy zachowaniu jak dotychczas metody d'Hondta dzielenia mandatów wśród komitetów, które zdobyły największe poparcie. Równocześnie w tych samych 41 okręgach wyborczych, podzielonych na 230 tzw. podokręgów, mielibyśmy wyłaniać pozostałych 230 posłów już bez stosowania metody proporcjonalnej, czyli metodą większościową, jak w wyborach do Senatu. Niby wszystko się zgadza, a jednak pomysł ten może być sprzeczny z konstytucją, która w art. 96 pkt 2 stanowi, że wybory do Sejmu są powszechne, równe, bezpośrednie i proporcjonalne. Nie wdając się w zawiłości prawne, już słyszę głosy licznych naszych konstytucjonalistów optujących „za, a nawet przeciw”.

Szef wspomnianego parlamentarnego zespołu, poseł Jarosław Sachajko, tłumaczy, że propozycja jest „bardzo rozsądna, żadna partia nie traci, a zyskują obywatele”. Moim zdaniem nic z tego nie będzie, gdyż konstytucja wyraźnie stanowi, że obowiązuje nas w wyborach do Sejmu zasada proporcjonalności, czyli każda partia polityczna otrzymuje mandaty w stosunku proporcjonalnym do liczby uzyskanych głosów. Podobnie sceptyczny jest prezes PiS Jarosław Kaczyński, który na spotkaniu w Radomiu dał do zrozumienia, że podczas tej kadencji nie dojdzie do wprowadzenia ordynacji mieszanej według koncepcji posła Pawła Kukiza. Byłoby dobrze, by Paweł Kukiz zrezygnował w końcu z pomysłu

Jak dowodzi praktyka, o wynikach głosowania decydują ci, którzy liczą nasze głosy

zmiany ordynacji wyborczej do Sejmu z proporcjonalnej na większościową. A koncepcja choćby tylko częściowego wprowadzenia ordynacji

większościowej w wyborach do Sejmu to kolejna próba przepchania ciągle tego samego utopijnego pomysłu pod nazwą jednomandatowe okręgi wyborcze. Chyba że Kukizowi chodzi o taki wynik wyborów do Sejmu, który ustalił się w ostatnich wyborach do Senatu. Dzięki ordynacji większościowej większość w Senacie uzyskała opozycja, obecne centrum totalnej opozycji, jakaś obca ekspozytura, skoro zastanawia się teraz nad uchwałą Sejmu w sprawie reparacji od Niemiec za skutki II wojny światowej.

Czy posłowi Kukizowi nie też nie mówi „demokratyczne” prawo wyborcze, które istnieje w Rosji? Połowę, bo 225 deputowanych do Dumy Państwowej wybiera się w wyborach proporcjonalnych z list partyjnych przy użyciu metody Hare'a-Niemeyera i przy progu wynoszącym 5 proc., a drugą połowę tworzą zwycięzcy wyborów większościowych w okręgach jednomandatowych. I tak się dziwnie składa, że na 450 deputowanych Dumy Państwowej Federacji Rosyjskiej wszyscy są gorącymi zwolennikami polityki Putina. Nikogo nie ma z prawdziwej opozycji. Nie w ordynacji zatem gwarancja demokracji, ale w systemie prawnym, rozwoju niezależnych partii politycznych, wiedzy i świadomości obywatelskiej społeczeństwa, a także w... technicznej stronie organizacji wyborów. Dlatego kolejny mocny argument za wyznaczeniem przez prezydenta takiego terminu wyborów, by była szansa wejścia w życie tych zmian w ordynacji wyborczej, które postuluje od lat Stowarzyszenie Ruch

Kontroli Wyborów, organizacja stojąca ponad partyjnymi układami. Liczne propozycje stowarzyszenia sprowadzają się do eliminowania możliwości fałszowania wyborów. Jak dowodzi praktyka, o wynikach głosowania decydują ci, którzy liczą nasze głosy. (Zdaje się, że tak samo mówił Józef Stalin).

Stąd o zamiar fałszowania wyborów opozycja już dziś oskarża rządzących. PiS zapowiada powołanie liczącego ponad 70 tys. ludzi Korpusu Ochrony Wyborów. Ze strony opozycji wyborów ma pilnować Komitet Obrony Demokracji, wyspecjalizowana w zadymach bojówka PO. Nie zapowiada się to dobrze.

Trzeba zatem jak najszybciej wprowadzić w życie postulaty Stowarzyszenia RKW, pamiętając, że zmiany nie mogą być dokonane później niż na rok przed terminem wyborów. To ostatni dzwonek wyborczy.

www.wojciechreszczyński.pl





Fot. Shutterstock

Warto pamiętać, że leśnicy opiekują się majątkiem całego narodu

Las jest dla wszystkich

W Polsce wstęp do lasu i korzystanie z jego dóbr jest bezpłatne. Większość polskich lasów należy do państwa. Naszym wspólnym dobrem gospodarują Lasy Państwowe. Gwarantują nie tylko trwałość polskich lasów, powiększanie i ochronę zasobów przyrodniczych, ale także inwestują w odpowiednią infrastrukturę zapewniającą bezpieczną turystykę i rekreację

Lasy to naturalne, zdrowe i atrakcyjne miejsce na poprawę kondycji, realizację pasji. Można tu spacerować, biegać, jeździć na rowerze, zbierać zioła, grzyby i jagody. Dzięki pracy leśników lasy w Polsce są w dobrym stanie i stale ich przybywa.

Lasy Państwowe prowadzą gospodarkę leśną zgodnie z zasadami zrównoważonego rozwoju. Dzięki temu są wykonywane różne funkcje lasów i pozwala to godzić związane z lasami potrzeby przyrodnicze, społeczne i gospodarcze.

W DREWNO BOGACI

Polska jest jednym z najbardziej zasobnych w drewno krajów Unii Europejskiej. Położenie w strefie klimatu umiarkowanego i konsekwentna polityka leśna, która zmierza do powiększania zasobów, sprawiły, że mamy lasy o bardzo wysokiej zasobności (ilość drewna na jednostkę powierzchni). Drewno to surowiec wyjątkowo atrakcyjny – względnie tani, w pełni ekologiczny i odnawialny. Nie tylko do budowy. Ceny drewna opałowego, które polskie nadleśnictwa od lat regularnie sprzedają zainteresowanym obywatelom, są konkurencyjne wobec cen innych źródeł energii. – Dostęp do drewna z polskich lasów w pierwszej kolejności mają obywatele naszego kraju, zarówno indywidualni nabywcy, jak i przedsiębiorcy – mówi Józef Kubica,

dyrektor generalny Lasów Państwowych. – Lasy Państwowe detalicznie sprzedają w nadleśnictwach drewno opałowe oraz w systemie elektronicznym drewno dla firm. Wprowadziliśmy regulację, które premiuje lokalny przerób drewna.

Drewno opałowe, sprzedawane po bardzo niskich cenach, to wręcz forma świadczenia społecznego. Średnia cena sprzedaży gałęzi opałowych wynosi jedynie 31 zł netto za 1 m³. To tylko o 2 zł więcej niż rok wcześniej. Ten rodzaj drewna jest przyszykowany samodzielnie przez kupujących. Grubsze drewno opałowe, przygotowane przez nadleśnictwa, kosztuje 120 zł za 1 m³ – tu podwyżka wyniosła 8 zł. To prawdopodobnie najtańsze surowce opałowe w Europie.

ŻYJĄCA FABRYKA

W związku ze wzrostem zainteresowania opalem drzewnym została wprowadzona regulacja, zgodnie z którą pierwszeństwo przy zakupie mają klienci indywidualni. Powiększenie puli dla odbiorców detalicznych będzie również możliwe przez planowaną sprzedaż drewna z cięć sanitarnych oraz uzyskanego z terenów kłęsk żywiołowych.

Las jest nie tylko ostoją zwierzyny, miejscem wycieczek czy dostawcą jagód i grzybów. To również wielka fabryka, regularnie wytwarzająca odnawialny i ekologiczny surowiec – drewno. 

BĄDŹ SOBĄ – PRZECZYTAJ

Robotnicy Pana Boga

Odchodzą uroczyście lub zupełnie bezszereśnie. Przekazują władzę i odpowiedzialność innym. Najczęściej idą klepać biedę. Mieszkać kątem i w samotności. Księża emeryci. Może co dziesiąty uciulał na mieszkanie w bloku, ale większość nie ma nic poza skromną emeryturą. Niektórych przysparza rodzina, innym pozwoli zostać nowy proboszcz, ale większość „nie chce sprawiać kłopotu” i usuwa się w cień.

Odeszli więc z parafii, z plebanii, nie bardzo wiedząc, co zrobić z dotychczasowym dobytkiem, biblioteczką, meblami. Odeszli w jeszcze większą samotność niż ta przypisana kapłaństwu. Niebawem w pamięci wiernych się zatrą, spłowieją, znikną. Nawet świątynie, które pobudowali, nie będą brzmieć ich imieniem. Odchodzą, a ich dalsze losy wiernych nie interesują. Był ten ksiądz, będzie następny, jeszcze następny, to w końcu troska biskupa i jego obowiązek, by zapewnić parafii obsadę.

Wielu, bardzo wielu trafia do domów księży emerytów. Trafiają zarówno ci bardziej rześcy, jak i ci z zaawansowaną demencją. Niektórzy jeszcze w dobrej formie, a inni z parkinsonem, nowotworem, niesprawnym aparatem słuchu, wzroku, gościem. Inni przykuci trwale do wózka inwalidzkiego. Niedołężnieją w samotności, a w domu dla emerytów niedołężnieją obok siebie.

Przemodlili z wiernymi i dla wiernych całe życie. 50, 60, 70 lat. Nie mają orderów ani medali. Swoje życie przeżyli dla innych.

Będą sprawować codzienną Eucharystię do końca swoich dni, dopóki będą mogli stać lub siedzieć na inwalidzkim wózku. Będą wznosić chleb i wino tak długo, jak tylko starość, rak czy parkinson pozwolą.

Dotkliwie przeżywają brak kontaktu z wiernymi. I nie tylko chodzi tu o msze, nie tylko o spowiedzi, ale o wszystkie inne okazje do spotkań. O te radosne, jak śluby i chrzciny, i te nieradosne, jak ostatnie namaszczenie, pogrzeby. W naukach społecznych mówimy o deficycie audytorium.

Swoją posługę rozumieli bardzo szeroko. Na tyle szeroko, że ocalili ważny fragment polskiej tożsamości, polskiej tradycji, a także języka. To jedyna część polskiej inteligencji, która nie zdradziła Polski, nie knuła z okupantem jednym



Aleksander
Nalaskowski

*Ilu z nas odwiedziło
byłego proboszcza,
ilu próbowało się
dowiedzieć, co się z nim
dzieje? Ilu zaprosiło
na wigilię? Naprawdę
jesteśmy im to winni*

czy drugim, stawiała opór ubekom i esbekom. Za to siedzieli w ubeckich kazamatkach albo jak ks. Blachnicki, ks. Suchowolec, ks. Zych czy ks. Popieluszko ginęli z rąk władzy ludowej. Nie wszyscy kapłani byli bohaterami, nie wszyscy byli bezgrzeszni, to prawda. Ale to absolutne wyjątki i nie zmieni tego ani western Smarzowskiego, ani donosy Sekielskich.

Czytam czasem doniesienia lokalnej prasy, że miejscy oficjele spotykają się z małżeństwami z 50-letnim i dłuższym stażem, dekorują je medalami, częstują szampanem, dziękują „za wkład”. A w czym gorsi są księża jubilaci, staruszkowie w koloratkach i wytartych sutannach? Czy ich ogromny wkład

w moralne kształtowanie Polaków, w polską kulturę, w dbałość o powierzone im zabytki nie jest wart dostrzeżenia? A wkład w wychowanie młodzieży? Ilu księży wyróżniono w Dniu Nauczyciela?

Wiedzą, jaki krzyż wybrali i nie narzekają. Nie słyszałem słowa skargi, utyskiwania. Jeśli już to tylko niepokój o zdrowie, które nie pozwala w pełni kontynuować kapłańskiego dzieła.

Ilu z nas odwiedziło byłego proboszcza, przesłało mu życzenia świąteczne, symboliczny prezent pod choinkę. Ilu z nas w ogóle próbowało się dowiedzieć, dokąd „wyparował” i co się z nim dzieje?

Ilu zaprosiło na wigilię? Naprawdę jesteśmy im to winni. Jesteśmy wszystkim tym emerytowanym kapłanom winni szacunek i miłość takie, jakie żywimy wobec własnych rodziców.

Ile jest w Polsce domów księży emerytów? Nie wiem. Pewnie z pół setki. Ale warto, by chociaż jeden znalazł się na liście dobroczynności każdego z nas. I wcale nie chodzi o datki pieniężne, ale o zwykłą pamięć i okazywanie wdzięczności, o zaproszenie na lody i kawę na starówkę, na przejażdżkę nad jezioro, o zaproszenie na imieniny albo wielkanocne śniadanie.

Wysłuchajmy ich opowieści o życiu, przytulmy do serca z wdzięcznością za dekady kapłańskiej posługi. Wszyscy oni są nasi i w ten sposób pokażemy, że jesteśmy ich warci. Teraz, kiedy są już starzy, bądźmy ich Cyrenejczykami.

JUŻ 6 LISTOPADA
Z TYGODNIKIEM *NIEDZIELA*

BIAŁO-CZERWONA CHORĄGIEWKA!

Przekazujemy ją z gorącym apelem, by 11 listopada,
w Narodowe Święto Niepodległości, umieścić tę chorągiewkę
w widocznym miejscu: w oknach naszych domów,
na balkonach czy za szybami samochodów.
Pokażmy, jak bardzo jesteśmy dumni
z naszej ojczyzny!



DUMNI Z BIAŁO-CZERWONEJ



JAN POSPIESZALSKI

Komu przeszkadza edukacja domowa?

Znajomi, którzy uczą dzieci w domu, mówią, że w ten sposób udało się uniknąć ich uzależnienia od smartfonów, kontaktu z używkami czy pornografią

Kilka dni temu środowisko edukacji domowej zostało zaalarmowane projektem nowelizacji ustawy Prawo oświatowe, który w sposób niezrozumiały zmienia zapisy dotyczące nauczania w domu. Projekt został od razu skierowany do pierwszego czytania w komisjach. Niepokój rodziców budzą zapisy, które – gdyby weszły w życie – dla wielu placówek byłyby niewykonalne. Np. wymóg posiadania warunków sprzętowych i lokalowych, by zapewnić naukę w trybie stacjonarnym wszystkim swoim uczniom, gdyby cofnięto zgodę na edukację w domu.

Przykładem może być mała szkoła w Beskidzie, gdzie w trybie stacjonarnym uczęszcza 50 dzieci, a w systemie domowym uczy się 10-krotnie więcej. Niemożliwe jest zapewnienie takiej liczbie uczniów klas i wyposażenia. Ponadto odległość. W beskidzkiej placówce uczą się i zdają egzaminy np. dzieci z kujawsko-pomorskiego. Ustawodawca chyba o tym pomyślał, ponieważ jeden z zapisów zakłada, że szkoła może przyjąć uczniów tylko z terenu tego samego województwa.

Kolejne ograniczenie przewiduje, że liczba uczniów, którym wydano zgodę na realizację obowiązku szkolnego poza szkołą, nie może przekraczać 50 proc. wszystkich uczniów placówki. Zatem ta szkoła w Beskidzie, gdzie jest 50 dzieci,

nie może mieć więcej niż 25 uczniów w edukacji domowej. Niezrozumiały wydaje się też wymóg zawiadomiania kuratorium oświaty o każdym egzaminie końcowo-rocznym ucznia z 14-dniowym wyprzedzeniem. Jeśli ma to być pomysł ściślejszego nadzoru, to przecież arkusze, dziennik, dyktanda i inna dokumentacja są archiwizowane i dostępne w placówce prowadzącej, zatem trudno to interpretować inaczej jak przejaw braku zaufania.

Środowisko próbuje znaleźć odpowiedź, co lub kto stoi za tak antywolnościowym i antyedukacyjnym projektem. W kuluarach Sejmu mówi się, że MEN w ten sposób próbuje jakoś zareagować na tzw. szkołę w chmurze, czyli problem, który resort sam stworzył, zamykając szkoły i skazując dzieci na zdalne nauczanie. To jednak typowe wylewanie dziecka z kąpielą. Procedowane ograniczenia są etatystyczne, sprzeczne z polskim, republikańskim, wolnościowym duchem. Niedostrzeganie korzyści, które przynosi dzieciom edukacja domowa jest zjawiskiem typowym dla etatystów, którzy muszą mieć wszystko pod kontrolą. W Niemczech, gdzie edukacja domowa jest zakazana, za nieposyłanie uczniów do szkół grozi odebranie dzieci, a rodzice mogą trafić do więzienia.

Oczywiście domowe nauczanie to pomysł nie dla wszystkich. To spory wysiłek dla rodziców, którzy muszą wziąć na siebie obowiązek towarzyszenia dziecku w procesie nauczania, a jest to niemal dodatkowy etat. Korzyścią jest coś bezcennego, czyli czas spędzony razem, a w efekcie więź, która chroni dzieci przed patologiami sze-

rzącymi się w systemowych szkołach. Ale też przed nasileniem genderowej demoralizacji, która może przyjść wraz ze zmianą władzy. Znajomi, którzy uczą dzieci w domu, mówią, że w ten sposób udało się uniknąć uzależnienia ich dzieci od smartfonów, kontaktu z używkami czy pornografią. Edukacja w domu opóźnia też pojawienie się wielu problemów, które w okresie dojrzewania mogą popychać młodzież do ryzykownych zachowań. Gdy te nieuchronnie przyjdą, młodzi będą już nieco dojrzalsi.

Edukatorzy domowi zwracają uwagę na wiele innych zalet. Elastyczny czas nauki. Można skoncentrować się na jednym przedmiocie i poświęcić mu np. dwa miesiące, a potem po przerobieniu zdać egzamin i przejść do innych. Cenią sobie to szczególnie rodzice dzieci rozwijających pasje muzyczne czy sportowe. Ponadto nauczyciel w klasie musi uwzględnić ograniczenia mniej zdolnych, tu rodzic sam rozpoznaje problem. Efekty są widoczne. Zdawalność egzaminów w nauczniu domowym jest lepsza niż w systemie. Egzaminatorzy zwracają uwagę, że dzieci są bardziej kreatywne, rzadziej posługują się schematami.

Projektowana zmiana jest dla MEN strzałem w kolano. Wobec lewicowych, ulicznych burd, wobec protestów przeciw „lex Czarnek”, katechezie w szkołach, podręcznikowi prof. Roszkowskiego resort produkuje sobie opozycję po stronie konserwatywnej. Rodziny korzystające z domowego nauczania to zwykle ludzie wierzący, z silną patriotyczną identyfikacją. Dziś PiS robi wiele, by utracić ten elektorat. /

Nowi kandydaci do parlamentu

Kolejne ważne wydarzenie w życiu naukowym kraju, promieniujące na politykę. Przed trzema tygodniami jeden z wykładowców Uniwersytetu Warszawskiego, wybitny prawnik tej uczelni prof. dr hab. Sławoj Brocki otrzymał doroczną nagrodę w kategorii „Nauka w życiu społecznym” belgijskiego stowarzyszenia pracowników nauki Progres. Polski laureat tegorocznej nagrody jest znany z happeningów popierających ruchy narodowo-separatystyczne w świecie.



**Jerzy
Jachowicz**

Wielu Polaków oglądających telewizyjne programy informacyjne zapewne ma jeszcze w oczach obraz mężczyzny, stojącego na pl. Konstytucji w Warszawie, ubranego w buddyjski strój. Naprzeciwko niego był ustawiony manekin wielkości człowieka, przyodziany w czarną szatę. Twarz miał przesłoniętą maską ucharakteryzowaną na Frankensteina z ery niemieckiego ekspresjonizmu w kinie. Na piersiach kołysała się duża plansza z napisem „Chiny jak PiS”.

„Buddysta”, którym był prof. Brocki, wznosząc okrzyk: „Za wolność Tybetu i ludzkie prawa!”, co pewien czas atakował manekina typowymi dla różnych stylów walk Wschodu bly-

skawicznymi, ale pełnymi gracji ruchami. Następnie odskakiwał na kilka metrów, unosząc wysoko ponad głowę ręce z dwoma palcami w kształcie litery V. A że zbliżało się popołudnie, często otrzymywał od zatrzymujących się przechodniów brawa za nieustępliwość i sprawność fizyczną w walce o wyższe wartości, rzadko dostrzegane w tym ruchliwym i często uczęszczanym przez turystów punkcie stolicy. I oczywiście za każdym razem za zwycięski gest, potwierdzający, że jego wysiłki nie idą na marne. Największe zainteresowanie budził u dzieci, które szły ze swoimi opiekunami.

Wielu chłopców ze starszych klas, wracających samodzielnie, było przekonanych, że człowiek przebrany za buddystę prowadzi nabór na szkolenia karate lub modnego ostatnio taekwondo. Toteż podchodzili i pytali go, w jaki sposób mogą się zapisać na kursy tych walk.

Jak się dowiedzieliśmy, swoją działalnością, popartą wyróżnieniem zagranicznej organizacji, profesor UW wdarł się przebojem na listy Platformy Obywatelskiej w najbliższych wyborach.



**Adam
Ciesielski**

Hołd dla Paderewskiego

Przypadająca 6 listopada 162. rocznica urodzin Ignacego Jana Paderewskiego (1860–1941) ożywia pamięć o tym charyzmatycznym muzyku i polityku. Nigdy dość wyrazów wdzięczności za to, co zrobił dla odzyskania przez ojczyznę niepodległości

Postać wielkiego Polaka przywołuje organizowany co trzy lata (w tym roku w dniach 6–20 listopada) Międzynarodowy Konkurs Pianistyczny im. Ignacego Jana Paderewskiego w Bydgoszczy. Corocznie natomiast odbywa się w Warszawie Międzynarodowy Festiwal Paderewskiego. Obecna, dziewiąta edycja tej imprezy – animowanej przez Fundację Ave Arte przy wsparciu Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego – obejmuje cykl bezpłatnych koncertów w dniach 4–9 listopada.

Bogaty program tegorocznego festiwalu zainauguruje koncert 4 listopada na Zamku Królewskim. Otworzy go występ Morpheus Saxophone Quartet (Wojciech Psiuk, Szymon Nidzworski, Grzegorz Bil, Jakub Wydrzyński). W drugiej części przewidziano recital sopranistki Joanny Freszel z towarzyszeniem pianisty Łukasza Chrzęszczyka. W repertuarze wieczoru znaczące miejsce znajdą oczywiście utwory Paderewskiego. Podobnie z koncertami w Studiu Koncertowym Polskiego Radia im. Luto-

ślawskiego. 5 listopada wystąpi tam orkiestra Sinfonia Iuventus pod dyrekcją Marka Wroniszewskiego oraz śpiewacy operowi, a 8 listopada – Polish String Quartet Berlin (Tomasz Tomaszewski, Piotr Przystałek, Sebastian Sokół, Maryjka Pstrokońska-Modig).

Z dalszych atrakcji intrygująco zapowiada się koncert Paderewski Jazz Inspiracje 9 listopada w pałacu w Wilanowie. Zagra Piotr Baron Quintet, w którym obok lidera występują Marcin Jahr, Maciej Adamczak, Piotr Wyleżół i Robert Majewski. W interpretacji znakomitych jazzmanów usłyszymy nokturn B-dur Paderewskiego, „Rotę” Nowowiejskiego, „Arie z kurentem” Moniuszki, a także „Opowiadaj mi tak” i „Lubię wracać” Zbigniewa Wodeckiego. Zabrzmie ponadto „Melodia a-moll” Mirosława Skoryka i będzie to jeden z wielu akcentów solidarności z Ukrainą na warszawskim festiwalu.

**IX Międzynarodowy Festiwal Ignacego
Jana Paderewskiego**

4–9 listopada 2022, Warszawa.

Szczegółowy program na stronie:
www.avearte.pl, rezerwacja bezpłatnych
wejściówek: rsup@avearte.pl
lub tel.: 606 386 687



OGNIEM NA WPROST

Szatan i hurysy



Władimir Putin, zawód wyuczony – leningradzki żul, zawód wykonywany – prezydent Federacji Rosyjskiej, nie jest zadowolony z propagandowej retoryki Kremla przedstawiającą napad na Ukrainę jako „operację specjalną przeciwko nazistom”. Okazuje się, że taka terminologia „nie żre” i jak śpiewał Jacek Kaczmarski w utworze o siedmiu kręgach piekła w Sowietach: „Nie! W tej formie to nie może wcale pójść”. Idąc za radą Nikołaja Platonowicza Patruszewa, polityka i generała, a także byłego dyrektora rosyjskiej Federalnej Służby Bezpieczeństwa, postanowiono przededefiniować słownictwo i treść wyjaśniającą własny bandycki napad na sąsiedni kraj. Teraz to już nie jakaś tam „operacja specjalna przeciwko nazistom”, lecz walka z ukraińską „totalitarną hipersektą”, która odprawosławia Ukrainę. Temat rozwinął Aleksiej Pawłow, doradca sekretarza Rady Bezpieczeństwa Federacji Rosyjskiej Dmitrija Miedwiediewa. Oznajmił on mianowicie, że na Ukrainie powstały setki totalitarnych sekt, a tamtejsi obywatele zostali zmuszeni do porzucenia wartości prawosławnych. Według tej porąbanej koncepcji Rosja nie ma po prostu wyboru i musi ratować Ukrainę, przeprowadzając już nie „denazyfikację”, ale „desatanizację” za pomocą bombardowań, czołgów i rzezi ludności cywilnej. Teraz bojcy dostali nową misję walki z Antychrystem i satanistami. Ponieważ cały Kreml jest mocno na bakier z Ewangelią, to tamtejsi domorośli pseudochrześcijanie nie wiedzą, że wypędzanie złego ducha za pośrednictwem innego złego ducha jest głęboko przeciwnie skuteczne.

Caly czas trwa „himarsowanie” kacapskich jednostek, czyli precyzyjne ostrzeliwanie wybranych celów przez dostarczone Ukraincom amerykańskie wyrzutnie rakietowe uzbrojone w kierowane pociski GMLRS. Ostatnio odpalili salwę na wieś Kairy (obwód chersoński), znajdującą się po wschodniej stronie Dniepru. Konkretnie na opuszczony zespół szkół, do którego wprowadzili się Czezeńcy tiktokowego generała (pogardliwa nazwa Ramzana Kadyrowa), myśląc, że po drugiej stronie rzeki jest bezpiecznie. Nic bardziej mylnego. W skutek ostrzału zginęło ok. 40 kadyrowców, a 60 nie dostąpiło przyjemności wynikających ze spotkania z rajskimi hurysami, bowiem zostali tylko ranni. Tymczasem troje nastoletnich synów Kadyrowa przeżyło się przed obiektami kamer w okolicach Mariupola – 80 km od linii frontu, pozując na bohaterów. W „ciemkach” (okulary Ray-Ban) i z karabinkami szturmowymi w garści wyglądali na TikToku bojowo. Po masakrze we wsi Kairy tatuś natychmiast kazał ubrać „książątka” w cywilne ciuchy i wysłał je pierwszym samolotem z Krymu na bliskowschodni odpoczynek. Widać, że ojciec dba o moralność swoich pociech, bo wyraźnie uznał, że są jeszcze za młodzi na spotkanie z 70 dziewczycami w raju Allacha.

System komunikacji satelitarnej Starlink firmy SpaceX odgrywa bardzo ważną rolę dla zagrożonej w wojnie Ukrainy. Od 24 lutego otrzymała ona ok. 20 tys. urządzeń Starlink, z czego 5 tys. – z pomocą Amerykańskiej Agencji Rozwoju Międzynarodowego (USAID), kolejne 5 tys.

– z pomocą rządu polskiego. Ponadto w sierpniu za pieniądze zebrane przez Ukraińców w ramach kampanii Bayraktar Ludowy – 600 mln hrywien – zakupiono na ponad rok dostęp do informacji z konstelacji satelitów fińsko-polskiej firmy ICEYE, a także pełny dostęp do jednego z satelitów przed zakończeniem jego funkcjonalności na orbicie. Firma ICEYE jest światowym liderem w dziedzinie monitoringu z wykorzystaniem technologii radarowej (SAR), a jej satelity zostały umieszczone na orbicie z wykorzystaniem rakiety Falcon 9, należącej do SpaceX – firmy Elona Muska. Sam miliarder miał ostatnio chwilę słabości, kiedy zaproponował Kijowowi rozmowy pokojowe. Kiedy spotkał się z odmową, obraził się na Ukraińców. Zapewne po stwierdzeniu Andrija Melnyka, byłego ambasadora w Berlinie: „Sp...łaj”. Jednak po „szczerzej” rozmowie z przedstawicielami Departamentu Stanu USA zmienił zdanie i wrócił do pełnej współpracy z Ukrainą. A sprawa jest poważna, ponieważ armia Kijowa w odróżnieniu od Moskali w ogóle nie używa radiostacji. Po prostu łatwo je podsłuchać. Cały ukraiński system łączności opiera się na Starlinku. Dlatego – jak donosi „Kommiersant” – zastępca szefa Departamentu ds. Nieprolifracji i Kontroli Zbrojeń Ministerstwa Spraw Zagranicznych Rosji Konstantin Woroncow, postraszył na posiedzeniu ONZ, że „komercyjne satelity Stanów Zjednoczonych i ich sojuszników mogą stać się uzasadnionymi celami ataków odwetowych Rosji, jeśli zostaną wykorzystane do pomocy w wojnie na Ukrainie”. A zestrzelujecie sobie. USA tylko na to czeka, żeby tę waszą kosmiczną „technikę” zamienić w złom. Nie dość, że jesteście głusi, to jeszcze będziecie ślepi.

Andrzej Rafał Potocki

Transformacja – wyzwanie, któremu sprostają najwięksi

Tylko silny koncern multienergetyczny będzie w stanie dokonać skutecznej transformacji w sektorze energetyczno-paliwowym – przekonywał podczas tegorocznego Krynica Forum '22 Daniel Obajtek, prezes PKN Orlen



Fot. Konrad Lechński

farmy wiatrowej Orlenu o mocy do 1,2 GW, która zgodnie z planem rozpocznie pracę już w 2026 r., wyniesie ok. 140 mld zł.

CO ZMIENIA WOJNA

Z kolei Piotr Sabat, członek zarządu PKN Orlen ds. rozwoju, mówił podczas Krynica Forum '22 o skutkach kryzysu wywołanego przez agresję Rosji na Ukrainę. Wskazał przede wszystkim na przyspieszenie inwestycji w odnawialne źródła energii oraz zawieranie nowych sojuszy biznesowych, zapewniających szeroko rozumiane bezpieczeństwo energetyczne.

Jak podkreślał, Orlen już od kilku lat konsekwentnie dywersyfikuje źródła dostaw ropy, zmniejszając udział surowca z kierunku wschodniego do 30 proc. w br. – Przede wszystkim postawiliśmy na strategiczny sojusz z Saudi Aramco – mówił wiceprezes Sabat. – Gdy Rosja zaatakowała Ukrainę, natychmiast wstrzymaliśmy spotowe zakupy rosyjskiej ropy, dostarczanej statkami.

Piotr Sabat odniósł się także do sankcji UE nałożonych na Rosję, m.in. wstrzymania w grudniu importu ropy drogą morską do Europy. – Dostosujemy się do prawa sankcyjnego i wszystkich ustaleń z niego wynikających – zapewniał.

JAK ODCZAROWAĆ ATOM?

Karol Wolff, dyrektor Biura Strategii i Projektów Strategicznych PKN Orlen, zapowiedział podczas Krynica Forum '22, że pierwszy mały reaktor atomowy (SMR) zostanie uruchomiony w 2030 r. – Zdajemy sobie sprawę, że taki projekt oznacza wiele wyzwań, i to nie tylko typowo technologicznych, wymaga czasu i przeszkolenia kadry, ale jesteśmy doskonale przygotowani i sprostawy tym wyzwaniom – zaznaczył.

Dyrektor Wolff uważa, że w obecnej sytuacji największym wyzwaniem jest połączenie bezpieczeństwa energetycznego z transformacją, a energia z OZE oraz energia jądrowa produkowana na miejscu, czyli u nas w kraju, są szczególnie ważne w kontekście ochrony klimatu.

Argumentował, że reaktory modułowe jako niewielkie jednostki wytwórcze, nie tylko zapewniają produkcję zeroemisyjną i spełniają warunek dekarbonizacji. – Są korzystnym rozwiązaniem dla zakładów przemysłowych. W procesach technologicznych mamy duże, stałe zapotrzebowanie na ciepło. W tym przypadku odpowiedź ze strony OZE może nie być wystarczająca – dodał dyrektor.

AŁ

Krynica Forum '22, wydarzenie zorganizowane po raz pierwszy przez Instytut Kościuszki, odbyło się pod hasłem Wzrost i Odbudowa. Głównymi tematami były bezpieczeństwo i transformacja energetyczna w kontekście idei gospodarki zeroemisyjnej.

Prezes Daniel Obajtek na kongresie w Krynicy przedstawił wizję rozwoju PKN Orlen i strategię inwestycyjną w związku z wyzwaniami, które niesie polityka ochrony klimatu. – Zmiany są konieczne. Możemy dokonać transformacji energetycznej i zmieniać rzeczywistość tylko jako jedna, silna grupa – stwierdził. – Realizujemy procesy akwizycyjne i inwestycje nie tylko po to, by rosnąć. Istotą naszych działań jest budowa koncernu multienergetycznego, którego wielkość zabezpieczy możliwość przeprowadzenia transformacji. A jest to proces, który będzie kosztował setki miliardów złotych – mówił prezes Obajtek, podkreślając, że przychody nowej Grupy Orlen, po połączeniu z Energa, Lotosem, a wkrótce także z PGNiG, będą przekraczały 400 mld zł rocznie. – To ważne, by Polska miała atrakcyjne firmy o takim bilansie finansowym, który pozwoli tworzyć z innymi podmiotami wspólne przedsięwzięcia biznesowe – dodał.

– Parę lat temu Orlen przeznaczał na inwestycje od 2 do 4 mld zł rocznie, teraz ponad 15 mld zł, a w przyszłym roku będą to 23 mld zł – dodał Daniel Obajtek. Wymienił największe projekty w obszarze rafinerii i petrochemii, a także nowoczesnej energetyki, w tym m.in. inwestycje w bloki gazowe oraz SMR i MMR, czyli małe i mikroreaktory jądrowe. Prezes Orlenu podkreślał także znaczenie budowy farm wiatrowych na Bałtyku dla dalszego rozwoju OZE w Polsce. Orlen jest liderem w tym procesie spośród wszystkich firm inwestujących w offshore na polskiej części Bałtyku. Wartość

Rysuje **Jerzy Wasiukiewicz**



TRENDY I OWĘDY

Jaskółki praworządności?

Ostatnio zapadły dwa wyroki, które zdecydowanie odbiegają od średniej w naszym kraju

Pierwszy wyrok, proszę usiąść wygodnie, mec. Roman Giertych przegrał z red. Cezarym Gmyzem!!! Pan mecenas poczuł się zniesławiony, komentarzami dotyczącymi afery Polnordu i zatrzymania go przez CBA. Jako osoba z praktyką na sali sądowej śmiało zażądał od dziennikarza 200 tys. zł, a co więcej – chciał kary więzienia. Pewny swego dworował sobie na Twitterze: „Proszę nie płakać, jak okaże skruchę, wyda swoich mocodawców i przeprosi, to może zgodzimy się na rok prac społecznych. Proponowałbym po 20 godzin tygodniowo pracy w ośrodku leczenia uzależnień”. Sprawa wyglądała na przesadzoną. A tu ta da dam! Roman Giertych przegrał i musi jeszcze ponieść koszty procesu! To jednak jest dopiero preludium. Prawdziwa bomba będzie teraz.



Ryszard Makowski

Pani Barbara Piela, autorka „Plastusiów”, perfekcyjnie wykonanych kukiełek, za pomocą których komentuje satyrycznie naszą rzeczywistość, pozwała Jerzego Owsiaka – tak, tego Jerzego Owsiaka – ponieważ po jednej z jej animacji oskarżył ją o faszyzm, antysemityzm i przyczynienie się do śmierci Pawła Adamowicza. A jak! Co sobie miał żałować. I nie uwierzą państwo. Jerzy Owsiak przegrał. I musi przeprosić! I to nie tak: przeproszam... Jak napisała, oczywiście na TT, pani Barbara Piela: „Przeprosiny na antenie TVN (godz. 20.00 każdy wtorek i czwartek przez kilka tygodni – o ile dobrze zapamiętałam), na portalu Onet Kultura i »Newsweek«”.

Miejmy nadzieję, że to nie były pomyłki sądowe, ale puka do nas elementarna sprawiedliwość.

Michał Korsun prezentuje: *Następna w kolejce*

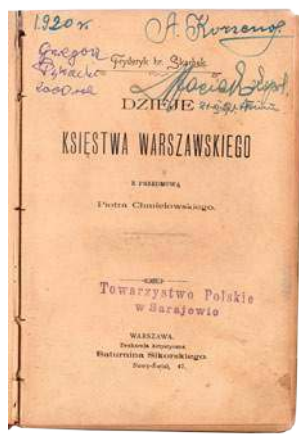
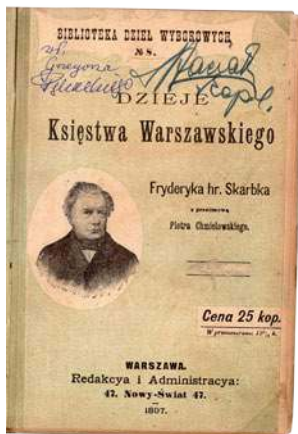


Collage Shutterstock

Wycinki z przeszłości

Sprawa książki z pieczęcią polskiej lwowskiej czytelnicy, którą prezydent Francji Emmanuel Macron wręczył papieżowi Franciszkowi, przypomina, jak wiele można wyczytać z bibliotecznych adnotacji, ekslibrisów, zapisków kolejnych właścicieli. Tego typu didaskalia dają często książce dodatkowy, bardzo ciekawy przekaz. W naszej bibliotece znajduje się taki przykład, pozycja kupiona w antykwariacie. To wydane w Warszawie w 1897 r. „Dzieje Księstwa Warszawskiego”. Jak wynika z pieczętki, książka była własnością Towarzystwa Polskiego w Sarajewie. Jak tam zawędrowała? Jak z powrotem trafiła do Warszawy? Kim byli kolejni właściciele? Może ktoś z państwa coś kojarzy? Jeśli tak, prosimy o list do redakcji lub wiadomość na adres mejlowy: redakcja@wpolityce.pl (w obu przypadkach z dopiskiem „Wycinki z przeszłości”).

(mk)



Piosenka na zaduszki

Ze wspomnieniem tej piosenki i wspólnych jej wtedy wykonawców: Ewy D., Piotra S., Wieśka D., Krzyśka L., Haliny W., i tych, którzy nie śpiewali, ale byli z nimi... obok.



Leszek Długosz

W połowie lat 60. Zygmunt Konieczny, początkujący kompozytor, napisał muzykę do wiersza znalezionej w wychodzącym wtedy tygodniku kulturalnym „Współczesność”. Jak na słowa piosenki – wybór oryginalny. Powstał utwór oszczędny, o wyjątkowej sile wyrazu. Wykonywany unisono przez cały ówczesny zespół piwniczny, po „żywiolach kabaretowych”, na końcu, jako finałowa deklaracja, robił wielkie wrażenie. Na zużytych, zdemolowanych resztkach wcześniejszej dekoracji cały zespół stał do wyrażenia tej egzystencjalnej deklaracji. Do zaświadczenia znikomości, ale też uporczywości ludzkich usiłowań. Tak jest tam do dziś? Mijają pokolenia... Ta piosenka rozbrzmiewa, jest i biegnie dalej?

Janusz Jęczyński (1938–2008)

„Przychodzimy, odchodzimy...”

*Przychodzimy, odchodzimy
Leciuteczko na paluszkach
Szczotkujemy, wycieramy
Buty nasze, twarze nasze
Żeby śladów nie zostawić
Żeby śladów nie zostało*

*Miasta nasze, domy nasze
Na więzi się kołyszą
Tuż nad ziemią ledwo, ledwo
Jak wiatr mały to nie widać
A jak wielki wiatr się zdarzy
Wielka bieda puszcza cumy
Zatrzepocą się, zatańczą
Miasta nasze, domy nasze
I polecą w stratosferę*

*Przygarbionych w pustym polu
Bez oparcia bez osłony
Bez niteczki choćby, coby
Przytwardzała nas do ziemi
Wiatr nas porwie i poniesie
Za kohnierze podniesione
Porzrzuca gdzieś w przestrzeni
Nam to nic, przeczekamy*

*Aż się skończy, aż ucichnie
To wstaniemy, otrzepiemy
Kłapy nasze, rączki nasze
Żeby śladu nie zostało
Od początku zbudujemy
Miasta nasze, domy nasze
Sprzęty nasze, lampy nasze
Żeby wiatr miał czym kołysać*

Zamów Prenumeratę! Według nowego cennika

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	82 zł	149 zł	265 zł
WŚIECI HISTORII	–	34 zł (3 wydania)	59 zł (6 wydań)
pakiet SIECI i WŚIECI HISTORII	–	169 zł (w tym 3 wydania WŚIECI HISTORII)	295 zł (w tym 6 wydań WŚIECI HISTORII)

*dane do przedruku w stopce redakcyjnej

OD A DO ZYBERTOWICZÓW

Odległość kilku kliknięć

Znany i bez wątpienia kontrowersyjny francuski pisarz Michel Houellebecq – lat 66, jak by się kto pytał – swoją najnowszą i już wydaną po polsku, szybciej niż np. w języku holenderskim, powieść zatytułował „Unicestwianie”. Wśród bohaterów znajdujemy pielęgniarkę Maryse, imigrantkę z afrykańskiego kraju Benin, która pracuje w domu opieki nad chorymi starcami. (Warto było przypomnieć, ile lat ma pisarz, prawda?)

STARCY

Oto fragment doświadczeń Maryse: „Prawie wszyscy pacjenci, którzy nie mogli wstawać, cierpieli z powodu koszmarnych odleżyn. Miała 10 minut na umycie każdego, zdecydowanie za mało, wielu z nich nie wstawało nawet do toalety, ciągle ktoś do niej dzwonił na komórkę, chorzy wołali z pokoiów, żeby ktoś przyszedł się nimi zająć; kiedy wracała, często się okazywało, że któryś staruszek nie wytrzymał, obsrał siebie i podłogę, musiała to wszystko sprzątać, a gównem i obsrane prześcieradła to nic przyjemnego, ale najgorszy był ich błagalny wzrok, kiedy wchodziła do pokoiów, i te ich słowa: »Pani jest taka miła«. W tym miejscu pisarz przedstawia odczucia Maryse: „U niej, w Afryce, coś takiego byłoby nie do pomyślenia, jeśli tak ma wyglądać postęp, to nic nie jest wart”.

Ten fragment książki u każdego z nas wywołał inne skojarzenia. Uwagę A. przyciągnął motyw postępu. Oto wystarczy niedolę starszych ludzi wypchnąć poza horyzont tego, co widzialne (oczywiście nie ma tu żadnej cenzury, to po prostu naszych widzów nie interesuje – mówią szefowie mediów), by blask postępu, zwłaszcza technologicznego, był niekwestionowany. A, jak się zdaje, taki los starców – wygnanych z dużych, często bardzo dużych, nowoczesnych domów przez swoje dzieci i wnuki – nie jest w krajach *wysoko rozwiniętych* niczym



*Czy cierpienia, milczące,
błagalne spojrzenia
gasnących starców
należą do kosztów, które
cywilizacja naukowo-
techniczna, dziś cyfrowa,
płaci za swój rozwój?*

nadzwyczajnym. Raczej jest doświadczeniem milionów ludzi.

KOSZT POSTĘPU

Czy cierpienia, milczące, błagalne spojrzenia gasnących starców należą do kosztów, które cywilizacja naukowo-techniczna, dziś cyfrowa, płaci za swój rozwój?

Czy osłabienie, a często i rozpad więzi rodzinnych muszą koniecznie wynikać z dynamiki kapitalistycznej gospodarki? Czy podobnie jest w zaawansowanych gospodarczo demokracjach Orientu – w Japonii, Korei Południowej, na Tajwanie? W każdym razie na Zachodzie coś jest nie halo z tym postępem.

„NIE DO POMYSŁENIA”

Z kolei uwagę K. przyciągnęły słowa, że w Afryce „coś takiego byłoby nie do pomyślenia”. Pierwsza reakcja to pytanie: jak długo jeszcze nawet tam, gdzie nadal istnieją tradycyjne więzi klanowe, umieranie w zapomnieniu jest *nie do pomyślenia*?

A w ogóle co jest jeszcze nie do pomyślenia dla człowieka, który ma w ręce smartfon! Komputer podłączony do internetu – oto nasza codzienność. Tu zaledwie kilka kliknięć dzieli nas od najwspanialszych wzlotów ludzkiego ducha i umysłu, ale też podobna odległość dzieli nas od najgorszych paskudztw, do których nasz gatunek jest zdolny.

To ta przestrzeń cyfrowych impulsów powoduje, że do pomyślenia – tj. do przyzwolenia, do oswojenia się, bo to przecież ma na myśli afrykańska pielęgniarka – jest już niemal wszystko. Każde okropieństwo i cierpienie, każde zapomnienie. Rzeczy straszne będące ludzkim wytworem zdarzały się ludzkości zapewne w każdej epoce, ale przez wieki potrafiłszy przed paskudztwami chronić nasze dzieci i młodzież. Skończyło się to wraz ze smartfonem w każdej kieszeni. I nigdy wcześniej to, co najgorsze, nie było tak blisko naszych oczu.

ILUZJA SWOBODY

Ktoś powie: przecież mając smartfon w ręku, nikt nie zmusza nas, byśmy wchodzili w kontaktem ze złem, byśmy się psychicznie degradowali. Ale to iluzja, że surfowanie po internecie polega na wolnym wyborze. Umysł biegnie ku temu, co łatwiejsze w odbiorze, wygodniejsze i atrakcyjniejsze. A tor tego biegu wyznaczają algorytmy, których nie znamy i którymi zarządza ktoś, kogo demokratyczne państwa nadal nie potrafią kontrolować.

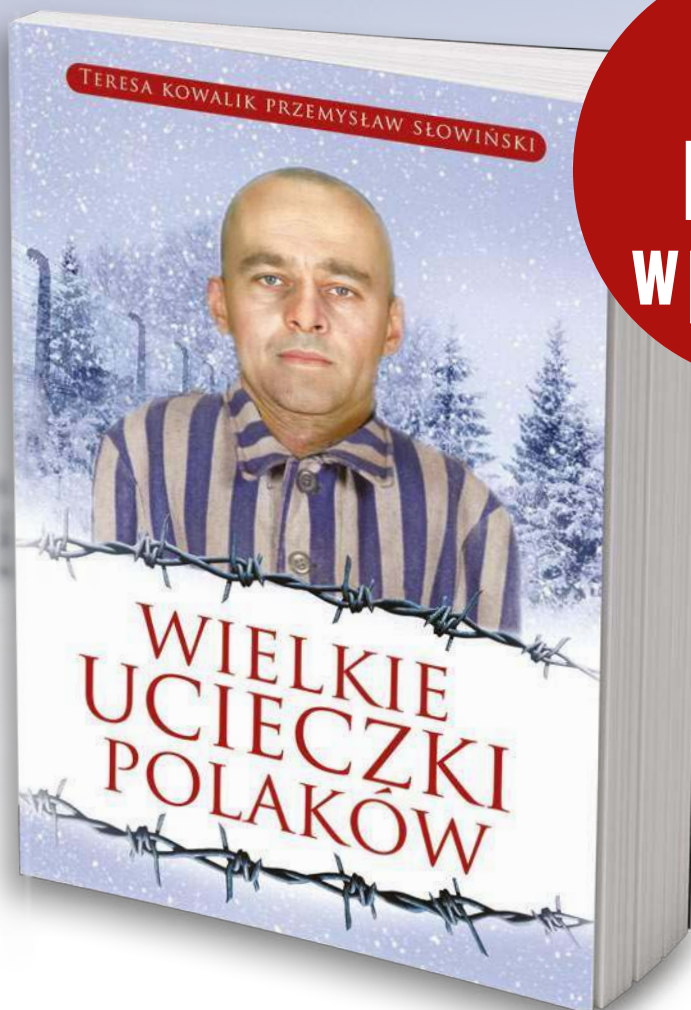
**Katarzyna i Andrzej
Zybertowiczowie**

TYLKO DLA PRENUMERATORÓW
WERSJI PAPIEROWEJ

SIECI

**wSIECI
HISTORII**

60
książek
w prezencie



Bohaterów książki łączy polski gen wolności. Przedzierali się przez ostępy Syberii i piaski irackich pustyń, ukrywali w bagażnikach samochodów dyplomatycznych i zamarzali pod podwoziem tira...

Książkę „**Wielkie ucieczki Polaków**” otrzymasz **GRATIS**, zamawiając roczną prenumeratę pakietu: tygodnik **SIECI** i magazyn **HISTORII** za **295 zł**.



Zamów już dziś na: www.wsieciprawdy.pl/prenumerata

Wpłat za prenumeratę prosimy dokonywać na konto: 91 1240 5354 1111 0010 7713 6290, Fratria sp. z o.o., ul. Legionów 126-128, 81-472 Gdynia, w tytule wpłaty wpisując: PRENUMERATA PAKIET i pełne dane adresowe do wysyłki.

Kontakt: prenumerata@fratria.pl | tel. 22 616 36 00 w godz. 9-16



**TOTALIZATOR
SPORTOWY**



Kup dowolne
produkty **LOTTO**
za min. 1 zł, weź
udział w loterii,
zagłosuj na
wybrany obiekt
sportowy
lub kulturalny
i sprawdź czy
wygrałeś!

GRAJCIE GŁOSUJCIE I WYGRYWAJCIE

Szczegóły i regulamin loterii promocyjnej na gramywygrywamy.pl

Okres sprzedaży produktów promocyjnych uprawniających do udziału w loterii trwa od 20 października 2022 r. do 18 listopada 2022 r.
Udział w loterii poprzez głosowanie na wybrany obiekt sportowy lub kulturalny możliwe jest od 20 października 2022 r. do 20 listopada 2022 r.
Organizator loterii: Totalizator Sportowy Sp. z o.o., ul. Targowa 25, 03-728 Warszawa.

